

ZOFJA URBANOWSKA
CUDZOZIEMIEC



WYDAWCA: KSIĘGARNIA M. OSTASZUWSKIEJ I S-KI
W WARSZAWIE : AL. JERUZOLIMSKIE 23

WYDAWCA: KSIĘGARNIA M. OSTASZUWSKIEJ I S-KI

3

Y

CUDZOZIEMIEC



CZCIONKAMI KSIĘGARNI Powszechnej i Drukarni
Diecezjalnej we Włocławku, ul. Brzeska nr. 4

ZOFJA URBANOWSKA

CUDZOZIEMIEC

OPOWIADANIE

PRZEZ AUTORKĘ »KSIĘŻNICZKI«

Z 10 RYSUNKAMI

WYDANIE NOWE



» DAR «

Ob. Lubomira Terpińskiego

dla Wojewódzkiej i Biblioteki Publicznej

« W BOKSIE »

KSIEGARNIA M. OSTASZEWSKIEJ I S-KI
WARSZAWA :: :: ALEJE JEROZOLIMSKIE 23

1925



82A. 162. A-1/-5

82A.162.A-3



ROZDZIAŁ I

O MIŁUJĄCYM SZTUKĘ KSIĘCIU, O SŁAWNYM
CZŁOWIEKU I O JEDNEJ PANIENCE.



Jego Wysokość, książę Fryderyk, Wilhelm, August, Karol, Marja L....stein, najbliższy krewny i domyślny spadkobierca panującego księcia — miał lat przeszło czterdzieści, wzrost średni, twarz bladą, napół zwiędłą, ale nie bez inteligencji. Nos wydatny nadawał jej wyraz surowy, którego bynajmniej nie łagodziły duże wypukłe oczy, patrzące z pod złotych okularów bystro i przenikliwie. Twarz ta zresztą ani pociągająca, ani odpychająca nosiła charakter podwójny: gdy bowiem górna jej połowa miała rysy ogólne europejskie, dolna, z wydatnymi szczękami i spodnią wargą nieco wystającą, przedstawiała typ czysto niemiecki.

Pomimo, że to było w końcu lipca, książę ubrany był w marynarkę z grubego zimowego materiału, szyję miał szczelnie owiniętą białym wełnianym szalem i wysokie kalosze na nogach, chociaż w alejach parku kąpielowego w Landek, po którym się przechadzał, nie było błota — a wilgoć,

jaka pozostała po nocnym deszczu, nie mogła grozić przemoczeniem nóg.

Ranek był prześliczny. Słońce wprawdzie przygrzewało już, ale nie naprzykrzało się jeszcze nikomu. Drzewa kołysały się lekko, strząsając od czasu do czasu krople rosy na głowy przechodzących — był to prawie jedyny ślad burzy, co przeszła w nocy nad doliną Landeku. Wprawdzie kilka róż zostało strąconych z łodyg, na których rosły; wprawdzie żwirowe drogi parku były tu i owdzie wyżłobione, a otaczające je trawniki tu i owdzie poszarpane, widocznie od gwałtowności płynących z gór potoków; wprawdzie jedna jodła została wyrwaną z korzeniem ze skały, na której rosła — ale zato dzisiaj wszystko oddychało świeżością i weselem, a słońce świeciło tak samo jak wczoraj, gdy czołem sięgała obłoków!...

Lekki wietrzyk przynosił do parku z gór pobliskich, lasem iglastym porosłych, żywiczne wonie — a z łąk, u stóp tych gór rozpostartych, zapachy świeżo skoszonego siana. Białe, czerwone i błękitne powoje, po obu brzegach klombów rosnące, orwierały się powoli — była bowiem dopiero godzina szósta; muzyka grała uwerturę z Wilhelma Tella; wodotryski wyrzucały w górę strumienie wody, rozbijającej się z głośnym szelestem o marmurowe brzegi basenów, i roztaczały dokoła wilgotny tuman, od którego perliły się i drżały kwiaty na trawnikach.

Park dzielił się na dwie części, górną i dolną; pierwsza była dla pacjentów punktem zbornym do rannej przechadzki, druga do popołudniowej i wieczornej; obie przedzielał potok bystro płynący po dnie kamienistym, a łączył mostek drewniany, wdzięcznie przezeń rzucony. Niczego, co służyć może do wygody i potrzeby tak chorych jak zdrowych — nie brakowało w tym parku: były tam źródła uzdrawiające w marmurowych pałacach ukryte, i wykwintne restauracje i kawiarnie; kioski z serwatką i kioski z piwem bawarskiem;

kościół i magazyny walczące z sobą o lepsze świetnymi wystawami; kolumnada dla ochrony przed deszczem i Kursaal, w którym co tydzień odbywały się bale.

Opisywać szczegółowiej wymienionych budynków, jakkolwiek każdy niemal zasługuje na uwagę, niema potrzeby; dość będzie, gdy się powie, że miejscowość ta leży na Śląsku pruskim, Górnym zwanym, niedaleko granicy austriackiej, i że jestto dolina otoczona dookoła różnej wysokości górami, których kontury, z powodu pokrywających je lasów, odrzynają się ostro na błękitnem tle nieba; że kąpiele Landeku nie stanowią jednej całości z miastem tego nazwiska, jako oddalone od niego o wiorst parę — które to miasto szczyci się swoim starożytnym ratuszem więcej niemal, niż kąpiele starą drewnianą wanną, w której się niegdyś kąpał wielki Fryderyk, a która jest przedmiotem religijnej czci Niemców; że wreszcie Landek nazywało się poprostu Łądkiem, niegdyś, gdy Śląsk był jeszcze pod panowaniem książąt Piastów.

Z alei, w której przechadzał się książę, odsłaniał się cudowny widok na całą dolinę: na wspaniałe wille i domki szwajcarskie, tonące w powodzi kwiatów i zieleni, na złociste łany zboża i łąki przerzniete srebrnym paskiem wody, na bielejące zdala mury miasteczka i ogrody. Widok ten jednakże nie czynił żadnego na Jego Wysokości wrażenia; reumatyzm w prawej nodze dokuczał księciu chwilami dość mocno, a to wystarczało do ostudzenia zachwyty wobec najpiękniejszego nawet krajobrazu — zwłaszcza gdy młodość, epoka poetycznych uniesień, minęła.

Młodość!.. Książę z goryczą myślał o tej czarownej epoce życia, co to nie zna reumatyzmu, ani bolesnych strzykań, która sobie żartuje z cugów i wilgoci i nie potrzebuje podsycać apetytu gorzkimi ekstraktami; o tej epoce, w której krew w żyłach płynie gorąca, świat wydaje się pięknym,

zapał jest prawdziwy, serce wrażliwe — w której można płakać i śmiać się, pragnąć i mieć nadzieję!..

Niewesołe te myśli przerwał odgłos zbliżających się kroków; książę odwrócił się i zobaczył idącego ku niemu doktora L...nera. Widok tego człowieka, którego twarz czerstwa i lekki elastyczny krok świadczyły o dobrym zdrowiu i siłach, pomimo sześćdziesięciu blisko lat wieku, wydobył z piersi ostatniego z L.....steinów mimowolne westchnienie.

— Szukam Waszej książęcej mości po wszystkich alejach — rzekł doktor, odkrywając głowę, podczas gdy książę zlekka tylko dotknął ręką kapelusza. — Jakże zdrowie? Domyślam się, że nieźle, bo książę doskonale wygląda. Kąpiele, widzę, służą!

— Ech, gdzie tam — odparł na komplement doktora — czuję się więcej osłabionym.

— Jestto właśnie symptomat pocieszający!

Książę roześmiał się ironicznie.

— To właśnie dowód — mówił niezmiyszany doktor — że siarka zaczyna działać. Taką to już właściwość naszych źródeł, że z początku...

— Wiem, wiem — przerwał z pewną niecierpliwością książę — od trzech tygodni, jak tu jestem, słyszę to ciągle od pana. Ale cóż słyhać w Wiktorja-hof, jak się ma Dawison?

— Nieźle; pozwoliłem mu dziś po raz pierwszy wyjść. Jeżeli go dotąd niema w parku, to za chwilę przybędzie.

— Doprawdy? no to i dobrze. Wyzdrowienie przychodzi prędzej, niż myślałem.

— Jeżeli wyzdrowienie w tej chorobie jest możliwe.. Książę spojrzał doktorowi bystro w oczy.

-- Co pan mówisz! czyż z nim tak źle?

— Czy tak źle... hm, toć ma niezły apetyt i nienajgorzej wygląda; bywa nawet wesoły i mówi często wcale do

rzeczy, ale cieszyć się tem niema co. Przychodzą niespodzianie gwałtowne ataki nerwowe, które wszystko rujnują. Mieliśmy go tu już w zeszłym roku, z łaski berlińskich dctorów; rozmawiał przytomnie, bywał wesoły, żartobliwy, aż nagle ni stąd, ni zowąd wybuchał nerwowym płaczem, zrywał się, krzyczał, albo prawił całe monologi z ról, w których niegdyś występował — poczem zawsze następowała długa bezsilność. Powiedziałbym nawet, że choroba od zeszłego roku zrobiła postęp...

— Cóż na to mówi jego żona?

— Napozór jest spokojna; nie slyszalem jej nigdy skarżacej się. Czyni wszystko, co tylko jest w jej mocy, żeby choremu los jego osiodzić; nie odstepuje go ani na krok, on tez ani chwili bez niej obejść się nie może.

— Biedna kobieta — szepnął książę — musiała się bardzo zmienić od czasu, jak ją widziałem raz ostatni. Było to w L.. na muzykalnym wieczorze u dworu: śpiewała arję z Proroka, a głos ma cudowny.

— Zmienić się chyba nie zmieniła: jest to zdrowie wiecznie kwitnące i umysł wiecznie świeży i nieznużony.

— Wywierała ona zawsze na męża wpływ wielki — rzekł książę. — Komuż nieznanym był kapryśny humor Dawisona? Najłżejsza przeciwność, nieostrożność, zapomnienie do wściekłości go niemal drażniły — a biedna żona z anielską cierpliwością znosiła burze, łagodziła go i przywozдила do upamiętania. Byłem raz świadkiem w Berlinie, jak przed samem przedstawieniem dramatu „Gałganiarz paryski“ zrobił jej straszną scenę z powodu, że zamiast zwykłego ubioru, jakiego w tej sztuce używał, przygotowała mu inny, świeższy, którego musiał użyć dla braku czasu do sprowadzenia danego. Utrzymywał, że barwa sukni nawet wpływała na grę,

na usposobienie i t. d. Po pierwszym akcie padł jej do nóg
przepraszał.

— Losy żon wielkich ludzi nie były nigdy godne za-
drości — wtrącił doktor — prawda to stara jak świat.

Cała ta rozmowa toczyła się w języku Schillera, obaj
bowiem rozmawiający byli Niemcami.

— Dzisiaj właśnie mamy spróbować na nim działania
elektryczności — mówił doktor dalej — tak uradzono na kon-
syljum; ale zdaje mi się, że środek ten okaże się równie bez-
skutecznym jak inne. Nie znamy lekarstwa na rozrzedzenie
mózgu.

— Rozrzedzenie mózgu! — zawołał książę i zamyślił
się — więc „Berliner Börsen Zeitung” i „Deutsche Allge-
meine Zeitung” powiedziały prawdę? Ale chodźmy do ławki.
Scena niemiecka traci wielkiego artystę!

Skierowali się ku rozłożystemu kasztanowi, gdzie stała
biało lakierowana ławeczka. Nie było to miejsce zaciszne, ale
suche zupełnie — co ważnem było dla księcia — i wygodne. Tłum
elegancki zapełniał powoli aleje parku: szelesty sukien nie-
wieścich, szmery rozmów, nawoływania kwiaciarek chodzą-
cych w tę lub ową stronę z koszami pełnymi bukietów, mie-
szały się z szumem wodotrysków i dźwiękami muzyki.

Książę skinął na murzyna w liberji stojącego opodał z ple-
dem w ręku, a gdy mu tenże nogi starannie otulił, odprawił
go i wyjąwszy cygarnicę poczęstował doktora.

— Został nam wprawdzie jeszcze Devrient — mówił
zapalając cygaro — ale ja nigdy nie byłem zwolennikiem
Devrienta. On i Dawison, to dwa przeciwne sobie bieguny,
choć każdy z nich magnetyzuje; dwie artystyczne potęgi od-
pychające się wzajemnie i nie umiejące się zdobyć na uznanie
jedna drugiej. To też publiczność drezdeńska dzieliła się cią-
gle na dwa stronnictwa: jedno trzymało z Devrientem, przed-
stawiającym idealizm ze wszystkimi jego żywiołami klasy-

cznemi — drugie przносиło nowo powstający, realistyczny kierunek Dawisona. Tamten był piękny jak bóg grecki i wdziękiem swoim czarował kobiety — tego widok nie budził zrazu przyjemnego wrażenia, ale z każdym z ust jego wychodzącym słowem, z każdym ruchem czuł słuchacz, że widzi człowieka przedstawiającego prawdę nieodpartą życia. Devrient żądał, by słuchacze podnosili się ku wyżynom, na których bogi przebywają — Dawison z boskiej prawdy pochodnią zstępował ku ludziom i rozświecał ciemne dusz ich zaułki.

Zamilkł na chwilę i, strząsnąwszy popiół z cygara, mówił dalej:

— W kreacjach jego była jakaś demoniczna siła, wychodząca bezpośrednio z jego ognistej organizacji, i udzielająca się wszystkiemu, co go otaczało. Ogień, wybuchający z jego piersi, ogarniał i palił publiczność. Krytycy nasi, porównywając zapał artystyczny Dawisona do wiadomej dziejów natarczywości bojowej Polaków, nazywali to „eine polnische Furie”.

— Określenie to, zdaniem mojem, nie było trafne — odpowiedział doktor, rozwijając wielką fularową chustkę, na której tle czerwonym czernił się portret zwycięzcy z pod Sadowy. — Dawison ani jest, ani był kiedykolwiek Polakiem; źródła jego gwałtownej natury należy szukać w jego wschodniem pochodzeniu. Książę musi wiedzieć, że to jest przechrzczony żyd warszawski.

— Wiem — odparł krótko — któż u nas nie zna jego biografiji?

— Jego żądza sławy, hołdów a podobno i bogactwa, nie znała granic — mówił doktor dalej. — Mało mu było zhołdować sobie Niemcy, najpierwszy przecież z europejskich narodów, zatem jakby Europę całą; trzeba mu było Ameryki jeszcze! Drugą tę półkulę świata natura już sama do wielkich zdaje się rzeczy przeznaczyła. W bezgranicznych jej

przestrzeniach na niejedno jeszcze potężne państwo jest miejsce—to też tam płynie nadmiar ludzkości całego świata, tam mieszają się wszystkie plemiona i utworzą może kiedyś plemię, mające odznaczyć się wszelkimi przymiotami i wszelkimi wadami ludzkości. Dziś jest to jeszcze zbiorowisko zuchwałych umysłów, nieposkromionych pragnień, chuci wyuzdanych, nieukaranych zbrodni, pole dla malkontentów i awanturników wszelkiego rodzaju. Dawison ma także w sobie coś z tych ostatnich; on także zapragnął Ameryki i Ameryka zadała mu cios śmiertelny. Z gorączkowym pośpiechem przebiegał z miasta do miasta i porywał się na wysilenia nadludzkie—a co gorsza, pozwolił się rozkielznać wszystkim duchom swego organizmu. Po takich rolach jak Ryszard lub Lear, Shylock lub Franciszek Moor, połowę nocy jeszcze przepędzał przy ulubionym burgundzie!

— Ależ, doktorze — przerwał ksiązę — mężczyzna jak dąb, silnie zbudowany. Popatrz tylko na niego: co za ramiona, jaka pierś! a tacy mogą pić bezkarnie. Nie powiesz przecie, żeby Dawison z tego się rozchorował.

— Ale to w połączeniu z innymi jeszcze szaleństwami...

— Zdaje mi się, że pan jesteś w błędzie. Dawison mógł być dotąd i pić i szaleć, gdyby nie ów wypadek w Nowym Yorku, o którym musisz wiedzieć.

— Wasza ksiązęca mość mówi o tem zawianiu, jakie miało miejsce przy wychodzeniu z teatru?

Tak, po przedstawieniu Ryszarda III-go; Dawison rozgrzany był grą i drgający jeszcze. O! bo o nim można powiedzieć to samo, co Guido Reni wyrzekł o Rubensie: że „mieszał krew do farb swoich”.

— Nie przeczę — rzekł doktor, składając starannie chustkę, co znaczyło, że zabierał się do systematycznej ja-



...i strząsnąwszy popiół z cygara, mówił dalej: (str. 7)

kiejś rozprawy o organizmie ludzkim i wpływach moralnych i fizycznych, rujnujących go ciągle—nie przeczę, że wówczas ..

— Ach, cóż to za kolekcja oryginałów! — przerwał mu nagle ksiązę, wyjmując z ust cygaro i poprawiając okulary. Matrona jakby ze starożytnego portretu wycięta, stary sługa z czaszką pół nagą i wąsem zawieszonym... Przepyszne głowy! Rembrandt by się nimi zachwycił. A, i jeszcze jakaś postać kobieca; musi to być coś młodego, jak z ruchów wnoszę. Cóż za sielska prostota w ubiorze! jakaś wieśniaczka. Wielki słomiany kapelusz twarz jej całkiem zasłania, i nie można wiedzieć, czy jest piękna, czy brzydka. Mój doktorze, czy nie znasz czasem tych osób? Patrz pan, patrz! Podniosła głowę i spogląda na nas. Prześliczne stworzenie, ale to prawie dziecko jeszcze. Co za wdzięk! jaka świeżość!

Podczas gdy ksiązę to mówił, środkiem alei toczył się mały dwukołowy wózek popychany przez siwego sługę w granatowej czamarze szczelnie pod szyję zapiętej. W wózku siedziała staruszka z twarzą mocno pomarszczoną choć delikatną i wielkimi czarnymi oczami, które musiały być kiedyś piękne, bo i dziś zachowały jeszcze coś z dawnego ognia młodości. Włosy zupełnie już białe, gładko przyczesane, kryły się pod staroświecki koronkowy czepiec — a choć krój jego przypominał czasy pierwszego cesarstwa, przecież nie było w nim nic śmiesznego; przeciwnie, nadawał on tej twarzy charakter wzbudzający mimowolne poszanowanie. Czarna aksamitna mantyla z długimi klapami, dopełniająca ubrania, tworzyła zupełną z czepcem harmonję: bo gdy w nim był pewien majestat każący się oburzać na dzisiejsze, tchnące lekkomyślnością ubrania głów kobiecych, klapy mantyli, kołysząc się poważnie po bokach wózka, zdawały się mu w milczeniu potakiwać.

Staruszka przysłoniła ręką oczy i oglądała się na prawo i na lewo, jakby pilnie kogoś w tym tłumie różnobarwnym

szukając, i co chwila zwracała jakieś słowo do idącego przy wózku dziewczęcia.

— Jestto polska rodzina, składająca się z babki, wnuczki i dwojga służących — rzekł doktor, który już był uprzedzającym ukłonem oryginalną tę grupę powitał. — O ile mi się zdaje, są to szczątki jakiegoś znakomitego a zubożalego rodu. Babka przyjechała tu dla swoich nóg zreumatyzowanych, a wnuczka pielęgnuje ją i czytuje jej po całych dniach naprzemian książki religijne i gazety.

— Ależ on zwiędnie w takim otoczeniu, ten śliczny kwiatek!

— Kwiatek ten wyrósł na świeżem powietrzu, więc zdrów jest jak ryba, warunki zaś, w jakich żyje, zdają się wystarczać mu zupełnie. Panienska nie ma rodziców; jak dawno ich straciła i w jakich okolicznościach, nie wiem, bo babka wspominać o tem nie lubi. Jestto kobieta zamknięta w sobie, nie wiem, przez dumę czy przez nieszczęście, i dla jednej tylko wnuczki wylana. Wygląda, jakby nosiła w sobie jakąś tajemnicę, która...

— Mniejsza o babkę, mów pan o wnuczce.

— Otóż zdaje się, że ta babka wychowała ją od lat dziecinnych. Wychowanie to jest staranne, dziewczeczka ma mnóstwo wiadomości, a języki niezłe posiada; ale znać na niej wpływ otoczenia, a głównie starego wiejskiego proboszcza, który, jak się domyślam, był tutaj głównym kierownikiem, bo obie często wspominają go z uwielbieniem. [Mimo to znać w panience bystrość i pewną rzutność — widać, że to umysł energiczny, który się lada chwila z wszelkich opasek uwolni.] Matka panienski zmarła podobno na suchoty; chcąc córkę od podobnego losu ochronić, babka i proboszcz postanowili ją hartować, i pozwalali jej żyć trochę samopas. Hasała więc podobno dowoli z dziewczętami wiejskimi po polu, a chłopców prześcigała w chodzeniu po płotach. Rezultat tej

metody wychowania okazał się świetnym, jak to książę własnymi oczyma przed chwilą sprawdzić miał sposobność — chociaż charakter, jaki się stąd wytworzył, pełen jest sprzeczności: są tam arystokratyczne ruchy obok wieśniaczej prostoty, a często naiwności; dziewczęca tkliwość obok dziarskości chłopca. Przytem żywe to jak iskra a z apalne jak siarka raz wesołe jak ptaszek, drugi raz poważne niby staruszka — upрек też jest, a duma istnie królewska. Słowem, dzika to rózyczka i oczywiście nie bez kolców.

Książę słuchał z zajęciem.

— To także jedna z fanatycznych wielbicielek Dawisona — mówił doktor dalej — co jest tem dziwniejsze, że go wcale nie widziała na scenie, tylko czytała o nim wiele. Gdyby nie obecność księcia, byłbym niezawodnie pytań o niego nie uniknął. Pragnie ona koniecznie „ujrzeć i usłyszeć swego sławnego rodaka”, jak powiada. Śmieszni są ci Polacy z pretensjami do mniemanych rodaków: Kopernika gwałtem chcą zrobić Polakiem dlatego tylko, że Toruń, w którym się urodził, należał kiedyś do Polski... Dawison także Polak, chociaż nie chcieli go znać, gdy szukał u nich miejsca dla siebie. Jeden z nich powiedział mi — a gdy oni sami siebie obmawiają, trzeba im wierzyć — że kiedy Dawison wystąpił w Warszawie w r. 1838 w komedji pod tytułem „Godzina małżeństwa“, wychodzące wówczas jakieś pismo miejscowe¹⁾ tak się o nim wyraziło: „Rola Saint-Ange po panu Dawisonie będzie zapewne powierzona *dobremu artyście* i podniesie sztukę“. Dobremu artyście!... ha, ha, ha — śmiał się doktor — naród to był, jest i będzie zawsze ślepy. Dawison jest Niemcem, jeżeli nie ze krwi to z ducha. Daliśmy mu sławę i majątek, należy więc do nas i nikt odbierać go nam nie ma prawa.

1) Pamiętnik sceny warszawskiej.

— Nie bardzo lubisz, jak widzę, Polaków, doktorze — rzekł książę, spoglądając na niego z uśmiechem; — przyznaj jednak, że naród, posiadający najpiękniejsze na świecie kobiety, zasługuje na większe uznanie. Ale patrzno pan! tam, naprzeciwko, przy kiosku, wszakże to Dawison? Tak, to on, poznaję go, niesie właśnie do ust kubek; żona jest przy nim. Ale z kimże to ona rozmawia? Aha, to pańskie znajome są tam; widzę nawet doskonale słomiany kapelusz. Znają się więc już, i jakoś obeszli się bez twego pośrednictwa, doktorze. Chodźmy do nich.

Rzucił niedopałone cygaro, skinieniem dał znak służącemu, żeby mu nogi z pledu rozmotał, i wstał.

— Ciekawym, jak ona się do tego wzięła — rzekł doktor, wstając także. — Ale czy to kobiecie kiedy braknie na sposobach? Byle która na łokieć od ziemi odrosła, już musi mieć swoją wolę i znać różne przebiegi, o których ani się śniło dyplomatom!

Aleja, w którą teraz się zwrócili, zapelniona była publicznością, szczególnie licznie kupiącą się przy kiosku, gdzie z rąk pokażnej germańskiej Hebe płynął obficie blado-szmaragdowy napój, będący najzwyczajniejszą w świecie serwatką. Nie Hebe to jednak, ani serwatka pociągała oczy wszystkich w tę stronę — ale ten, którego imię od dwóch tygodni było na ustach wszystkich, a którego cierpienie budziło ogólne współczucie. Każdy pragnął go zobaczyć choć zdaleka i odgadnąć z twarzy artysty, czy prawdą było to, co pisały o nim dzienniki — że ten, co wzruszał i zachwycał tłumy, nie będzie już mógł nigdy wystąpić na scenie.

On sam, przedmiot tej ciekawości i współczucia, stał właśnie wsparty na ramieniu żony, tuż przy wózku, w którym siedziała staruszka w czepcu, przypominającym czasy pierwszego mocarstwa. Rozmawiając, spoglądał to na nią, to na jej jasnowłosą wnuczkę. Był to mężczyzna silnie zbu-

dowany, mogący mieć przeszło pięćdziesiąt lat wieku. Wzrost jego okazały, pierś szeroka, ramiona jakby u gładjatora, sprzeczały się z bladością jego twarzy. Ta blada twarz jednakże nosiła piętno niepospolitej, dzikiej niemal energii; brwi krzaczaste nieregularnie sterczały nad oczami, które miały głęboki, przejmujący wyraz, chociaż nie były piękne. Nos wydatny spuszczał się ku ustom, na których błąkał się łagodny, dziecięcy niemal uśmiech; ciemne wąsy i bródka hiszpańska uzupełniały te wyraziste rysy i nadawały im pewne podobieństwo do rysów Wallensteina na starych portretach. Ubrany był w biały pilśniowy kapelusz i brązową marynarkę z ciepłego wełnianego pluszu, a biała kamizelka podnosiła jeszcze bladość jego twarzy. Zupełny kontrast z nim stanowiła jego żona, jaśniejsza młodością i zdrowiem¹⁾.

Konstancja Dawison była wysokiego wzrostu, wspaniałej postawy, pełnych, bujnie rozwiniętych kształtów; miała twarz okrągłą, delikatną cerę świeżym zawsze okraszoną rumieńcem, nos trochę zadarty, usta wydatne, zdradzające temperament namiętny, wdzięcznie zarysowane — włosy ciemno-blond i duże niebieskie oczy. Gdyby nie łagodny wyraz tych oczu, nazwalibyśmy ją dumną—było bowiem coś imponującego w jej ruchach i postawie; dostojność ta jednakże miękła, ilekroć zwracała się do męża, oddając mu tysiące tych drobnych usług, co to przed okiem obojętnego widza uchodzą niepostrzeżenie, a których potrzebę tylko kochające serce odgadnąć potrafi. O! ile wówczas te oczy niebieskie nabierały wyrazu! Nadzieja i zwątpienie błyszcząły w nich naprzemian, w miarę jak on zasępiął się lub uśmiechał—a gdy nikt, nawet on nie widział, wtedy oczy te, na nim spoczywające, bywały najczęściej wilgotne. Dawison bywał kapryśny, jak zwykle ludzie cierpiący na nerwy, i to usposobienie swoje dawał otaczającym uczuwać — ona jednak w takich właśnie

¹⁾ Konstancja Jacobi, druga żona artysty.

chwilach okazywała mu najwięcej przywiązania; ona też jedna tylko umiała go łagodzić, zażegnawać burze, zrywające się w jego piersi i koić jego cierpienia. To też biedny chory nie umiał się bez niej obejść i ciągle ją chciał mieć przy sobie.

Między artystą, któremu doktor odmawiał prawa nazywania się Polakiem, a polską rodziną zawiązał się już snąc bardzo przyjemny stosunek; ze wszystkiego to było widać. Gdy książe nadszedł z doktorem i zaczął się witać z panią Dawisonową, artysta poznał go natychmiast i obu damom przedstawił z wymienieniem wszystkich nieodłącznych od jego dostojęństw tytułów. Nastąpiły wzajemne ukłony. Słomiany kapelusz przytem tak jednak bardzo twarz panienki zasłaniał, że książe, który jako wielki miłośnik piękna rad był jej się zbliżać przypatrzeć, zobaczył tylko dwa długie złociste warkocze spadające na ramiona i małe koralowe usteczka napół rozchylone, świeższe od trzymanyh w ręku róż, do których zdawały się uśmiechać.

Książęta panujący albo mający kiedyś panować zdają się niektórym śmiertelnikom osobliwością, choćby ich państwo nie obejmowało więcej nad czwartą część mili kwadratowej. Kiedyindziej może panienka byłaby się tej osobliwości przyrzęła ciekawie — w tej chwili jednak główka jej wyłącznie była zajęta Dawisonem; to też odpowiedziała na ukłon z takim roztargnieniem, że to aż uraziło Jego Wysokość.

— Radbym wiedzieć, jakeście się państwo poznali — przemówił doktor — sądziłem bowiem, że to się stać może tylko za mojem pośrednictwem, i nawet obiecałem je panie Barbarze.

Po koralowych usteczkach przebiegł lekki, ironiczny uśmiezek.

— Stało się to sposobem bardzo prostym, kochany doktorze — odezwał się wesoło Dawison — tak prostym, jak

zapewne niewiele znajomości zawiera się na świecie. Spytano mnie po polsku: „Czy to pan jesteś tym wielkim artystą?“ — ja zaś odpowiedziałem: „Czy wielkim, to jeszcze pytanie; ale tym biednym, niegdyś polskim aktorem, co się urodził w Warszawie, ja jestem!“ To wystarczyło, abyśmy zostali jakby dobrymi znajomymi, a może i... przyjaciółmi.

— Krótko a wężłowato — zauważył książe.

— Po naiwności pytania wnoszę, że wyszło z ust tej młodziutkiej damy — rzekł doktor, kładąc żartobliwy przycisk na przedostatni wyraz.

Słomiany kapelusz na te słowa podniósł się, i książę zobaczył śliczne, napół kobiece, napół dziecięce jeszcze rysy; zobaczył czoło pełne wiosennych, porannych brzasków i dwoje wielkich czarnych oczu, w których w tej chwili błysnęło coś na kształt obrażonej dumy.

— Jako już szesnastoletnia umiałabym podobno zapoznać się w sposób więcej wyrafinowany, gdyby szło o człowieka innej niż moja narodowości i do tego jeszcze... doktora — rzekła, dygając ironicznie — ale z Polakiem i artystą, prostota wystarcza.

— Bravo! — zawołał, uderzając w dłonie Dawison — bravo! wielką pani powiedziała prawdę. A co? — rzekł, do doktora się zwracając — my, Polacy, umiemy się odcinać.

Przy wyrazie „Polacy“ panowie zamienili z sobą spojrzenia.

— To też ciężko z wami żyć w zgodzie — pomyślał doktor, który wiedział o cierpkim i despotycznym obejściu się Dawisona z kolegami i administracją teatralną; nie powiedział jednak tego, co myślał, tylko zauważył spokojnie, zwracając się do pani Dawisonowej:

— Radziłbym już państwu powrócić do domu; na pierwszy raz dość będzie tej przechadzki. Nasz chory nie powinien się męczyć zbyt.

— Ależ, doktorze! zdrów jestem zupełnie — odezwał się artysta z odcieniem niezadowolenia. — Konstancjo, powiedz sama, czy skarżyłem się dzisiaj na cokolwiek?

— Rzeczywiście, ma się dziś lepiej — przyświadczyła Konstancja. — Mimo to, do odwrotu zbieraliśmy się właśnie gdy panowie nadeszli, bo Bogumił wypił już swoje dwa kubki serwatki. Uradziliśmy odprowadzić panią N...cz do jej mieszkania i złożyć jej zarazem wizytę.

— A pani N...cz pozwoli nam zato zaraz po wizycie zabrać wnuczkę na śniadanie do Wiktorja-hofu. Obietnicę już mamy — rzekł Dawison. — Będę mógł nareszcie łowoli rozmawiać ojczystym językiem, którego już tak dawno nie słyszałem.

Nastąpiła znowu wymiana spojrzeń pomiędzy księciem a doktorem.

— Ależ pan nie możesz jeszcze odbywać pieszo tak dalekiej drogi — zaprotestował ten ostatni — ja na to nie pozwolę!

— Bądź pan spokojny, posłałem właśnie po powóz.

Doktór popatrzył na niego uważnie.

— Radziłbym panu — rzekł poważnie — jaknajmniej mówić po polsku i nie wzruszać się niepotrzebnie wspomnieniami... To nie pomaga do zdrowia.

— Wmawiacie we mnie chorobę — odparł z rozdrażnieniem Dawison — i to właśnie szkodzi mi najwięcej, że mi wzbraniacie tego, co ja lubię. Czy ja chory jestem, Konstancjo? Powiedz!

— Bynajmniej — odrzekła słodkim głosem, który miał dziwną nad nim władzę — jesteś tylko jeszcze osłabiony.

— Ot, to właśnie — powtórzył — jestem ty trochę osłabiony; to też pojedziemy.

Nadszedł służący z oznajmieniem, że powóz czeka u bramy parku, zaczęto się więc żegnać. Dawison zapraszał

księcia do Wiktorja-hofu na śniadanie; ale ten, choć wielki piękną wszelkiego wielbiciel, zwłaszcza gdy ono żeńskiego było rodzaju, za nic w świecie nie byłby odstąpił od przepisów higienicznych — a przepisy te kazały mu właśnie w tej porze wziąć kąpiel.

Po odejściu dwóch panów gromadka naszych znajomych posuwała się zwolna ku bramie parku.

Teraz dopiero można było przekonać się, jak bardzo Dawison był osłabiony. Postępował wolnym, niepewnym krokiem, zatrzymując się często dla zaczerpnięcia powietrza. Między publicznością, rozstępującą się przed tym orszakiem, zrobiła się cisza niemal uroczysta. Nie mógł tego nie zauważyć Dawison, i oczy jego na chwilę żywszym blaskiem zajaśniały. Wrażenie, sprawione swoim pierwszym ukazaniem się publicznem, wytłumaczył sobie jako milczący a wymowny hołd, słuszenie mu należny.

Było to w roku 1869, a więc w dwa lata po jego podróży do Ameryki, tej podróży, którą można było nazwać prawdziwym pochodem triumfalnym przy odgłosie oklasków i namiętych, fanatycznych niemal uniesień.



ROZDZIAŁ II

W KTÓRYM POKAZUJE SIĘ NOWA OSOBA.



Wiktoria-Hof był zwyczajnym domem piętrowym biało tynkowanym i stał sobie samotnie przy drodze żwirowej, prowadzącej w góry. Przed domem był rodzaj balustrady, dość misternie z prętów żelaznych splecionej i malowanej na zielono, oraz mały żelazny daszek nade drzwiami przy wejściu, wsparty na dwóch słupkach i także zielono malowany.

Wyżej, między oknami pierwszego piętra, był balkon; tam to przechodnie widywali często mężczyznę, siedzącego w fotelu z głową wspartą o poręcz, z oczyma błędzącymi po szczytach gór, otaczających dolinę, i kobietę, jaśniejącą młodością i zdrowiem, która mu albo coś czytała, albo coś podawała, albo pochylała się nad swoim towarzyszem, patrząc mu w oczy troskliwie.

Jeżeli kiedy komu samotność wyszła na dobre, to niezawodnie temu domowi. W sąsiedztwie szwajcarskich szaleatów, otoczonych delikatną drewnianą koronką i przystrojonych misternymi ganeczkami, byłby wyglądał nazbyt su-

rowo — a gdyby go los był umieścił obok rozkosznych willi, których płaskie dachy i gzemsy przypominały Włochy, musiałby się chyba zarumienić swojej mieszczańskiej prostoty.

Ale zato też mało który dom miał takie tło obrazu, jak ten! Żaden budynek gór przed nim nie zasłaniał, a droga, spuszczająca się stąd pochyło coraz niżej w dolinę, bielila się naprzód między łąkami i, minąwszy je, wspinała się potem między góry, wijąc się wężykowato. Przed samym domem, tuż za drogą, rozpościerał się przepyszny ogród — a potok ów, któremu przypatrywaliśmy się z górnej części parku, przerzynał ten ogród i, przepłynąwszy przez drogę pod mostem, skręcał na prawo obok domu i spadał gdzieś głęboko z szumem i hałasem.

Między tyłem domu i tym wodospadem jedyną rozgrodeń stanowił maleńki ogródek, pełen lewkonij, róż i rezedy. Pod samym parkanem, niewysokim umyślnie, aby widoku nie zasłaniał, stała altana, a raczej werenda, obsadzona groszkiem pachnącym i chmielem. Pod werendą, przy stoliku, nakrytym białą serwetą i zastawionym przyborami do śniadania, widzimy zgromadzone trzy dobrze nam już znajome osoby. Basia siedzi na krześle, odwrócona od wejścia do altanki: naprzeciw niej, na ławce siedzi Bogumił Dawison z twarzą ożywioną i nie tak bladą, jak na rannej przechadzce przy źródle. Obok niego jest miejsce dla jego żony, pełniącej w tej chwili obowiązki gospodyni. Właśnie podała gościowi filiżankę kawy i drugą nalewa dla męża.

Dzień ten można było nazwać szczęśliwym; Dawison był ożywiony, wesół prawie, do czego wielce przyczyniła się ta okoliczność, że miał sposobność mówić po polsku — i zadawał Basi tyle pytań o Warszawę i scenę, że mu nie mogła nadażyć odpowiadać. A dziwnem się musiało zdawać, że interesując się krajem rodzinnym i pierwszorzędną jego sceną, szukał wiadomości u młodego dziewczęcia, mogąc ją mieć

z pism polskich. Tłumaczy się to otoczeniem jego, usuwającym metodycznie prawie od niego wszystko, co go podrażnić mogło.

Nie wiedział więc Dawison nic prawie o tem, co się w owym czasie nietylko na warszawskiej scenie, ale i na innych, działo. Może wreszcie nie przypuszczał, żeby się coś godnego uwagi dziać mogło tam, gdzie jego nie było; to też myślą jego ulubioną była nadzieja, że wkrótce wpływem swoim ożywi martwość sceny, którą dla święcenia nowych triumfów wybierze sobie — a im ta chwila bliższą mu się zdawała, tem więcej rad był zasięgnąć jakichś wieści z rodzinnego miasta, w którym zabłyszczeć byłoby mu może najmilej. Było coś gorączkowego niemal w tej jego ciekawości, którą Basia niejako z drugiej ręki zaspokajała. Żyjąc ciągle na wsi, raz tylko była w Warszawie przez kilka tygodni, i naturalnie zachwycona była teatrem—i od tego czasu czytała, co mogła, o sprawach teatralnych. Że zaś lubiła się zastanawiać, a miała wyobraźnię żywą i fantazję bogatą, więc opowiadała stosunkowo treściwie i barwnie wszystko, co widziała.

Wzmianka o gościnnych występach i o powodzeniu Modrzejewskiej, wówczas jeszcze artystki teatru krakowskiego, dała słuchającemu powód do gorzkich myśli o znikomości chwały artystów dramatycznych, których sława umiera razem z nimi i o których przyszłość nic wiedzieć nie będzie.

— Ale pana sława nie zgaśnie! — zawołała z zapalem Basia, dla której Dawison był wielkością z niczem nieporównaną. — Niemcy dziś już chcą nam zaprzeczyć prawa przyznawania się do pana i dowodzą, że pan jest z krwi i kości jednoplemiennikiem Germanów¹. Przyjdzie czas,

¹ Gartenlaube Gazeta Lipska z r. 1854. Maenner der Zeit z r. 1860.

że o miejsce urodzenia pana miasta będą wiodły z sobą spór, jak niegdyś o Homera!

Zaledwie dokończyła tych słów, a już ich zaczęła żałować. Dawison wpadł w straszny gniew; rzucił się, zżymał, złorzeczył, wygrażał Niemcom i wołał piorunującym głosem, aby ten, co śmiał to powiedzieć, przyszedł do niego i powtórzył mu to w oczy. Konstancja położyła rękę na jego ramieniu i zaczęła doń zcicha i łagodnie przemawiać, ale odpychał ją szorstko i gniewał się. Powoli jednak uległ łagodzącemu wpływowi jej głosu i nie opierał się już, gdy, siadłszy przy nim i objąwszy jedną ręką jego szyję, drugą rozgarniała mu rzadkie, poczynające już siwieć włosy.

— Widzisz — szepnął do niej, jakby usprawiedliwiając się — chcą mnie Niemcem zrobić; co za zuchwalstwo!

— Jestże w tem coś tak ubliżającego? — spytała.

Dawison westchnął i jakby zapatrzył się w swoje wnętrze, choć oczy jego spoczywały na przeciwnych górach.

Basia bardzo posmutniała; gniew mógł zaszkodzić zdrowiu Dawisona — i jeżeli zaszkodzi, ona to będzie przyczyną tego pogorszenia. Ale czyż ona wiedziała? czyż przewidywać mogła, że jej wyrazy będą mu do takiego wzburzenia powodem? Konstancja dostrzegła jej smutek, pochyliła się ku niej i, poprawiając niby różę, którą jej była wpięła we włosy, szepnęła jej do ucha:

— Uspokój się, moje dziecko, nie stało się nic złego; ale jeżeli nie chcesz go częściej widzieć w takim stanie, to nie mów z nim wiele o jego rodzinnym kraju i w słowach swych bądź ostrożna. Rozmawiaj także z nim o ile możliwości jaknajmniej po polsku, bo to mu przypomina wiele chwil przykrych.. a wzruszenia są dla niego zabójcze.

Basia spojrzała na nią ze zdziwieniem. Nie przypuszczała nigdy, aby dźwięk rodzinnej mowy mógł szkodzić czy-

jemuś zdrowiu — i zaczęła podejrzewać Konstancję o niechęć do Polaków.

— Moje panie, o czym mówicie? — zapytał nagle i po niemiecku Dawison, podnosząc głowę

Konstancja rzuciła Basi porozumiewające spojrzenie.

— O księciu Fryderyku — rzekła, zwracając ku niemu twarz już wypogodzoną; — pytam się właśnie naszej młodej przyjaciółki, jak jej się podobał.

— A uważałem — rzekł z zajęciem — uważałem, że się pani bardzo przypatrywał.

— Mnie? — zawołała ze zdziwieniem, a na twarz jej wybił się lekki rumieniec.

— Tak jest, nie żartuję. Czyż nie prawda, Konstancjo? Skinęła głową potwierdzająco.

— Że zaś Jego książęca mość jest wdowcem, że wszyscy znają jego charakter niepodległy, z powodu którego pozyskał nawet nazwę dziwaka i stracił był na jakiś czas łaskę dworu — bo pierwsze jego małżeństwo źle było u góry widziane — przeto bardzo być może, że... Nic się pani nie domyślasz? Ach, cóż za idealna prostota! No, zgadnij pan!

— Nie mogę — rzekła, pomyślawszy chwilkę, a w oczach jej odmalowała się ciekawość tak szczerą, że Dawison parsknął śmiechem.

— Że los włoży mitrę na tę złotą główkę — dokończył wesoło — a doprawdy byłoby w niej pani do twarzy.

— O co to, to nie — odpowiedziała.

— Dlaczego? — zapytał z wyraźną intencją żartobliwą — książę jest dość przystojnym mężczyzną i wcale jeszcze nie stary.

— Mogłabym kiedykolwiek zaślubić człowieka, z którym mnie różnią tradycje, uczucia i język, ten język, o którym słusznie powiedziano, że jest „krwią narodów”?

— Więc nie poszłabyś pani za Niemca?

— Nigdy.

— A gdybyś go pokochała?

— Ja miałabym Niemca pokochać? O, o to niema obawy — dodała, śmiejąc się — a gdyby mi kiedy zagrażało takie niebezpieczeństwo, umiałabym sercu swojemu nakazać milczenie.

Stanowczość ta zdawała się bawić Dawisona.

— Musisz pani bardzo nie lubić Niemców — rzekł, spoglądając z uśmiechem na swoją żonę.

— Nienawidzę ich — odpowiedziała i w tej chwili spostrzegła jaką popełniła niestosowność. Powiedziała to wobec Niemki, która ją przyjmowała w swoim domu tak gościnnie i okazała jej wiele serdecznej sympatii — co za niewdzięczność! Wobec człowieka, będącego mężem tej Niemki — co za niedelikatność! Posądzając panią Dawisonową przed chwilą o niechęć do Polaków, uważała jej to za złe niemal, a sama swoją niechęć do Niemców wypowiedziała tak głośno i bez ogródki — co za niebaczość! Jeszcze gdyby rozmowa toczyła się po polsku, gospodyni domu, nie rozumiejąc tego języka, nie zostałaby przynajmniej osobiście dotknięta; ale wypowiedzenie tego wszystkiego po niemiecku, w jej obecności, równało się impertynencji.

Takie myśli cisnęły się w tej nieszczęsnej chwili do głowy Basi, a wszystkie chórem ją potępiały. Purpurowy rumieniec oblał jej twarz, czoło i szyję; spuściła oczy i nie śmiała ich podnieść — myślała, że się spali ze wstydu. Mina jej była tak nieszczęśliwa, że aż litość wzbudzała, a serce biło tak głośno, jakby chciało zagłuszyć szum wodospadu. Chwila milczenia, jakie po jej odpowiedzi zapanowało, wy-



Całej tej scenie przypatrywał się jeszcze ktoś czwarty.
(str. 25)

dała jej się wiekiem. Ach, czyż ta chwila nieszczęsna nie miała się nigdy skończyć!

Nagle poczuła na swoim czole pocałunek, podniosła głowę i spotkała się z niebieskimi oczami Konstancji, patrzącymi na nią z dobrocią.

— No, no, rozjaśnij czoło, Basieczko — rzekła z uśmiechem — nie powiedziałaś nic tak straszego; byłaś tylko szczerą, a któż odpowiada za swoje uczucia? Nie mam do ciebie żalu, a jeżeli ci idzie o mego męża, to spojrzysz na niego.

Basia spojrzała nieśmiało przed siebie. Bogumił Dawison miał twarz tak rozweseloną, jak to u niego rzadko, nawet w czasach zupełnego zdrowia, można było widzieć. Widać było, że chce zachować powagę — ale powaga ta w połączeniu z wyrazem oczu, śmiejących się do rozpuku, złożyła się na coś tak komicznego, że sama winowajczyni nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Całej tej scenie przypatrywał się i przysłuchiwał jeszcze ktoś czwarty. Ten ktoś umiał mieć chód bardzo lekki, skoro jego stąpania po żwirze nikt nie posłyszał. Od kilku minut spostrzegła go wprawdzie pani Dawisonowa i okazała niemałe z powodu jego nagłego zjawienia się zdziwienie — ale dał jej znak, proszący o niezdradzenie jego obecności. Byłby tak może jeszcze długo pozostał niewidziany przez resztę towarzystwa, ale przyszła mu ochota przypatrzeć się panience z profilu i posunął się o kilka kroków naprzód. To go zdradziło; Basia obejrzała się i zobaczyła za sobą najprzód olbrzymiego czarnego psa, a za nim młodzieńca, na którego ustach igrał uśmiech, mówiący aż nadto wyraźnie, że wszystko słyszał i był świadkiem jej pomieszanania.

Piękne, ciemne brwi dziewczęcia ściągnęły się, gdy oczy jej spotkały się z jego przenikliwymi oczami.

— Pan tutaj! — zawołał po polsku Dawison tonem radosnego zdziwienia i wyciągnął do niego rękę — tutaj, w Landek? Miałaś pan przecież... Panno Barbaro, przedstawiam pani naszego dobrego przyjaciela i zacnego chłopca, pan...

— Herman von Walden — dokończył z pośpiechem po niemiecku młody człowiek, składając panience ukłon głęboki.

— Niemiec — pomyślała Basia, a małe jej koralowe usteczka ułożyły się w lekko wzgardliwy wyraz.

Proste, nic nie znaczące słowa przybysza zrobiły dziwne na państwu Dawison wrażenie; na twarzach obojga odmalowało się takie zdziwienie, jakby to, co usłyszeli, było dla nich zupełną niespodzianką. Przybysz tymczasem ze swobodą człowieka światowego przysunął sobie krzesło i, zwracając się do pani Konstancji, odezwał się najczystszym berlińskim akcentem.

— Założyłbym się, że państwo w chwili mego przybycia mówiliście o czymś bardzo polskiem, skoro mąż pani po polsku mnie powitał, choć wie, że ani słowa z tego języka nie rozumiem. Omyłka ta może jeszcze inny ma powód. Domyślam się — dodał z lekkim ukłonem w stronę Basi — że pani jest Polką.

— Tak jest — odrzekła krótko.

— A ja, niestety — mówił dalej z westchnieniem — należę do narodu, dla którego pani żywi wrogie uczucia. Jestem Niemcem.

Basia zarumieniła się.

— Pochodzę z Marchji Brandenburskiej.

— Gorzej jeszcze niż Niemiec, bo Prusak — pomyślała.

Niemniej przeto zauważyła, że Niemiec ten jest prawdziwie pięknym mężczyzną. Rysy jego razem wzięte, wyrażały siłę woli i umiejętność panowania nad sobą. Czoło wysokie, śmiało zarysowane, zdawało się ostrzegać o niebez-

pieczeństwie stawania z tym człowiekiem do walki — było w niem bowiem coś orlego, coś takiego, co mówiło, że niema takiej przeszkody, którejby nie przelamał dla zdobycia tego, czego zapagnie. Utwierdzał w tem i głos jego, dźwięczący hartem męskim. Cera lekko śniadawa kazała się domyślać gorącego temperamentu, a czarne bujne włosy podnosiły jeszcze jej barwę. Tylko oczy ciemno szafirowe nie zgadzały się z ogólnym charakterem tej twarzy, były bowiem łagodne i marzycielskie.

— No, proszę, skąd u Niemca wzięły się takie oczy — myślała, odbywając przegląd jego osoby — albo te ruchy szlachetne, albo wreszcie to czoło tak dumne, jak gdyby było do korony stworzone? Tak niezawodnie wyglądać musiał Wilhelm Zdobywca i Karol XII-ty.

Żaden zaiste krytyk nie był mniej życzliwie usposobiony dla krytykowanego przedmiotu, jak Basia w tej chwili dla młodego cudzoziemca, którego uśmiech jej się nie podobał. Począwszy od kapelusza aż do butów, nic, ale to nic nie uszło jej uwagi. Niestety, nie znalazło się nic do zarzucenia! Czarny jego ubiór, choć świadczył o wytwornym smaku właściciela, odznaczał się wielką prostotą; nawet stalowy łańcuszek u zegarka świadczył, że Herman von Walden lubi prostotę we wszystkim. Nie podobał jej się także jego pies, który, przywitawszy się z wszystkimi przyjaźnie, ją jedną obszedł dookoła podejrzliwie.

Dawison wyglądał ciągle tak, jakby nie ochłonął jeszcze ze zdziwienia, że stanął przed nim ktoś, kogo on nie spodziewał się tutaj widzieć. Pani Konstancja dostrzegła to widać i, żeby zmienić przedmiot rozmowy, a przytem spełnić obowiązki gospodyni domu, odezwała się do Hermana:

— Napijesz się pan z nami kawy?

— Jestem już po śniadaniu — odrzekł z lekkim ukłonem — i od trzech godzin; odbyłem już dziś bowiem daleką

wycieczkę i odpoczywałem w chacie wieśniaczej, gdzie mnie gościnnie uczęstowano mlekiem i jakimś szarym podpłomykiem upieczonym na węglach, co wszystko razem smakowało mi wybornie.

— Ach, to pan możesz bezpiecznie wypić jeszcze z nami filiżankę kawy, bo wycieczki dalekie wzbudzają apetyt, wreszcie, od tego sielskiego śniadania trzy godziny już upłynęły — rzekła pani Konstancja i skinęła na służącego, który wszedł właśnie z tacą do ogródka.

Dalekie wycieczki! Basia nieznacznie westchnęła i z pełną zazdrością spojrzała na młodzieńca. Ona nie mogła odbywać dalekich wycieczek, chociaż dusza jej wyrывała się z czterech ścian pokoju w te góry, których szczyty niebieskawo widziała ze swego okna. Nie miała z kim, a wreszcie babka potrzebowała jej ciągle; to też nie mogła się pochwalić, że była choćby na jednym z tych olbrzymów, co otaczają dolinę Landeku dookoła, niby strażnice — ani że spoglądała choć raz z wysokości na rozpościerające się u stóp swoich krajobrazy. Rozkosz tę gotowa była sobie zdobyć kosztem swych małych nóżek, choćby nawet miały za to później ciężko pokutować.

— Nikt nie wie o moim talencie w nogach — myślała, patrząc z goryczą na Hermana — choć pewna jestem, że zawstydziłabym tego brandenburczyka!

— Właśnie z tej wycieczki wracając — mówił dalej młodzieniec — szedłem tą drogą i spotkałem służącego państwa, Fryca, niosącego kosz owoców z przeciwległego ogrodu, i dowiedziałem się od niego, że państwo tu mieszkacie: przyjechałem bowiem dopiero wczoraj i nie miałem jeszcze czasu dopytać się o to. Powiedział mi także Fryc, że państwo macie gościa i to ośmieliło mnie do tak ранnej wizyty. Na dowód zaś, że myślałem o sobie, aby nie być głodnym, w razie gdybym tutaj nie dostał drugiego śniadania, oto

czereśnie, którymi przy tej sposobności naładowałem sobie kieszenie.

To powiedziawszy, położył na stole duży pęk ołhrymich czarnych wisien. Poufały ten stosunek z państwem Dawison, dowodzący dawnej i dość zażyłej znajomości, zaczął się niepodobać Basi.

— Jesteś pan dzielnym chłopcem — odezwał się Dawison — ale nie waż się iść na drugą podobną wycieczkę beze mnie. Ja niby to osłabiony jestem, jak utrzymuje doktor i Konstancja, w czym może i jest trochę prawdy: ale wiem, że ruch, wywołujący silniejsze i głębsze oddychanie, byłby dla mnie wybornem lekarstwem. Zobaczysz pan, że umiem chodzić jak każdy turysta. Co to za rozkosz pokonać trud jakiś i osiągnąć za to nagrodę w pięknym widoku i przekonaniu, że się nie jest niedołągą. . ani kobietą — dodał z uśmiechem, patrząc na żonę. — Ale powiedzże nam pan przecie, jakim sposobem znalazłeś się tutaj?

— Bardzo prostym: wiadomo panu, że szukam zawsze w lecie jakiegoś uroczego miejsca pobytu — a lubo w mojej kochanej Brandenburgji nie brak miejsc takich, boć i mój Waldenburg nie jest ostatni pod tym względem, to jednak w naszej szerokiej ojczyźnie wiele jest takich, szczególnie w okolicach górskich, które najwłaściwiej odwiedzać jest latem. Zresztą, przez Landek wszędzie dostać się można, jeśliby się nie wolało w niem pozostać, dopóki tam jest szanowny mój przyjaciel.

To mówiąc, wyciągnął rękę do Dawisona, który mu machinalnie swoją podał, jakby mimo słuchania, co tamten prawił, w jakąś głęboką popadł zadumę, jak mu się to nieraz i najniespodziewaniej zdarzało.

— Dowiedziałem się też z dzienników — mówił dalej — że są w tych stronach do nabycia łomy marmuru pod ko-

rzystnemi warunkami. Pragnąłbym je obejrzeć i nabyć, jeżeli można, i tym sposobem połączyć przyjemność z interesem.

— Spekulant — zadecydowała Basia, spoglądając nań z wyrazem zawiedzionej ciekawości — jak wszyscy Niemcy zresztą; powinnam się tego była odrazu domyśleć. Poezja i piękności natury obchodzą ich wtedy tylko, kiedy im korzyść materialną przynoszą. Handlarzel! A jednakże te oczy, doprawdy, nie są wcale oczami spekulanta.

W istocie, niesympatyczny dla Basi cudzoziemiec dowiedział wkrótce, że oczy jego nie myliły, i że, pomimo iż był spekulantem, miał duszę poetyczną i zdolną do uniesień. Opowiadał właśnie pani Konstancji o swoim kilkotygodniowym pobycie w Marchji i opisywał północne okolice tej prowincji porośnię lasami, poprzerzynane wodami, które zdaniem jego zwiedzić powinien każdy człowiek szukający wrażeń. Mówił z zapalem o starożytnych zamkach i staroniemieckich podaniach przywiązanych do ich murów; o przyszłości wielkiej ojczyzny niemieckiej i jej misji cywilizacyjnej w Europie — pozwalając sobie w tem wszystkiem przesady, która każdego nieuprzedzonego Niemca razićby musiała.

Basia słuchała zrazu obojętnie, chociaż ją to niecierpliwiło — ale gdy mówca, unosząc się nad genjuszem hrabiego Bismarcka, malował następnie żywymi barwami przyszłe szczęście ludów pod przewagą polityczną Niemiec — zaczęło się w niej wszystko przeciwko niemu buntować. Podrażnił ją bardziej jeszcze wyraz twarzy Dawisona, który spoglądał na nią, uśmiechając się złośliwie i prawie wyzywająco. Tego już było nadto.

— Słuchając pana — odezwała się z lekką ironią — zdaje się jakoby oprócz Niemiec nic już innego na świecie nie było! Cały Olimp północny poszedł zaludnić wasze wody i wasze lasy; wszystka poezja ludzkości do was się przeniosła; wszystkie piękności natury skupiły się na waszych piaszczystych równinach...

— Na naszych piaszczystych równinach? — powtórzył z udanem oburzeniem — tożto czyste bluźnierstwo! Nasze lasy...

— Są krzakami wobec naszych puszczy, których siekiera jeszcze nie tknęła! Szkoda, że pan nie byłeś nigdy nad Wisłą i Niemnem, nad Bugiem i Dunajcem... Na naszych równinach ziemia jest czarna jak heban i złotodajna. Nasze stopy nie mają końca — a góry nasze niebios sięgają!

— Jeżeli nad Wisłą i Niemnem są jeszcze puszcze, których siekiera nie tknęła, o czym wątpię, bom co innego słyszał, to dowodziłoby tylko niskiego jeszcze stopnia cywilizacji Słowian, nie umiających z bogactw ziemi praktycznie korzystać — odparł Herman spokojnie; — co zaś do gór, to pani pewnie wiadomo, że Szwarzwald i Riesengebirge...

— Mogłyby zaledwie służyć za podnóżki naszych Tatr!

— Przepraszam panią! Schneeberg...

— Nie godzien rozwiązać rzemyka u obuwia naszego Lodowego Szczytu — przerwała namiętnie — biorę sąsiednie Węgry na świadki!

Herman von Walden zerwał się na te słowa.

— Pani — rzekł z godnością — szanuję pani przekonania, chociaż się nie zgadzają z mojami; szanuję nawet nienawiść pani do Niemiec, chociaż przyczyny jej nie pojmuję, bo nikt nie odpowiada za swoje uczucia — ale ubliżać w mojej obecności krajowi memu nie pozwolę! Jestem Niemcem i szczycę się tem imieniem. Niech żyje Germania! — zawołał — rzucając w górę swój kapelusz. Ale jednocześnie także dał się słyszeć okrzyk na cześć Polski, i słomiany kapelusz przepasany błękitną wstążką wyleciał także w powietrze.

Oba spotkały się w górze, i... stało się, co się dzieje na ziemi, zwłaszcza od czasu, jak kanclerz żelazny Europą władał: „siła poszła przed prawem“. Czarny piłśniowy ka-

pelusz uderzył swego wątłego, choć wiele szerszego rywala, popchnął ku ziemi — i o zgrozo! spadając, nakrył go swoim ciężarem.

— Zwycięstwo! — krzyknął młodzieniec, rzucając triumfujące spojrzenie na panienkę, której rozplomieniona twarzyczka świadczyła o jej dla zwycięzcy usposobieniu, i schylił się skwapliwie po oba kapelusze, zanim Basia zdążyła swój własny wycofać. — Naturalnie, że to, com zdobył, do mnie należy — mówił, podnosząc słomiany w górę i potrząsając nim niby chorągwią na nieprzyjacielu zdobytą.

Czarne oczy Basi gniewem błysnęły. Miałż go prosić, tego brrrrrandenburczyka? Nigdy! nigdy się przed nim nie upokorzył! Niech go sobie zatrzyma — niechaj całe życie kapelusz jej kamieniem ciąży na jego sumieniu...

— Znane są zaborcze dążenia Niemiec; świat wie, że od wieków aneksjami tylko żyją! — powiedziała tonem najwyższej pogardy i odwróciła się.

Państwo Dawisonowie zanosili się od śmiechu, a on na każde przemówienie wykrzykiwał: brawo! jakby zamiarem jego było podniecać ich antagonizm.

Odpowiedź panienki zmieszała Hermana. Stał przez chwilę zakłopotany, obracając w rękę nieszczęsny kapelusz, u którego dwie wstążki błękitne powiewały z wiatrem niby dwa sztandary, walczące do ostatka o swoją niepodległość; ale nie był on człowiekiem, któregoby cośkolwiek na długo zmieszać mogło i któryby nad położeniem zapanować nie umiał. Zakłopotanie jego trwało tylko chwilę; podniósł głowę do góry, rzucił na Basię przelotne spojrzenie i rzekł, zwracając się do Dawisona:

— Gdy dwa lata temu Austria zwyciężyła Włochy, i mimo to widziała potrzebę oddania im Wenecji, a honor zwycięzcy nie pozwalał jej tego uczynić, cesarz Franciszek Józef złożył tę perłę Adryatyku jako dar w ręce cesarza Na-

poleona III-go, którego rozum i takt polityczny cenili wysoko. Za przykładem zwycięzcy z pod Custozzy i Lissy składam w ręce pańskie zdobycz, której honor Niemiec nie pozwala mi zwrócić prawemu właścicielowi!

To powiedziawszy, Herman złożył na stoliku przed Dawisonem słomiany kapelusz, którego wielkość i niezgrabność nigdy nie uwydatniła się bardziej, jak w tej chwili.

— A Napoleon III wspaniałomyślnie zwrócił Wenecję Włochom — odrzekł Dawison z powagą, zastosowaną do wielkości sprawy, o którą chodziło.

Powstał i, kładąc go uroczyście na głowę Basi, dodał wesoło:

— Niech żyje Francja!

— Niech żyje Francja i Dawison! — wykrzyknął młodzieniec, ale Basia nie przyłączyła się do jego okrzyku.



ROZDZIAŁ III

JAKO PANIENKA BYŁA WIELU RZECZY CIEKAWA I CO
JEJ BABKA POWIEDZIAŁA.



Basia wracała do domu w złym humorze. I cóż z tego, że osiągnęła wreszcie to, czego pragnęła, zobaczyła Dawisona — więcej nawet, jadła z tym wielkim człowiekiem śniadanie, kiedy całą przyjemność zepsuł jej ten?...

Tu małe jej usteczka ułożyły się znowu w pogardliwy wyraz. Że też ci Niemcy wszędzie wcisnąć się muszą! niedługo zaleją cały świat, niby potop... Przyszła jej do głowy myśl, że dobrze byłoby zbudować arkę dla ocalenia rodzaju ludzkiego od zupełnej przed tą powodzią zagłady. Myśl o budowie arki, przez prostą konsekwencję połączyć się musiała z myślą zabrania po parze wszystkich zwierząt do korabia — bo i tych biednych stworzeń nie należało zostawiać na pastwę Niemcom, którzy, posuwając coraz dalej swoje zagony, mogą zapomnieć różnicy między *moje* a *twoje* i nie uszanować ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest. I przypomniały się Basi dwie białe gęsi, jej własne, które zostawiła na wsi z tuzinem żółtego jak złoto po-

tomstwa; czarny kogut z ostrogami i czerwonym grzebieniem; cztery króliki, dwa gołębie i zajączek złapany w przeddzień jej wyjazdu przez gajowego. Zadumała się. I te niewinne istoty miałyby wydać na pastwę kulturträgerów? za nic!

Nie mogła myśleć spokojnie o zniewadze, jaka spotkała jej kapelusz: co ją zaś najbardziej oburzało, to piękność tego cudzoziemca, jego swoboda w obejściu i wesołość — a już te śliczne szafirowe oczy były mu prawdziwie nie do darowania! Albo ten jego uśmiech złośliwy! O, niech się nie spodziewa, że ten uśmiech zostanie mu kiedy zapomniany — chybaby sprawiedliwości bożej na świecie nie było... Gniewała ją także przyjaźń okazywana mu w Wiktorja-hof i serdeczność z jaką go tam powitano. Mniemała, że drzwi tego domu, zamknięte dla wszystkich prócz doktora, otworzyły się dla niej jednej; tymczasem cudzoziemiec pokazał jej, że nie posiada przywileju wyłączności. Gdyby jeszcze ten uprzywilejowany był artystą, poetą lub choćby dziennikarzem, z imieniem znanem daleko i szeroko, byłoby to łatwiejsze do strawienia — ale jakiś tam spekulant!.. Pocieszała ją nadzieja, że więcej ze swoim współzawodnikiem spotykać się nie będzie, a nadzieja ta po krótkim namyśle zamieniła się w pewność. Ludzie, u których czas znaczy pieniądź, oszczędzają go tak, jak pieniądze więc i ten niezawodnie dziś lub jutro Landek opuści; drzwi Wiktorja-hofu będą dla wszystkich prócz niej zamknięte.

Tu myśl jej ruchliwa, przeskakująca z łatwością od przedmiotu do przedmiotu, zatrzymała się znowu na osobie Dawisona. Przypominała sobie każde jego słowo, każdy ruch nieomal. Żegnając ją, ujął obie jej ręce i, ścisnąwszy je mocno, wyrzekł łagodnym, przenikającym głosem: „Serdecznie się cieszył” — co miało znaczyć, że to jej odwiedziny były mu powodem radości. Nigdy, nigdy, nie zapomni tych wyrazów! O, gotowa była przysiąc, że ten Niemiec nie

odszedł tak żegnany. Gdyby nie on, jakże byłaby w tej chwili szczęliwa! Dawison, ten potężny artysta, który talentem swoim stary i nowy świat zdumiewał, król sceny, prosił ją, ją Basię, jak o łaskę, aby go odwiedzała czasami! Sprawiało jej to pewien zawrót głowy; zdawało jej się, że o lokieć wyżej urosła – i tylko wspomnienie owej fatalnej przygody z kapeluszem, która zdaniem jej mocno zaszkodziła jej powadze, miarkowało jej upojenie.

Droga, którą szła Basia, zaraz od Wiktorja-hofu wiodła pod górę do zakładu kąpielowego, zwanego Georgenbad, który szklaną kopułą swoją imponuje zdaleka i zdaje się zamykać przejście, jakby już za nim nic więcej nie było. Dopiero, przybywszy do tego gmachu, spostrzega się, że jest tylko wciśnięty w wylom góry, z której wnętrza biją źródła uzdrawiające — a jego wspaniała kopuła szczytem swoim nie dosięga nawet podnóża małego katolickiego kościółka, stojącego na górze i ukrywającego się w gromadce olbrzymich tuj, wydających silną woń, podobną do woni rozmarynu. Z pośród tych drzew, z których najpiękniejsze rosną na samem urwisku, widok jest prześliczny, tylko niebardzo do obserwacji bezpieczny, bo skała potrochu kruszy się i obrywa. Pod skalistą ścianą góry idzie droga i spuszcza się powoli w dolinę między las sosnowy, pokrywający z prawej strony wzgórze, łamiące się w większe i mniejsze wyniosłości, a z lewej rozścielający się na płaszczyźnie. Przy drodze, oddzielone od niej niewielkimi ogródkami pełnymi róż i utrzymywanymi ze starannością nadzwyczajną, stoją trzy pałacyki jakby żywcem z Włoch przeniesione, a klasyczne ich kształty rysują się malowniczo na ciemnym tle zieleni. Za nimi, wsunięty nieco w głąb lasu, stoi mały szwajcarski domek, wyglądający przy trzech pańskich siedzibach na skromnego wieśniaka. Domek ten miał jednak coś, czego nie miały i nie prędko mieć mogły wszystkie trzy pałace —

ogród z dużymi, dającymi cień drzewami — gdy w trzech młodziutkich ogródkach, niedawno założonych, nie było gdzie schować się przed słońcem.

Basia szła, nie patrząc na krajobraz, który się poniżej u stóp jej rozpościerał. Parasolka jej zamknięta, choć słońce prosto w oczy świeciło, wykonywała w powietrzu różne wojownicze ruchy, których ofiarą padały liście młodych akacji przy drodze rosnących. Szczęściem, że deszcz ten zielony nie padał długo i że Basia zatrzymała się nareszcie przy furtce ogrodu, prowadzącej do domku, gdyż zniszczenie, jakim się znaczył jej pochód, byłoby doprowadziło do rozpaczyny ogrodnika. Odprawiła skinieniem ręki służącego, którego Dawison dał jej za towarzysza, popchnęła lekko furtkę i szybkim krokiem zmierzała ku drzwiom domku, strąciwszy przypadkiem czy umyślnie parasolką dwa pączki piwonji, rosnącej przy ścieżce.

Babka Basi zajmowała na dole dwa pokoiki z kuchnią. W jednym, z wychodzącymi na las oknami, mieszkała sama, bo doktor kazał jej oddychać żywicznym powietrzem, mającym być dla słabych piersi takim lekarstwem, jak błotne kąpiele dla nóg zreumatyzmowanych — drugi z ganeczkiem oddała wnuczce; kuchnia nakoniec stanowiła udzielne państwo Katarzyny, bardzo przywiązanej do Basi, którą wypia-stowała i z którą nigdy nie chciała się rozstawać. W tem państwie Katarzyny miał i Jędrzej, sypiający w przedpokoju, swoje prawo obywatelstwa. Ale co prawda, niebardzo on z tego prawa korzystał, bo miał wstręt do kobiet, zwłaszcza od czasu, jak Katarzyna poprzysięgła sobie, że z niego ten wstręt wykorzeni.

Oba okna w pokoju staruszki były otwarte. Słońce, poczynające coraz bardziej ludziom dopiekać, przedzierało się powoli przez gąszcz drzew, a nie mogąc między nimi uto-rować sobie szerszej drogi, rzucało tu i owdzie między drzewa

pojedyńcze smugi światła, które za każdym poruszeniem gałęzi drżały i przebiegały po ziemi niby błyskawice. Gdzieś niedaleko między drzewami były luki: słońce rzucało przez nie całe snopy promieni, a te w mgnieniu oka rozkładały się prostopadle między drzewami a ziemią niby struny jakiejś harfy olbrzymiej. Na harfie tej grały hymn poranny drobne muszki czarne, szare, błękitnawe, wznosząc się do góry i opadając niby chmurka, albo rozpraszając się po lesie, aby za chwilę skupić się znowu w świetle. Zapach żywicy mieszał się tutaj z zapachem róż, płynącym z ogrodu. Bluszcz dziki, pnący się po ścianie z tej strony, zaglądał do pokoju, kołysząc się powoli — a słońce, które już także weszło przez okno, przedrzeźniało na przeciwległej ścianie jego ruchy. Okna, aczkolwiek duże, nie były wyżej nad łokieć od podłogi podniesione — skutkiem czego gałązki krzewu, pod murem rosnącego, sięgały parapetu.

Staruszka siedziała przy oknie w wygodnym krześle na kółkach, a nogi jej, oparte na stołeczku, okryte były, pomimo wysokiej temperatury pokoju, ciepłą wełnianą kołdrą. Patrzyła w las zamyślona, przesuwając wychudłymi palcami paciorki różańca, a usta jej przytem poruszały się lekko.

Drobne, przyśpieszone kroki za oknem słyszeć się dały; staruszka spojrzała ku drzwiom, które w tej chwili otworzyły się, i Basia weszła z twarzą zadąsaną.

— Babciul -- zawołała zaraz z proga, puszczając drzwi, które same zatrzęsnęły się za nią — spotkała mnie i mój kapelusz zniewaga, której podarować nie myślę, jeżeli się jeszcze kiedy spotkam z tym zuchwalcem!

— Co się stało, moje dziecko? Kto cię obraził? Mów! pytała babka, na której twarzy odmalował się żywy niepokój.

— Niech babcia posłucha!

Rzuciła na krzesło kapelusz i parasolkę i, siadłszy na oknie, opowiedziała babce swoje przygody z wszelkimi szczegółami, nic nie pomijając, przyczem odmalowała młodego cudzoziemca w najczarniejszych kolorach. Babka, słuchając, wypogadzała się stopniowo.

— A to cała historia — odezwała się, gdy wnuczka, skończywszy opowiadanie, sięgnęła ręką za okno, i może jeszcze resztą gniewu miotana, machinalnie obrywała listki krzewu — Musi to być bardzo nieprzyjemny człowiek... Jakże wygląda?

— Wysoki drab jak ta sosna nieprzymierzając — mówiła, wyciągając rękę w kierunku drzewa, — możnaby go postawić zamiast wieży na kościele, gdyby nie to, że go czuć siarką... Włosy ma czarne jak smoła: przysięgłabym, że się z nich w nocy iskry sypią; nos, no, nos jeszcze ujdzie — jest grecki, chociaż doprawdy Grecy mogli byli lepsze nosy wymyślić! Ale żeby babcia widziała jego oczy!

— Cóż takiego znalazłaś w jego oczach, moja dziewczeczko?

— Widzi babcia... jakby to babci powiedzieć? On na przykład na babcię spojrzy, a babci się zrobi gorąco — to tak... zrobi się babci gorąco ze złości, bo patrzy tak jakby wiedział wszystko, co babcia o nim myśli, i drwił sobie z tego. Nieznośny człowiek! do nikogo jeszcze nie czułam takiej niechęci, jak do niego. Rada jestem, że się z nim więcej nie spotkam.

— Skądże ta pewność?

— Mówił, że celem jego podróży są góry, gdzie jest jakaś kopalnia do sprzedania.

To powiedziawszy, pomyślała sobie, że jednak warto byłoby spotkać się z nim jeszcze raz — dla odwetu.

Podczas tej rozmowy Katarzyna weszła do pokoju ze ściereczką w rękę i zaczęła się kręcić tu i owdzie, przesta-



Klęka przed nią i porywając jej ręce, zawołała: (str. 44)

wiając różne przedmioty z miejsca na miejsce, bez żadnej widocznej przyczyny — dawno już bowiem ukończyła sprzątanie z całą właściwą sobie starannością. Nigdzie śladu pyłku lub kurzu najwprawniejsze oko dostrzec nie mogło. Była ona uosobionym kontrastem Jędrzeja, — gdy bowiem tamten był wysoki, chudy i milczący, ona miała wzrost średni, kształty okazałe i rozmowność w wysokim stopniu. Język ustawicznie pracował, chyba, że była w złym humorze — a to jej się nie często zdarzało. Jędrzej mawiał zazwyczaj, że gdyby Katarzyna była zmuszoną zamknąć usta na jeden dzień, rozchorowałaby się niezawodnie — a Katarzyna mawiała o Jędrzeju, że umarłby, gdyby mu kazano gadać chociaż godzinę, bo słów tak skąpi, jakby to były dukaty.

Przepadała ona za Basią i przywiązaną była bardzo do jej babki; to też ta ostatnia przez wzgląd na szesnastoletnią wierną i pełną poświęcenia służbę tej kobiety patrzyła przez szpary na jej wady.

— Że też pani pozwala naszej panience chodzić byle gdzie — odezwała się, gdy Basia umilkła.

— Jakto „byle gdzie“? — zapytała staruszka, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— A do komedjantów. Toć ludzie gadają, że ci państwo, co panienka była u nich na śniadaniu, jeździli ze sztukami po świecie. Czy to dla naszej panienki towarzystwo, czy co?

Basia parsknęła śmiechem.

— Tak, tak, niech się panienka śmieje. Katarzyna głupia, Katarzyna nie wie, co gada; żeby tak Jędrzej powiedział, to co innego — ale Katarzyna to nigdy racji nie ma.

Basia przestała się śmiać i zaczęła starej słudze cierpliwie tłumaczyć, kim jest Dawison, jak szeroko genjuszem swoim po świecie zasłynął, i jaki z powodu jego sławy na

kraj, w którym się urodził, spada zaszczyt — ale Katarzyna nie chciała, czy nie mogła tego zrozumieć.

— Dobrze, dobrze, niech się dziecko z byle kim zadaje, niech sobie Katarzyna będzie ciemna, niech nic nie wie. Jędrzej to co innego, on ma łaski; co on powie, to dobrze — jemu wszystko wolno... a ty, Katarzyno, choć wychowałaś dziecko, siedź w kuchni, nie mieszaj się do niczego. Zamknij gębę i nie odzywaj się, bo nic nie wiesz; Jędrzej wie wszystko, ty nic. Ja się też nie odzywam, nie!

Ale mimo tego zapewnienia nie myślała przestać i byłaby, Bóg wie jak długo, ciągnęła przytoczony monolog z coraz innymi warjantami — gdyby nie to, że w połowie wyrazu uczuła się pochwycona przez dwie małe ale silne ręce, i zanim miała czas spostrzec, co się z nią dzieje, już tańcowała naokoło stołu z panienką, której przyszło do głowy wyprawiać szalone skoki. Poczciwą kobiecina nie mogła jej wydołać.

— Ah, jakżem się zmęczyła! — mówiła, zatrzymując się i chwytając ustami powietrze, — co też to dziecko ze mną wyrabia! Zbytki, zbytki...

— Puść ją, puść, ty trzpiocie — odezwała się babka — bo musi iść po sprawunki. Cóżes tam dziś wymyśliła na obiad, Katarzyno?

— Będzie barszcz z uszkami, zrazy z kaszą, poziomki...

— Barszcz! wybornie — zawołała Basia, klasnąwszy w dłonie — niech cię zato uściskam!

Rzuciła się Katarzynie na szyję i wycalowała z całej siły jej tłuste, czerwone policzki, a potem, uniósłszy trochę sukienkę, puściła się w taniec solowy naokoło stołu.

— Jakie to dziecko jest wesołe! — szepnęła babka półgłosem do starej sługi, a twarz jej pomarszczona w tej chwili promieniała szczęściem — patrz, Katarzyno, jak zdrowo wygląda!

— Nie wyglądałaby tak na niemieckiej kuchni — od rzekła Katarzyna z przekonaniem; — te pludry nie mają za grosz smaku w gębie. Jakieś waserzupki, jakieś pieczenie duszone na wodzie, i czort wie nie co! Tegoby, z przeproszeniem, polski pies nawet nie powąchał. Różna człowiek tu nie zobaczy nawet na lekarstwo, tfu!

Wzruszyła ramionami i wyszła śpiesznie do kuchni, skąd dochodziły ją niepokojące odgłosy, podobne do syczenia wody na gorącej blasze.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, Basia nagle spowaźniała; usiadła znowu obok babki na oknie, a na twarzy jej nie było ani śladu roztrzepania.

— Babciu — rzekła po chwili milczenia — nie mogę sobie jednej rzeczy wytłumaczyć: nie rozumiem, jak Dawison, który w gniew wpada na samą myśl, że Niemcy chcą mu narzucić swoją narodowość, mógł się ożenić z Niemką?

— Musiał ją kochać...

— Tak, musiał ją kochać — powtórzyła z zamyśleniem, — piękna jest, wygląda na dobrą... ale Polka przemawiałaby do niego językiem, którego dźwięki tak mu są miłe, a ta...

— Serce nie rozumuje, moje dziecko.

— Nie rozumuje... dlaczego? A gdzież jest wówczas rozum, gdy w sercu zaczyna się budzić owo uczucie, które nie rozumuje?

— Rozum często bardzo idzie sobie w inną, a serce w inną stronę. Gdyby ono chciało się pytać głowy o radę, gdyby obliczało naprzód skutki wyniknąć mogące z tego, czego pragnie, oszczędziłoby sobie i innym nieraz wielu późniejszych cierpień i zawodów... wielu nieszczęść...

Westchnęła.

— A więc należy serce zmusić do posłuszeństwa!

— Nie jest to rzecz tak łatwa, jak się zdaje, trzeba do

tego silnej woli i niepospolitego hartu duszy, bo to nie przychodzi bez walk ciężkich i kosztuje dużo cierpień.

— Mnie się jednak zdaje — przerwała Basia — że ja bym z łatwością potrafiła ustrzec serce od uczucia, którego by nie pochwałał mój rozum.

— Mówisz jak ślepy o kolorach — rzekła babka z pewnem zniecierpliwieniem i po chwili wahania dodała: — W twojej własnej rodzinie i za niedawnych czasów działy się smutne rzeczy, o których dowiesz się w swoim czasie, bo teraz nie pora jeszcze do tego; zrozumiesz wówczas, że prawdę mówi piosenka: „Serce nie sługa, nie zna co to pany”. Teraz nie mówmy już o tem.

Zachmurzona staruszka ujęła znów w zwiędłe ręce różaniec i oczy w gęstwinę lasu zapuściła.

Basia chodziła po pokoju rozdrażniona a coraz żwawiej, śnać w miarę jak się w jej głowie coraz tłumniejszy rój myśli wytwarzał. Nagle siadła znów na oknie przed babką, potem zerwała się i uklękła przed nią, a porywając jej ręce okrywając je pocałunkami, zawołała:

— Babciu! czyż ja jeszcze takie dziecko, że nie mogę wiedzieć teraz już tego, co zaszło kiedyś w naszej rodzinie? Przecież mam już szesnaście lat, a czytałam gdzieś, że w tym wieku kobieta już jest dojrzała. Ja tak często myślę o życiu i świecie, tak gorąco pragnę wzrokiem przebić błękit nieba, żeby dojrzeć tajemniczą dłoń rządzącą wszechświatem! Pytam słońca, czemu świeci, wody, czemu płynie, wichru, czemu szumi, kwiatka, czemu wonieje—bo mi nie wystarczają objaśnienia kochanego naszego proboszcza, na naukach przyrodniczych oparte. nie rozjaśniają mi one tajemnic bytu. I smutno mi, babciu, nieraz, i biję się z memi myślami, z memi jakimiś dziwnymi, nieokreślonymi pragnieniami, i chciałabym się pod ziemię czasem schować, żeby nie iść tak na ślepo po świecie. A widzę, że niejednego mogłabym się dowiedzieć,

niejedno dopatrzeć i zrozumieć, gdyby nie zamykano przede mną wrót do nieznanego mi świata prowadzących. Słyszałam niejedno półsłówko, dojrzałam niejedno dyskretne spojrzenie, i rozumiałam, że jest czy było coś tajonego przede mną. Nawet Jędrzej zdaje się to wiedzieć — ale wszyscy jakby przysięgli, milczą. Ciągle jeszcze jestem dzieckiem dla wszystkich i zostanę niem z woli tych, co mnie wychowują. Rozpacz mnie ogarnia!

I zaczęła łkać, pochyliwszy głowę na kolana babki, której poważna twarz opłynęła nieopisanym miłości i współczucia wyrazem. Ucałowała jasną główkę Basi, podniosła ją i ujrzała twarzyczkę śmiejącą się przez łzy z powodu tej dobrotliwej pieśczoły. Ze wzdętej jeszcze piersi dziewczęcia wyrwały się przerywane wyrazy:

— Powiedz, babciu, powiedz, ja mam już szesnaście lat!

Zacna matrona widywała już nieraz chmurki zamyślenia na czole ukochanej wnuczki, ale dostrzegała także, że one ulatywały jak spłoszone motyle za lada wietrzykiem, a jasny promień wesela i beztroskiej pustoty powracał na to czoło i niełatwo je opuszczał. Ale nigdy jeszcze nie słyszała z ust wnuczki wzmianki o jakichś pragnieniach i rozmyślaniach; nigdy nie przypuszczała, żeby w duszy pogodnej tego dziecka nagromadziło się tyle już materiałów palnych, że tak bez powodu wybuchły łkaniem i skargą. Objawy te wrzącego w głowie wnuczki odmětu nie przeraziły babki, choć się ich teraz jeszcze nie spodziewała; ale dały jej do zrozumienia, że jeżeli Basia jeszcze bywa dzieckiem, to pod powłoką dziecinną dojrzewa kobieta, z którą się coraz więcej rachować przyjdzie — że już może i czas na niejedno, co się odwlekało. Boć koniec końców oświecić to dziewczę, w czym można, będzie to ją umacniało na drogę życia, drogę kółkami posianą, szczególnie dla sieroty, którą może Basia już niezadługo zostanie.

— Złamana jestem moralnie i podupadła fizycznie — myślała sobie babka — niech ją wesprę na sierocą dołę, która ją czeka, czem mogę, dziś jeszcze. Zresztą, dowie się prędzej czy później i Bóg wie od kogo i z jakimi dodatkami. Wolę sama powiedzieć, boć nieszczęście to raczej było niż zbrodnia. Zobaczy na przykładzie, do czego prowadzi uczucie w niepoohamowaną namiętność zmienione.

Przesunęła pieszczotliwie ręką po miękkich, jedwabistych włosach wnuczki i rzekła:

— Ani ksiądz proboszcz, ani ja, ani nikt na świecie nie zdoła ci, dziecko moje, odkryć tajemnic, których rozjaśnienia pragniesz. Objawy życia w przyrodzie, stosunki społeczne zdają się tu i owdzie odchyłać rąbek zasłony, za którą Ojciec nasz niebieski dla naszego zapewne dobra ukrył przyczynę wszechrzeczy. To, co się dzieje teraz w twej duszy, dzieje się w każdym człowieku we właściwej porze i we właściwy sposób. Dziecko dojrzewa jak owoc na drzewie — i przejrzeva nakoniec, ale między chwilą dojrzałości a chwilą, w której zdrowy i jędrny niegdyś owoc zmarszczkami się pokryje, straci rumieniec, soczystość i słodycz, czas płynie i niesie swoje wpływy niszczące, od których okoliczności jedne chronią człowieka, a inne go jakby umyślnie narażają. Prawo to odwieczne, niezłomne. a nam daremnie z niem walczyć — choć niekiedy walka jest zasługą, o ile ją sami z sobą staczamy i zwyciężamy sami siebie Dziecko moje! ufaj w Boga, rządź się sumieniem, sercem więcej niż rozumem sądz bliźnich, a odkryjesz w tobie samej złożone w zawiązku tajemnice życia, których rozjaśnienia się domagasz. Język ludzki daremnieby się silił na określenie tego poczucia wewnętrznego, które raz rozbudzone, jak oto w tej chwili w tobie, nie zamrze przez całe życie twoje, lubo niejednokrotnie zdaje się zmieniać barwę. To jak tęcza, której barwy są tylko łamaniem się jednego koloru w roz-

maity sposób. Co zaś dotyczy owej tajemnicy, owego nieszczęścia w naszej rodzinie, to mogę ci o niem kilka słów powiedzieć, choć to będzie kosztowało jako przypomnienie b lesnych okoliczności. Nie myślę, żebyś z tego jaki pożytek odniosła, bo raczej się zasmuci duszyczka twoja; ale jeżeli chcesz koniecznie, to ci powiem.

Poważnej tej rozmowy a treściwej słuchała Basia z wlepionemi w twarz babki oczami, w których jeszcze łyzy błyszczały. Dla niej była to dotąd tylko teoria i dość ciemna i zbyt ogólnikowa, choć domyślała się w niej owocu doświadczenia życiowego, którego echo niekiedy i z ust księdza proboszcza ją dolatywało. Mniemała jednak, że jak każda teoria zyskuje na poparciu jej praktycznemi dowodami, tak i w tym razie ogólniki babki zrozumialsze będą, gdy się je zastosuje do wypadków istotnych życia, a jeszcze takich, które w jej własnej zaszły rodzinie. Więc ucałowała znów rękę babki i wlepiła w nią błagalnie a pytająco promieniste swe oczy.

Babka zrozumiała nacisk i rzekła:

— A więc posłuchaj. Jeden z naszych krewnych miał przyjaciela, którego kochał jak brata; rośli prawie razem, razem się bawili, razem skończyli szkoły i jęli gospodarować jako sąsiedzi. Przyjaźń ta trwała, dopóki nie przybyła do stolicy z towarzystwem aktorów włoskich pewna słynna śpiewaczka. Głos jej, a więcej jeszcze piękność i przymioty umysłu zrobiły silne na obu przyjaciółach wrażenie. Historji ich nieporozumień opowiadać ci nie będę — dość, że tamten poślubił Włoszkę potajemnie, bo jego arystokratyczna rodzina nie byłaby dopuściła takich związków.

Mój . krewny zawsze namiętnie oddawał się polowaniu, zamiłowanie do tej rozrywki osłabło nieco, gdy poznał Włoszkę, ale rywalizacja z przyjacielem i przymusowe powściągnięcie się zwróciło go znów do myśliwstwa, które zda-

wało się przynosić mu pewną ulgę. Jednego dnia, dość późnym już rankiem wybrał się na taką wycieczkę i, przejeżdżając obok domu Włoszki, spostrzegł wychodzącego stamtąd przyjaciela, o którego związku małżeńskim nic nie wiedział. Uniesiony gniewem i namiętnością, obrzucił go obelgami i, nie czekając wyjaśnień, nożem myśliwskim, który miał przy sobie, ranił go w piersi tak nieszczęśliwie, że tamten padł na miejscu.

— Ach niegodziwiec! — zawołała Basia — nikczemnik! zabić przyjaciela, i to jeszcze dla jakiejś tam cudzoziemki!..

— Basiu! — przerwała gwałtownie staruszka, a zwiędłe jej usta zdrząły — wstrzymaj się, bo nie wiesz, co mówisz. Zabraniam ci tak go nazywać!.. Młodość — dodała spokojniej — nie powinna być tak skorą do sądów, bo nie wie, co los jej samej przyniesie. Masz w tej smutnej historii przykład i dowód, że serce nie zawsze daje się powodować rozumowi. Pilnujże twego, gdy się ono odzywać zacznie.

— O! — zawołała Basia — mnie los nie przyniesie nic podobnego; walczyłabym przeciwko niemu wszelkimi siłami i musiałabym zwyciężyć.

Czarne jej oczy, gdy to mówiła, ogniem błyszczwały, a na jej dziecinnej twarzyczce odmalowała się nie dziecinna bynajmniej energja i stanowczość. Staruszka popatrzyła na wnuczkę, a po ustach jej przebiegło znowu coś nakształt drżenia.

— Robi się coraz podobniejsza do ojca — myślała — nawet jego natura zdaje się w niej odzywać. Oby tylko była mniej porywczą i gwałtowną...

Basia pytała dalej, co się stało z zabójcą.

— Musiał uchronić z kraju, a gdy w kilka lat potem, skutkiem usilnych starań miało już być dla niego uzyskane pozwolenie powrotu, rodzina zabitego zaczęła się temu systematycznie sprzeciwiać, grożąc procesem kryminalnym; że zaś

byli to ludzie możni i mieli wpływy, więc postawili na swoim. Odtąd to świetne jego imię straciło blask swój dawny, a fortuna poszła w ruinę. Te i tym podobne udręczenia podkopały zdrowie biednego tułacza. Umarł w kwiecie lat męskich.

— Czy on się nazywał tak jak my ten krewny?

— Tak... nazywał się tak samo.

— A jak mu było na imię?

Babka milczała.

— Na co ci wiedzieć jego imię, moje dziecko — rzekła po chwili — nie znałaś go. Pamiętaj jednak, że był to człowiek nieszczęśliwy raczej, niż występny.

Basia nie śmiała dłużej nalegać o to, co babka chciała utrzymać przed nią w tajemnicy, jakby to był ktoś bardzo jej bliski. Ciekawość jej jednak została tą okolicznością podniecona jeszcze bardziej. Próżno przeglądała w myśli wszystkich zmarłych męskich członków rodziny — na bohatera powieści żaden nie przypadał. Jędrzej może coś o tem wiedział — ale czy powie? A wreszcie, czy godzi się pytać go o to w sekrecie przed babką?

— A co się stało z Włoszką? — pytała jeszcze.

— Włoszkę i jej syna, urodzonego po zgonie gwałtownym ojca, przygarnęła jego rodzina, dając jej pewnie uczuć niekiedy, że między nią a nimi niema wspólnego nic prócz nieszczęścia, którego ona pierwszym, acz mimowolnym była powodem. Umarła też nieboga w dwa lata po mężu. Syn jej jest jedynym przedstawicielem tego rodu i dziedzicem wielkiej fortuny. To także wróg nasz zacięty! Prześladowcy nasi od dzieciństwa szczepili w niego nienawiść do nas — i zdaje się, że ziarno padło na bujną rolę. Spotkałam go raz, idąc do kościoła z Jędrzejem, gdy właśnie wychodził stamtąd ze swoim guwernerem. Był jeszcze wówczas małym, zaledwie odrosłym od ziemi pacholęciem. Ujrzawszy nas, za-

wół: „Rozbójnicy idą, rozbójnicy!“ — i, wyciągając swoją drobną zaciśniętą pięść ku mnie, krzyknął: „Poczekajcie: zapłacę ja wam, gdy dorosnę!“ Od tej pory nie widziałam go więcej.

— I nie wie babcia, co się z nim dzieje?

— Owszem, wiem: przebywa ciągle zagranicą i podobno wiele podróżuje. Ci, co go znają, chwają go: co do mnie, jednak, nie bardzo temu wierzę — i drugiego spotkania z nim nie życzę sobie. Daj Boże, abyśmy pozostali dla niego nazawsze nieznani!

Zamilkła staruszka — ale w jej myśli snuł się dalej wątek powieści; a szczegóły jej nie musiały być wesołe, bo czoło to marszczyło się w ostre fałdy, w których błyskawice gniewu zdawały się gnieździć, to zasuwano chmurą, w której zbierała się ulewa łez tłumionych. Palce tymczasem przesuwają paciorki różańca, spełniając czynność mechaniczną, która wreszcie miała wziąć górę nad burzami duszy, i spokojną rezygnację wraz z modlitwą przywołać.

Milczała i Basia, ale twarzyczka jej przestała jaśnieć dotychczasowym spokojem. Szukała w sobie zrozumienia, jak dla jednej obcej kobiety mogli się zniechęcić dwaj przyjaciele; myślała też o tym nieszczęśliwym w uniesieniu gniewu zabitym i zabójcy, którego babka nazwała „nieszczęśliwym raczej, niż występny“ i o tym chłopcu, co im groził zemstą. Wiele, bardzo wiele rzeczy niejasnych dla niej dotąd w postępowaniu babki rozumiała teraz. Było to rzeczą niemal pewną, że Jędrzej wszystko wiedział.

Słońce tymczasem posuwało się na niebieskim stropie coraz wyżej, a muszki coraz ciszej grały hymn swój poranny, aż nareszcie umilkły zupełnie. Z niemi razem umilkły także wszystkie głosy natury, jakby się kryły gdzieś w gąszczu wraz z odchodzącym porankiem. W towarzystwie niezmaconej pogody, w orszaku srebrnych chmur, w oślepiają-

cem światło promieni słonecznych ukazywało się zdaleka południe, coraz gorętszem obejmując tchnieniem.

Przed oczyma staruszki przesuwały się kolejno obrazy przeszłości, a więc większe i mniejsze burze, z których każda odłamywała kolejno po jednej gałęzi z jej rodzinnego drzewa. Jedna zabrała jej ojca, inna męża, trzecia — ach, ta trzecia wzięła jej aż trzech synów!.. A tacy byli jeszcze młodzi, tacy spragnieni życia i jego wrażeń! Jedno jej słowo, jeden rozkaz mógł ich być może zatrzymać — a przecież... nie wyrzekła tego rozkazu. Milczała. Poszli i nie wrócili. A jej pierworodny, najświetniejsze budzący nadzieje, najmilszy sercu, musiał uciekać jak pospolity zbrodniarz, i umarł na obczyźnie w kwiecie lat męskich. I oto została jak pień samotny, bo to wie, że już jako drzewo odrodzić się nie może — a ta młodziutka gałązka, co została jeszcze dla niej, niby ostatni promień słońca, lada chwila oderwie się od pnia rodzinnego i jak bluszcz owinie się około innego drzewa.

Basia, patrząca uważnie w twarz babki, zaczęła ją pytać troskliwie i z uczuciem, co jej jest, i dlaczego tak smutna.

— Widzisz moje dziecko — odpowiedziała — bywają chwile, że serce człowiecze ogarnia jakaś żalność dziwna, na którą niema nazwiska. Przypomina mu się młodość i duszno mu; chciałby odetchnąć szerzej, a czuje, że już tylko westchnąć może... I myśl idzie między groby, a świat zdaje się pustynią od czasu, jak się one zawarły. Świat nowy, taki inny, taki niepodobny do dawnego! Wszystko, czem serce kiedyś żyło, co kochało, w przeszłości pogrzebane zostało.

— Babciu — rzekła z uczuciem — alboż babcia nie ma mnie przy sobie? Alboż ja babci nie Kocham? alboż nam źle jest razem?

— Moja dziewczeczko, teraz jeszcze życie moje jest ci istotnie potrzebne, ale z czasem, niezadługo może przestanie niem być. Przyjdzie czas, że będę musiała oddać cię w inne

ręce. Ty sama odejdziesz. A człowiek żyje wtedy tylko prawdziwie, kiedy czuje, że jest potrzebnym — kiedy jest niby kolumną, na której się coś opiera, fundamentem, na którym się coś buduje.

— Ależ, babciu! — zawołała prawie z płaczem Basia — ja w żadne inne ręce oddaną być nie chcę! Zostaniemy zawsze razem. Jestem bardzo szczęśliwa i niczego innego nie pragnę.

— Nie mów tego, moje dziecko. Młodość ma swoje prawa i nie powinna ich się zrzekać. Grzechem byłoby nawet odpychać dary boskie — należy raczej używać tego, co Bóg dał — a im kto użyje lepiej i rozumniej, tem szczęśliwszy. Są, co mówią, że Boga najlepiej czci się cierpieniem — ale ja powiadam, że równie dobrze chwalić go można szczęściem pocziwem. To też powtarzałam zawsze młodym: dzieci, korzystajcie z czasu, w którym kochać, poświęcać się i być szczęśliwym wolno; korzystajcie z czasu i życie wszystkimi szlachetnymi siłami młodości, nim zima przyjdzie i włosy wam śniegiem przysypie — nim wasze serca i ofiary wasze nie staną się już na nic nieprzydatne. Zrywajcie kwiaty, póki można, abyście potem, gdy opadną, nie powiedzieli: szkoda! Patrzaj Basiu — mówiła, wskazując ręką w okno — świat jest piękny, tyś młoda, a Bóg nie jest surowym tyranem, ale dobrym, kochającym ojcem, obdarzającym hojnie swoje dzieci. Bądź szczęśliwą! Niech będzie błogosławiona młodość, co wierzy w szczęście i szczęście stwarza — młodość, dla której poświęcenie jest radością, która umiera odważnie i z uśmiechem nadziei na ustach...

Głos jej, gdy to mówiła, drżał wzruszeniem, a pomarszczone lica dziwnie wypiękniały. Krasił je lekki rumieniec jakby odbłask młodości, a w oczach pogasłych błyszczało coś, niby ogień, co się niegdyś w nich palił. Podniosła oczy w niebo z wyrazem tak niezziemskiego, anielskiego spokoju,

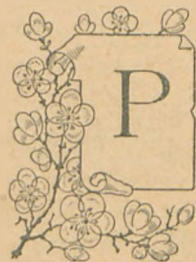
jakby tam wśród obłoków widziała unoszące się promienne postacie swoich synów. Ktoby ją widział w tej chwili, musiałby powiedzieć:

Błogosławiona starość, której cierpienia nie uczyniły gorzką; błogosławione życie, które nie żałuje poniesionych ofiar — i boleść, która nie przeklina.



ROZDZIAŁ IV

O POTULNYM OSIOŁKU I O KŁOPOCIE, JAKIEGO PANIENCE NAROBILI.



o obiedzie Katarzyna przyszła z wiadomością, że Lorenz, siostrzeniec gospodyni, kupił sobie dwa osiołki i będzie je wynajmował paniom do przejażdżek po górach — tak jak czynią to jego koledzy, mający z tego niemale zarobek — i że je tu właśnie przyprowadził w całym rynsztunku. Katarzyna nie mogła się nachwalić, co to za prześliczne stworzenia, jakie łaskawe, jak nic nie zdają się wiedzieć o nieprzyzwoitym zwyczaju wierzenia kopytami; w końcu dodała, że panienska mogłaby się na którym z nich przejechać — notabene w jej towarzystwie. Dostyc już bowiem Jędrzej naspacerował się z paniami, kiedy tymczasem ona siedzi ciągle za piecem i nic o tem nie wie, że do wód przyjechała. Ta ostatnia zwłaszcza okoliczność natchnęła ją energiczną wymową; lubiła bowiem spacerować i jak żyje nie jeździła jeszcze na niemieckim osle — ba, na polskim nawet, choć i na Kujawach był osiołek, na którym pacholęta jeździły za bydłem, a którego Basia niekiedy dosiadała.

Projekt, radośnie przez panienkę przyjęty, żadnej ze strony babki nie napotkał przeszkody — to też w chwilę potem Basia w swoim historycznym kapeluszu szła przez ogródek z Katarzyną do furtki, za którą stały dwa osiołki, spokojnie wyskubując trawę z pod sztachet, a przy nich dwudziestoletni chłopak, puszczejący powoli bokiem ust kłęby dymu z krótkiej porcelanowej fajeczki i poprawiający z miną wielce zadowoloną to popręgi, to uzdeczki, to ciemno szafirowe czapaki, starannie do siodła przytroczone. Oba rumaki prezentowały się wspaniale w tym rynsztunku, widocznie pierwszy raz dopiero użytym, bo wyglądał jak z igły zdjęty

Na odgłos zbliżających się kroków odwrócił się, kiwnął głową, dotknął ręką kapelusza i wycedził przez zęby:

— Moorgen.

To samo sakramentalne słowo wyrzekł i drugi o kilka lat młodszy chłopak, który teraz dopiero podniósł się z trawy leniwie

— Morgen — odpowiedziała Basia i, zaledwie dotknąwszy strzemienia, jednym susem wskoczyła na siodło.

Trudniej nieco poszło z Katarzyną, jako z osobą korpulentną. Ubrana w świąteczną suknię trawiastego koloru i czerwoną chustkę w kraty z frendlami, opuszczoną z tyłu na sposób, w jaki starsza pani zazwyczaj opuszczała mantylę — prócz tego trzymając w jednej ręce parasolkę, a w drugiej nieposzlakowanej białości chustkę od nosa, z trudnością wgramoliła się na siodło z pomocą starszego chłopaka. Twarz jej w zupełnej była z ubiorem harmonji, miała bowiem wyraz odświętny, a w małych siwych oczach malowało się wielkie zadowolenie; że zaś z charakteru jej wynikała, iż jej usposobienie wewnętrzne oddziaływało zawsze na otaczające ją przedmioty, przeto i chłopak prowa-

dzący osła wydał jej się wcale niczego, chociaż to był Niemiec.

— Jakiś porządny chłopak — myślała, patrząc na jego wysokie, do kolan sięgające buty, niezgrabny włóczkowy kaftan i niebieską kamizelkę w żółte kwiatki, od której odbijała czarna jedwabna chustka związana w gruby węzeł pod szyją i słomiany kapelusz z szerokimi skrzydłami.

Osiolki postępowały zwolna; dym krótkiej fajeczki chłopaka leciał Katarzynie prosto w nos, ale jej to bynajmniej nie gniewało — przeciwnie, było jej nawet przyjemnem, a sama fajka z wymalowaną na porcelanie panną wydała jej się bardzo gustowną. Przypadkiem czy umyślnie upuściła dwa razy na ziemię chustkę od nosa, którą pięknie trzymała rozłożoną w dwóch palcach prawej ręki, a chłopak schylał się skwapliwie i podawał jej, uchylając przytem kapelusza.

— Rozsądny człowiek — mówiła do siebie i dziękowała mu pełnem wdziękiem skinieniem, przyczem oba bandaże jej czepka kołysały się majestatycznie; — wcale nie to, co Jędrzej, któremu się zawsze zdaje, że łaskę robi, jeżeli na człowieka spojrzy. Rozsądny człowiek, ale też gęby ani otworzy, jakby mu ją kto замуrował.

I powoli, powoli, wciągnęła go Katarzyna w rozmowę, bo jak już mówiliśmy, była to osoba nie lubiąca milczeć, a po niemiecku nauczyła się trochę od starej bony, która niegdyś pomagała jej wychowywać Basię i dotąd pełniła na wsi obowiązki garderobiany. Wprawdzie z początku odpowiadał jej takimi monosylabami jak: So? Ja, Hm, — ale nakoniec wielomówność kobieca i jemu rozwiązała język. Osiolek szedł, spuściwszy głowę, jakby się przysłuchiwał rozmowie.

Drugi osiołek, prowadzony przez młodszego brata Lorenza, Johana, czy to, że mniejszy ciężar dźwigał na grzbiecie, czy też z innych jakich powodów, postępował nieco róż-

niej i śmielej — i o kilkanaście kroków swego towarzysza wyprzedzał. Johan śnać więcej, niż brat jego, ufał oślemu charakterowi podjezdka, czy też dostrzegł w Basi obycie się z tego rodzaju rumakiem, bo nie prowadził go za cugle, tylko je oddał panience, zadawałnając się od czasu do czasu jakimś głośniejszem mruknięciem lub nawoływaniem, zwłaszcza, gdy osiołek zwracał się nazbyt uporczywie w bok, gdzie zielona trawka nęciła jego podniebienie. Osiołek niechętnie powracał na drogę i ustawicznie się na bok oglądał, czem poruszone tkliwe serce Basi nie szczędziło mu pieszczot. Głaskała białą rączką jego szary łeb k, wystające uszy i nazwała go „milutkiem stworzeniem”.

Jechali ciągle między dwiema ścianami lasu, aż do domku węglarza i, ominąwszy stopy drzewa w sągi ułożyło, zwrócili się w bok wąską drożyną, a przebywszy niewielki wąwóz, wyjechali znowu na wzgórze olbrzymiemi sosnami porośłe. Panowało ono nad innemi mniejszemi wzgórzami i otwierało perspektywę na małą łączkę, przez której środek płynął wąski pasek wody. Za łączką był znów wąwóz, a sosny rozpościerały nad nim ramiona tak szeroko, że ledwie pojedyncze promienie słońca mogły się w nim łamać, ale ono samo prawdopodobnie nie zaglądało tam nigdy. Wąwóz ten, a raczej korytarz, nie był znowu tak wąskim, aby dwa konie lub dwa osły nie mogły postępować obok siebie, a chociaż u wejścia do niego położył się strumień, o którym mówiliśmy i jakby umyślnie w tem miejscu się rozszerzył, przecież przejście przezeń nie było trudne, bo kamienie wyścielające jego łożysko widne były dla oka — a ciemne głębie korytarza tak nęciły swoją tajemniczością, że Basia, zapuściwszy weń wzrok, zawołała:

— Jedźmy tam!

Ale niewinne to napozór życzenie łatwiej było objawić, niż wykonać.

Wprawdzie osły niecierpliwie szarpały wrzos kopytami na wzgórzu i okazywały niepowściągniętą ochotę spuszczenia się w dolinę, skąd je załatywał zapach łąki i świeżo skoszonego siana — ale, gdy nareszcie dostały się na nią, zaczęły skubać trawę najspokojniej, nic a nic nie troszcząc się o swoich jeźdźców. Nie pomogły nawoływania, popychania a nawet uderzenia — osiołki zachowywały się tak, jakby te apostrofy nie do nich się odnosiły, i znosiły razy z godną podziwienia cierpliwością. Basia zaczęła się domyślać, że zwierzęta te nie były wcale przyuczone do wycieczek, i przypominała sobie, co jej mówiła Katarzyna, że Lorenz dopiero je wczoraj nabył. Zaniepokoiło ją to; zaczęła przypuszczać, że przed wieczorem nie wydobędzie się z tej doliny — bo zwierzęta zmuszone nareszcie do ruszenia z miejsca, zatrzymywały się co kilka kroków, choć Katarzyna, ośmielona jazdą półgodzinną i potulnością zwierzęcia, zaczęła swego osła okładać parasolką z całej siły, nie tając głośnego oburzenia.

Udało się nareszcie obu braciom sprowadzić osły nad brzeg strumienia, ale tu nowe spotkało ich zmartwienie. Osiołki, napiwszy się wody, pomyślały snąć, że trawa rosnąca nad brzegiem, pomieszana z niezapominajkami i przyprawiona błyszczącą rosą, musi być od innej smaczniejsza i postanowiły jej spróbować — ale nie zdołały dojść do żadnej konkluzji, bo Johan, straciwszy resztę cierpliwości, zdjął buty, przerzucił je na drugą stronę, wszedł w wodę i, klęcząc na czem świat stoi, zaczął pocziwie zwierzę ciągnąć gwałtem przez strumień. Tego już było zanadto: każde stworzenie boskie, choćby najwięcej uspołedzone, posiada swoją własną godność i zdolne jest do poczucia jej w danej chwili. Taka chwila właśnie przyszła na tego bohatera. Podniósł uszy do góry, zarył się kopytami w piasek, parsknął w twarz chłopakowi i wyrwał mu cugle z ręki — a gdy ten rozwścieczony podskoczył, żeby go z tyłu uderzyć, osiołek wierzgnął tylnymi nogami i, powa-

liwszy swego prześladowcę na ziemię, podniósł ogon do góry i puścił się galopem przez strumień

Krzyk wywarł się z piersi Basi i jednocześnie zawtórował mu krzyk drugi. Katarzyna leżała w strumieniu, zaczepona nogami o krzak jałowca. Rumak jej zrzucił ją w wodę w chwili, gdy chcąc go zmusić do ruszenia z miejsca, ukięła go parasolką w bok, a jej przewodnik siadł właśnie na ziemi i zaczął zdejmować buty, by je za przykładem brata przerzucić na drugą stronę

— Zabiłam się, zabiłam! — wołała kobiecina, machając rękami w powietrzu. — Jezus! Marja! Józef! w ręce wasze polecam ducha mego... A czemuż mnie nie ratujecie, pludry przekłete? Bodaj was wszyscy djabli porwali!

Krzyk ten jednakże odbił się o uszy Basi jak proste echo, nie wywarłszy na niej głębszego wrażenia; wszystkie jej myśli bowiem zaatakowane były poczuciem własnego niebezpieczeństwa. Jeździła nieraz na swoim domowym osiołku, a nawet parę razy na koniu, ale były to stworzenia rozważne — z tym warjackim osiołkiem rady sobie dać nie mogła. Unosił ją z szybkością, jakiejby się po jego potulnej minie nikt nie spodziewał. Na domiar złego cugle z rąk jej się wymknęły i zaczęły migać przed oczyma osiołka, który tem widocznie przestraszony pędził jeszcze prędzej. Basia objęła go rękami za szyję i pochyliła się na siodle, a gałęzie drzew, opuszczające się coraz niżej nad drogą, czepiały się jej sukienki. Nie miała już na głowie kapelusza, a jasne jej warkocze, gwałtownymi ruchy z więzających je szpilek oswobodzone, powiewały z wiatrem niby dwie złote błyskawice. Korytarz leśny ku końcowi rozszerzał się coraz bardziej, jednakowoż wyjścia z niego strzegło wzgórze skaliste, którego krawędź wystająca, ostro zakończona, groziła osiołkowi rozbięciem podobnem do tego, jakim skały podwodne grożą okrętom, pływającym zuchwale po głębinach oceanów.

Basia nie wiedziała już, co się z nią dzieje. W chwili gdy polecała duszę Bogu, mignął przed nią jakiś cień czarny, niby widmo zbliżającej się śmierci; zamknęła oczy i w tejże chwili osiołek zatrzymał się tak gwałtownie, że aż zachwiała się na siodle. Otworzyła oczy i o mało nie krzyknęła z zdziwienia. Stał przed nią jej nieprzyjaciel, Herman von Walden wraz ze swoim nieodstępny psem i trzymał za cugle osła, który stał, robiąc bokami i mocno sapiąc. Na ustach jego nie było tego uśmiechu, co się jej tak rano nie podobał, a oczy miały wyraz wielkiego niepokoju.

— Czy pani bardzo się przestraszyła? — zapytał. — O tak, widzę, że bardzo — mówił, nie czekając na odpowiedź i obejmując jednym rzutem oka jej pobladłą twarzączkę, potargane włosy i sukienkę, u której tu i owdzie wisiały strzępy — ale jak też można było puszczać się bez przewodnika!

Basia puściła szyję osła, a twarz jej, dotąd blada z przestachu, pokryła się nagle szkarłatnym rumieńcem; nie było to jednak pomieszenie, ale gniew, że ten... Brandeburczyk spotkał ją w takim stanie. Gdyby przynajmniej zwierzę, co ją do tego doprowadziło, było jakimś ognistym rumakiem ze wspaniałą grzywą, jak naprzykład ten, o którym „Farys” powiada:

„Czarny mój rumak jak burzliwa chmura,
Na jego czole gwiazda jak jutrzienka błyska.
Na wolę wichrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska!”

złe byłoby mniejsze — ale być uniesioną przez zwyczajnego osła — co za upokorzenie!... Jakże śmiesznie musiała wyglądać, trzymając się oburącz szyi tego przebrzydłego kłapoucha! O!... i ten Niemiec, którego rano pragnęła z całej duszy upokorzyć, będzie miał teraz prawo śmiać się z niej... I trzeba jeszcze zdarzenia, żeby on, on właśnie, zjawił się w samą

porę, jak zbawca — i żeby ona zmuszona była poczuwać się dla niego do czegoś nakształt wdzięczności!..

Herman musiał zgadywać, co się działo w duszy ocalonej, bo po ustach jego jak błyskawica przebiegł uśmiech — a chociaż zniknął natychmiast, trwał przecież, dosyć długo. aby być zauważonym przez dwoje czarnych oczu, śledzących każdy ruch jego podejrzliwie.

— Śmieje się ze mnie, pomyślała, a na to przypuszczenie krew znowu uderzyła jej do głowy; — muszę pięknie wyglądać bez kapelusza i w tej podartej sukni.

Nigdy jeszcze tak nie nienawidziła Niemców, jak w tej chwili, gdy pomimo wszystko była zmuszona mu dziękować, Uczyniła to z takim widocznym przymusem i niechęcią, taka komiczna sprzeczność była między uprzejmymi słowami a surowym wyrazem twarzy, że Herman, mimo najszczerzej chęci, nie mógł się dłużej w swej poważnej roli utrzymać.

— Widzę — rzekł, śmiejąc się — że gdyby to od pani zależało, wołałaby pani niezawodnie umrzeć, niżli zawdzięczać mi życie. Los okrutny jednak zrządził inaczej, ale niech to pani nie kłopotuje; nie jest mi pani za nic obowiązana. Mogłbym wprawdzie korzystać z położenia i użyć tej rozkoszy, jaką daje prawo do wdzięczności takiego jak pani przeciwnika — ale w żyłach moich płynie krew niemiecka, która się przeciwko takiemu nadużyciu oburza i która mi nakazuje odsunąć od ust pani ten gorzki kielich. Niech się więc pani nie kłopotuje. Nie poznałem pani zdaleka, a nawet, gotując się wstrzymać w pędzie tego rumaka, wziąłem panią zrazu za kogo innego. Nie mam żadnego prawa do wdzięczności pani i zwracam z taką przykrością wyrzeczone podziękowanie.

W słowach tych, wypowiedzianych tonem żartobliwym, baczne ucho mogło dosłyszeć pewien dźwięk fałszywy, pewien przymus i gorycz. Dźwięk ten uderzył także ucho Basi, ale się nad nim nie miała czasu zastanowić, bo w głowie

jej powstał chaos myśli różnorodnych. Nie była ona tak dziecinna, aby nie zrozumieć ukrytej w tych słowach chęci oswo-bodzenia jej z kłopotliwego względem niego położenia. Po-mimo dziecinnego puszku na licach posiadała więcej niewie-ściej domyślności, niż się to z jej szesnastu lat zdawać mo-gło — i delikatny jej rozum odrazu ocenił szlachetność tego postąpienia. Była jednakże chwila, że wahała się, czy nie wypada udać, że mu uwierzyła — zwłaszcza, że słowo „ru-mak“ dotknęło ją; dobre jednakże zwyciężyło w tej krótkiej walce wewnętrznej.

— Tak czy owak zaciągnęłam względem pana dług wdzięczności — rzekła, wyciągając do niego swą małą rączkę i patrząc nań pierwszy raz bez niechęci. — Proszę, niech mi pan wybaczy, jeżeli nie odrazu podziękowałam tak jak trzeba

Oczy Hermana na te słowa błysnęły takim ogniem, że to aż uderzyło Basię. Wziął podaną sobie rączkę i rzekł poważnie:

— Zdaje mi się, że ilekroć w duszy pani walczyć będą dwa przeciwne sobie żywioły, to dobry zwycięży zawsze. Na dnie wszystkich pani przesądów i uprzedzeń leży uczucie sprawiedliwości; to mi daje nadzieję, że i dla mnie przyjdzie kiedyś chwila, że pan, poznawszy we mnie człowieka, zapo-mni, że jestem Niemcem.

— Chwila ta nie nadejdzie nigdy — rzekła, wysuwając szybkim ruchem rękę z jego dłoni; — nie wierzę wreszcie, aby pan miał rzeczywiście pragnąć zapomnienia o tem, co jest dumą każdego kochającego kraj swój człowieka, i co panu dziś rano tak piękne o przyszłej wielkości Niemiec dyktowało wyrazy. Co do mnie, uprzedzam pana, że nietylko nie pragnę, ale nie życzę sobie nawet, aby pan o mojej na-rodowości zapomniał, jeżeli się jeszcze kiedy spotkamy.. Moja Katarzyna i przewodnicy, z którymi się wybrałam na

tę niefortunną wycieczkę, nie wiedzą, co się ze mną stało i pewnie mnie szukają. Żegnam pana.

Skinęła mu lekko głowę i szarpnęła munsztuk, usiłując osła zawrócić.

— Jeszcze chwilę — zawołał z żywością młodzieniec, wstrzymując ją. — Katarzyna wkrótce panią zobaczy i uspokoi się, a przewodników nie masz pani co oszczędzać. Niegodziwców tych pociągnę do odpowiedzialności; narzucili pani stworzenie, do chodzenia pod wierzchem nie ułożone. To są oszusty! Bądź co bądź, nie może pani jechać sama; odprowadzę panią aż do domu, choćbym tem narzuceniem swego towarzystwa miał się na gniew pani narazić. Ale nie o tem chciałem mówić; chciałem pani powiedzieć, że mnie pani nie zrozumiała. Nie wstydzę się mojej narodowości i nie żądam, aby pani o niej zapomniała; pragnę tylko, aby pani w Niemcu przestała upatrywać nieprzyjaciela.

Ostatnie te wyrazy, jak również i stanowczość, z jaką ten człowiek narzucał swoją opiekę, podrażniły Basię. Jej piękne czarne brwi ściągnęły się.

— Widzę, że się to pani nie podoba — mówił dalej Herman, który śledził bacznie wyraz jej twarzy — dobrze więc, nie mówmy już dziś o tem. Wracajmy, kiedy pani tak bardzo śpieszno; ale zanim opuścimy to miejsce, racz mi pani odpowiedzieć na jedno pytanie; proszę o to w imię tej wdzięczności, o której pani wspomniała przed chwilą.

— Słucham pana.

— Czy pani bardzo się przelęknęła i czy pani czuje się zupełnie dobrze?

Basia podniosła na niego swoje wielkie oczy z wyrazem zdziwienia tak naiwnego, że Herman mimowolnie spuścił swoje.

— Ciekawam, dlaczego on mnie o to pyta — pomyślała i odpowiedziała łagodnie: — Byłam przelękniona, bardzo nawet, ale już zapomniałam o tem. Jest mi zupełnie dobrze.



Stał przed nią jej nieprzyjaciel ze swym nieodstępnym psem.
(str. 61)

— Dziękuję pani.

— Ciekawam, za co on mi dziękuje — pomyślała znowu, patrząc za nim, gdy się oddalił, aby poszukać swego kapelusza. — Ah, już wraca; doprawdy, że mu w tym kapeluszu wcale do twarzy. — Panie von Walden — rzekła, wstrzymując go w chwili, gdy brał cugle, aby osła zawrócić — przyjmuję pańską opiekę pod jednym tylko warunkiem.

— Słucham

— Że pan nie robi nic złego tym biednym ludziom.

— Przewodnikom? za wiele pani żąda. Jakto? mam patrzeć spokojnie na wyzyskiwanie publiczności? A czy pani wie o tem, że mogła pani była upaść niebezpiecznie i wynieść z tej przeżądki ciężkie kalectwo, śmierć może? I pani chce, abym to puścił bezkarnie!

— A więc żegnam pana — odrzekła, chcąc zeskoczyć.

— Zaczekaj pani — zawołał, wstrzymując ją i patrząc z podziwieniem na tę młodziutką istotę, która mimo swej szczupłej budowy i niewielkiego wzrostu umiała narzucać swoją wolę. — Widzę, że pani jest dzieckiem despotycznym.

— Mam lat szesnaście — odpowiedziała Basia z godnością.

— Doprawdy? — pochwycił wesoło — myślałem że najwyżej piętnaście i.. pół.

— Impertynent — rzekła do siebie, wzruszywszy lekko ramionami.

Po tych słowach nastąpiła między obojgiem chwila długiej ciszy, przerywanej tylko odgłosem miarowych stąpań osła i szelestem zeschniętych iglic sosnowych, wyścielających drogę.

— Piętnaście i pół!, no proszę — myślała — że też Niemiec koniecznie musi być grubijaninem! Po tych kartoflarzach nie można się żadnej delikatności spodziewać. Piętnaście lat!... Ale wzrost ma piękny, trzeba to przyznać, postawa

pańska, chód elastyczny, żadnej ociążałości — musi nie lubić kartofli, ani piwa. W tym kapeluszu wygląda jak bard lub rycerz średniowieczny, brakuje mu tylko pióra, któreby od niechcienia a fantastycznie powiewało. Przypominają mi się powieści Walter-Skota z całym tłumem giermków, paziów i rycerzy. Bo też ta moja dzisiejsza przygoda jest bardzo romantyczna; niewiele brakuje, aby za temi drzewami ukazał się zamek z wysokimi wieżami i mostem zwodzonym. Przybywamy, brama się otwiera, giermek odbiera konia, wstępujemy po schodach marmurowych; dwóch paziów niesie ogon mojej sukni, a mój rycerz...

Na to słowo o mało się w głos nie roześmiała; rozwiałono w jednej chwili jej marzenia. Co też ta wyobraźnia za dziwołagi czasem tworzy! rycerzem jej ktoś wątpiący o jej dojrzałości! Piętnaście lat... śmieszny człowiek! Tu przyszły jej na myśl jego słowa: Wziąłem panią zdaleka za kogo innego...

— Ciekawam, za kogo mnie wziął, pewnie za jaką Niemkę, którą znać musi i dla której tu może przyjechał — myślała, przypominając sobie zdziwienie i pewne niedowierzanie, z jakim go w Wiktorja hof słuchano. — Ach, teraz rozumiem, dlaczego był blady, kiedy mnie ratował! Myślał, że to *ona* jest w niebezpieczeństwie. Więc *ona* musi go bardzo obchodzić! Chciałabym ją widzieć...

Zamyśliła się.

— Musi to być jakaś puciołowata Dorota z żółtymi włosami, czerwonymi rękami i ogromnymi niezgrabnymi nogami.

Nic się dziś nie wiodło Basi; wszystko się na to składało, aby jej psuć humor. Gałęzie, spuszczone nad drogą, groziły jej znowu zaczepieniem, ale Herman odsunął je tak zręcznie, że żadna dotąd nie tknęła jej sukienki. Było to bardzo po rycersku, ale cóż kiedy nowych wymagało dziękowań, a Basi ta wdzięczność już kością w gardle stanęła. Najlepiej

będzie udać, że się tego nie spostrzega; wyborna myśl! bo i wreszcie nikt go o to nie prosi..

I odwróciła głowę w inną stronę, a następnie podniosła ją do góry, chcąc porachować obłoki na niebie; lecz w tejże chwili zerwał się wiatr, rzucił jej w oczy garść zeschniętych liści, a drzewa zaczęły się kołysać i biły jej szyderskie pokłony. Nadomiar nieszczęścia, na jednej gałęzi spostrzegła zdaleka wiszący swój kapelusz; kołysał się poważnie w tę i ową stronę, a dwie opasujące go wstążki niebieskie podskakiwały ustawicznie w górę, jakby im kto skocznie przygrywał. Rumieniec oblał jej twarz; spojrziała z pod oka na Hermana. Młodzieniec odkrył głowę i złożył temu biedakowi, od rana przez los prześladowanemu, ukłon głęboki.

— Nieszczęścia zbliżają do siebie ludzi, a więc i kapelusze — rzekł, wytrzymując mężnie piorunujące spojrzenie, które nań za ten akt spadło — między naszymi w tej chwili nastąpił pokój. Panno Barbaro, czyż błahe starcie, jakie dziś rano zaszło między nami, ma być przeszkodą do lepszych między nami stosunków? Zawrzyjmy lepiej przymierze. Po co dwa wielkie narody mają walczyć z sobą, kiedy mogłyby, idąc ręką w rękę, stworzyć sobie w przyszłości szczęście! Niemcy pragną pokoju przede wszystkim i na jego ołtarzu gotowe są złożyć największe ofiary. No, podpisz pani traktat — dodał, wyciągając rękę i podając jej zieloną gałązkę — podpisz go tu, na mojej dłoni.

— Niemcy nie mogą myśleć o pokoju z innymi narodami, dopóki się nie pozbędą dwóch kardynalnych wad: zarozumiałości i zuchwalstwa — odparła, usuwając rękę i rzucając gałązkę na ziemię.

— Czy mam to uważać za wypowiedzenie wojny?

— Jak się panu podoba.

Herman przygryzł wargi. Nastąpiła chwila milczenia, podczas której znowu nie było słyhać nic prócz miarowego

stąpienia osła po igłach sosnowych. Już też i nie można było dłużej w ten sposób rozmawiać; stanęli nad strumieniem. Przeskoczyć go i pociągnąć za sobą osła, próbującego się opierać, było dla Hermana dziełem jednej chwili. Widok, jaki się tu oczom jego przedstawił, był tego rodzaju, że potrzeba było wielkiej siły woli, aby nie parsknąć śmiechem.

Na małym wzniesieniu nad strumieniem siedziała Katarzyna z twarzą gniewną i wymyślała „rozsądnemu człowiekowi“ po polsku i po niemiecku, wyrazami, jakie tylko ślina do ust jej przyniosła. Rozpłomieniona twarz i błyszczące oczy nadawały jej postać furji, a piękna trawiasta suknia cała zmoczona, przylegając do niej, uwydatniała jej kształty okazałe. Wspaniałe czepek, perła w jej garderobie, tak zwany „od kościoła“, rozpostarty na krzaku suszył się na słońcu po kąpieli. O kilka stóp niżej, na trawie, leżał Lorenz i palił fajkę z taką filozoficzną obojętnością, jakby energiczny monolog Katarzyny był dlań najprzyjemniejszą muzyką i patrzył spokojnie na osła, pasącego się opodal. Mniej stosunkowo zimnej krwi okazywał brat jego Johan, bo przechadzał się niespokojnie wzdłuż strumienia, spoglądając od czasu do czasu w wąwóz, gdzie osoba Hermana zdawała się go mocno niepokoić. Widział on zdaleka całą scenę ratunku, bo pobiegł był śladem rozhukanego rumaka — ale na widok mężczyzny, w którego postawie przebijała się siła i energja, uznał za stosowniejsze cofnąć się i oczekiwał powrotu młodej pani przy strumieniu. Zadługo trwające towarzystwo wybawiciela zaczynało mu się nie podobać. Katarzyna chciała zrazu pobiec za panienką, ale, widząc ją zdaleka powracającą wąwozem całą i zdrową, wołała także na miejscu czekać jej powrotu i wymyślać przez ten czas Niemcom. Teraz, ujrzawszy Basię, poskoczyła ku niej.

— Chwała Bogu, że panienka cała — zawołała, składając ręce — ale patrz, panienka, jak ja wyglądam! O mało

się nie zabiłam! Ten głupi osioł rzucił mnie w wodę: moja suknia, moja chustka, mój czepek, moje wszystko na nic; a ten drugi osioł — dodała, wskazując palcem Lorenza, który podniósłszy się leniwie, strzepywał pył ze swych sukien — nie zaraz mnie wyciągnął. Myślałam, że już po mnie i polecałam duszę Matce Boskiej i Świętemu Józefowi. Ale chwała Bogu że panienka uratowana. Niech panu Bóg zapłaci, młody panie.

— Ten pan nie rozumie po polsku — szepnęła Basia.

— Nie rozumie po polsku? no, patrzcie, moi państwo, to on *taki* Niemiec. Nigdyby mi to nie przyszło do głowy, tak temu patrzy z oczu pocziwie!

— Słońce zachodzi — rzekł Herman do Basi — jeżeli pani pragnie być w domu przed zmrokiem, to radziłbym nie zwlekać z powrotem; drogi górskie najbezpieczniej jest za dnia przebywać.

— O! my niedaleko mieszkamy — wtrąciła Katarzyna, gramoląc się na osła przy pomocy Lorenza — pod laskiem; nie będzie więcej niż pół godziny drogi.

Johan, który zdaleka tylko krążył około swego osła i nie śmiał się zbliżyć do młodej pary, widząc, że Herman nie myśli się oddalić, dał za wygraną i ułamawszy dużą gałąź, pomagał bratu kierować osłem Katarzyny. Minąwszy w ciągu kwadransa wąwóz i domek węglarza, zaczęli spuszczać się z góry w dolinę.

— Zbliża się kres naszej podróży — przemówił Herman z lekkim westchnieniem; — panno Barbaro, czyż, zanim panią pożegnam, nie usłyszę od pani ani jednego słowa pokoju?

— Czy pan tak bardzo nie lubi wojny? — spytała ironicznie.

— Przyjmuję ją tylko jako konieczność, wolę jednak, gdy jej uniknąć można, pokojowe załatwienie sprawy. Pani, u której uczucie sprawiedliwości jest tak silne, że nawet osobiste uczucia w danej chwili zwalczyć jest w stanie, niech

pani zapyta się swego sumienia, czy ono pani nic względem mnie nie wyrzuca.

— Alboż panu nie podziękowałam za oddaną mi przysługę? — spytała wyniośle — alboż — dodała, wahając się — prosiłam pana o nią?

— Pani nie chce mnie rozumieć; nie miałem zamiaru przypominać pani przysługi, która była tylko przypadkową, ani żądać za nią nagrody; chciałem się tylko pani zapytać, czym dziś przed panią tak bardzo zawinił, aby można było ofiarowane przeze mnie przymierze odrzucać tak szorstko i niemal wzgardliwie?

— Więc pan *prosi* o pokój?

— Nie, pani — odparł dumnie — Niemiec prosić nie umie. Jeżeli jego dobre chęci nie są zrozumiane, ani ocenione przez stronę przeciwną, walczy. Zwyciężyliśmy pod Königrätz i pod Sadową, mam nadzieję, że i pod... Landek nie zostaniemy pobici.


Mała karawana w tej chwili zatrzymała się u furtki.

— Zwycięstwo jest w ręku Boga — odrzekła Basia ze skromnością, z której pycha wyglądała jak szydło z worka.



ROZDZIAŁ V

W KTÓRYM PANIENKA MEDITUJE, JAKIE MA PRZY-
WDZIAĆ SZATY I ODZIEWA SIĘ W FIOLETY.

awno już, bardzo dawno nie śniło się Basi tyle różnych rzeczy, co tej nocy. Marzyły jej się zamki, pазie, rycerze, rozhukane konie i różne dziwne rzeczy. Nad bramą, wiodącą do zamku przez most zwodzony, był herb: złoty osioł w zielonem polu — ona sama zaklęta była w tym zamku w Dorotę z czerwonymi rękami i ogromnemi niezgrabnemi nogami i zostawała w mocy tyrana, kubek w kubek do Hermana podobnego. Na czterech wieżach zamku sowy i puszczyki śpiewały chórem pieśń „Die Wacht am Rhein“ — a nad tem wśzystkiem w chmurach czarnych jak noc, przy świetle piorunów i błyskawic, otoczona orszakiem wśzystkich bohaterów Szekspira, unosiła się blada twarz Dawisona w koronie Ryszarda III.

Sen ten gorączkowy, czy to z powodu wczorajszego znużenia, czy z innej jakiej przyczyny, przeciągnął się nad zwykłą miarę; babka zaś, obawiając się, czy ta niezwykła

senność nie jest czasem objawem jakiej nieprzeidzianej słabości nie kazała jej budzić. Już słońce dawno wstało, już i godzina przechadzki po parku minęła — już Katarzyna nakryła do śniadania i myślała o obiedzie, a Basia jeszcze spała. Gdy nareszcie otworzyła oczy, było już po dziesiątej; pierwszym przedmiotem, jaki jej wzrok uderzył, była twarz babki schylona nad łóżkiem i wpatrująca się w nią z niepokojem.

— Czy nie słaba jesteś, moje dziecko — pytała, kładąc ręką na czole wnuczki — głowę masz gorącą, przez sen mówiłaś jakieś niezrozumiałe wyrazy...

— Ach, to babciał — zawołała, przecierając gwałtem oczy — a mnie się właśnie śniło, że do zamku, w którym byłam zaklęta, przyszła dobra wróżka i chciała mnie uwolnić.

— Oj, ty, ty, szalona główko! A nie było tam jakiego zaklętego królewicza?

— Nie, — odpowiedziała lakonicznie, wyskakując z łóżka, i zaczęła się śpiesznie ubierać.

Właśnie rozplatała swoje gęste złote włosy, sięgające niemal aż do kolan, gdy Katarzyna weszła z listem w rękę.

— Z Wiktorja-hofu — zawołała Basia, rozerwawszy pieczętkę i zaczęła czytać:

„Upatrywałem dziś w parku niebieskiej perkalikowej sukienki, ale nigdzie jej dojrzeć nie mogłem; książę Fryderyk gorliwie mi w tem dopomagał, ale i on nie był szczęśliwszym odemnie. Co się z panią dzieje? Dowiedziałem się wprawdzie, że Polska wypowiedziała wojnę Niemcom, ale nie sądzę, aby ta okoliczność właśnie wpłynąć miała na nieobecność pani przy źródle. Nie potrzebuje myśleć o uzbrojeniach mocarstwo, rozporządzające uśmiechem, umiejącym rozbroić najzaciętszego nieprzyjaciela i dwojgiem czarnych oczu, zdolnych zaszytłować w jednej chwili! Chciałbym panią widzieć

i zapraszam na podwieczorek; Herman będzie z nami, ale to pani chyba nie przeraża. Nie przypuszczam na wet, aby okoliczność ta mogła panią powstrzymać — należysz bowiem do narodu, który nigdy nie uciekał przed nieprzyjacielem.

B. D.”

Płomień przebiegł po twarzy Basi podczas czytania tego listu.

— Więc już wiedzą o wczorajszej przygodzie — pomyślała—i wiedzą od niego. Ciekawam, w jakich mnie też odmalował kolorach! ale mniejsza o to. Iść czy nie iść? Możnaż odmówić tak uprzejmemu zaproszeniu, zwłaszcza, gdy to Dawison prosi? Ale iść, jest to znowu spotkać się z tym człowiekiem, wobec którego, po tem, co wczoraj dla mnie uczynił, trudno już będzie utrzymać się w postawie zaczepno-odpornej... Gdy sobie przypomnę moje wczorajsze z nim obejście, doznaję czegoś nakształt wyrzutów sumienia; zdaje mi się, że byłam dla niego zanadto niegrzeczną. Więc iść? Jego swoboda obejścia i wesołość ma w sobie coś przyciągającego, a w owych szafirowych, nawskroś przenikających oczach, jest jakiś niebezpieczny urok... Nie, nie pójdę — tu wzrok jej zatrzymał się przypadkiem na tych słowach listu: „Należysz pani do narodu, który nigdy nie uciekał”.—A więc moja nieobecność byłaby uważana za sromotną ucieczkę, i onby o tem wiedział naturalnie, a na ustach jego pojawiłby się znowu ów ironiczny, napół triumfujący uśmiech.. Nie, nie dam mu tej pociechy.

— Czy panienka da jaką odpowiedź? — spytała Katarzyna, stojąca jak na szpilkach.

— Powiedz, że będę — odrzekła bez wahania

I pobiegła do babki, by ją zawiadomić o zaprosinach i wyrobić sobie pozwolenie. Otrzymała je łatwo, bo babka rada była, że jej wnuczka, stęskniona do ludzi i spragniona

spacerów, rozerwie się trochę pod opieką pani Dawisonowej, dla której staruszka wielki żywiła szacunek, z powodu jej pełnego poświęcenia przywiązania do męża i godności, z jaką zносиła swoje nieszczęście.

Rozczesując włosy, Basia myślała o tem, jak się przy spotkaniu z Hermanem zachowa; jak się uzbroi w całą swoją godność i pokaże mu, że z powagą lat szesnastu nie można igrać bezkarnie; jak mu swoim obejściem nakaze dla tych szesnastu lat szacunek; jak mu pełnem godności spojrzeniem zamknie usta, gdyby chciał podobnym jak wczoraj tonem mówić coś o przymierzu i wspólnej przyjaźni. Nic to jednakże nie przeszkadzało ułożyć włosy z większą niż zwykle starannością i namyślać się długo nad suknią, jaką włożyć przyjdzie. Niebieska perkalikowa po wczorajszej przygodzie znajdowała się w smutnym stanie; białą — nie, ta barwa nie zgadza się dziś z jej usposobieniem; różową — tylko dzieci ubierają się różowo, a kto ma lat szesnaście!..

Otworzyła okno, usiadła na parapecie i, wsparwszy głowę na rękę, zamyśliła się. Tam na dole w lesie jakiś wieśniak zbierał zeschnięte gałęzie i składał je w płachtę z szarego płótna, przyśpiewując sobie wesoło. Na wąskiej ścieżce ukazały się trzy osoby: naprzód szedł starzec w szacie z fioletowego sukna, za nim dwaj duchowni z długich czarnych sutannach. Był to przezywający od kilku tygodni dla kuracji w Landek sędziwy biskup Johanisbergu ze swoim otoczeniem. Wieśniak przestał śpiewać, odkrył głowę i zgiął kolano — a starzec zatrzymał się na chwilę i zrobił nad głową jego znak krzyża.

Basia radośnie uderzyła w dłonie.

— Wyborna myśl! przyodzieję się w fiolety. Może-li być kolor poważniejszy od tego, jaki noszą księżęta kościoła? Samo niebo przysłało tu Jego Eminencję na spacer; wybor-

nie, doskonale! O, panie von Walden, zobaczymy, czy nie poczujesz się trochę onieśmielonym na widok barwy biskupiej!

Basia nie umiała jeszcze używać potęgi swoich wdzięków, była na to zbyt naiwną — ale gdyby umiała, nie mogłaby lepiej wybrać; delikatna jej cera wydawała się przy tym kolorze prawie przezroczystą, a złote włosy, wiązką świeżych kwiatów ozdobione, mieniły się w słońcu tysiącem połysków.

Idąc z Jędrzejem po południu do Wiktorja-hofu, układała sobie przez drogę coraz inne plany spotkania z Hermanem, a jeden od drugiego był surowszy i mniej przyjazny dla niego, w miarę jak przestrzeń, dzieląca ją od kresu podróży, stawała się krótszą — i gdyby ten kres oddalił się nagle od niej, choćby o kwadrans drogi, plany te byłyby doszły niezawodnie do takiej doskonałości strategicznej, że ten, przeciwko komu były wymierzone, zostałby w proch obrócony jeszcze przed ujrzeniem swej przeciwniczki.

W ogródku i w altanie tym razem było pusto i cicho, tylko wodospad szumiał po dawnemu — wróciła więc do sieni i odesłała Jędrzeja do domu. Idąc po schodach na górę, słyszała, że ją ktoś wyprzedzał, przeskakując po kilka stopni na raz. Zatrzymała się i posłyszała następującą rozmowę:

— Nie można wejść, proszę pana, pan jest niezdrów i nie przyjmuje nikogo; doktor zabronił mu rozmawiać. Kazano mi tu stać i nikogo nie wpuszczać.

— Oszalałeś, czy co! — odrzekł Herman, gdyż to on był — zakaz ten w żadnym razie do mnie stosować się nie może. Chcę się widzieć z panią.

W chwili, gdy miał położyć rękę na klamce, posłyszał za sobą szelest sukni; odwrócił się natychmiast i, ujrawszy Basię, powitał ją uprzejmym ukłonem.

— Dobra to dla mnie wróżba, że panią spotykam — odrzekł napół żartem, napół serjo. — Jedno z naszych sta-

rych niemieckich przysłów mówi: jeżeli u wejścia do czyjegoś domu spotkasz twarz, na której widok raduje się serce twoje, wejdź śmiało, znajdziesz dobre przyjęcie za progiem.

Wyrazy te nie wywołały na usta panienki uśmiechu; fiolety, okrywające ją, poczęły już na nią działać. W ukłonie, jaki mu oddała, była prawdziwie biskupia powaga.

— Czy wolno zapytać pana, panie von Walden, dlaczego zakaz niewpuszczania nikogo w żadnym razie do pana stosować się nie może? — spytała.

— Dla trzech przyczyn, pani: pierwsza, że jestem dawnym, dobrym znajomym gospodarza tego domu i byłem w willi Mały Czechwitz, w Dreźnie, uważany za domowego; druga, że jestem tu dzisiaj proszony, a trzecia...

Zatrzymał się.

— A trzecia? — pochwyciła niespokojnie — trzecia... bądź pan łaskaw dokończyć.

— Że jestem Niemcem — rzekł poważnie.

Oczy Basi błysnęły.

— Jeżeli tak — odezwała się głosem napozór spokojnym, którego brzmienie jednak zdradzało wewnętrzne wzburzenie — to widzę, że mam równe jak pan, jeżeli nie większe prawo: primo, choć moja znajomość z gospodarzem tego domu datuje się dopiero od wczoraj, sądzę, że nie jestem tu gorzej od pana widzianą; secundo, jestem także zaproszona; tertio...

— Wiem, wiem, co pani chce powiedzieć — przerwał — ale Polska, choć dała życie Dawisonowi, obeszła się z nim po macoszemu — my zaś daliśmy mu uznanie i sławę. Jego rodzinna Warszawa odmówiła mu talentu; Lwów go wypędził niskimi intrygami i podstępem prześladowaniem...

— Zato Wrocław i Szczecin, Brzeg i Olawa otworzyły mu gościnne swoje bramy — rzekła z ironią — nieprawdaż?

— Widzę, że biografia naszego słynnego artysty jest

pani doskonale znaną — odrzekł Herman spokojnie — w tem jednak, co pani powiedziała w tej chwili, był żart. Miasta wymienione przez panią odprawiły biednego tułacza z lekceważeniem, ale były to miasta polskie—dodał z przyciskiem— a przynajmniej Polacy za takie je uważają, pomimo zmienionej karty Europy.

Basia aż zaczerwieniła się z gniewu na samą siebie, iż w zapale oratorskim mogła zapomnieć o tem, że miasta Prus Królewskich i Śląska nie powinny być uważane za niemieckie. Herman mówił dalej:

— Przyjął Dawisona gościnnie stary gród niemiecki Hamburg... Ale, mówiąc to, nie mam zamiaru walczyć z panią o prawo przestąpienia tych progów. Proszę, niech pani wejdzie! — mówiąc to, uklonił się — Niemcy, którym pani żadnych przymiotów przyznać nie chce, szanują słabość i umieją poświęcać triumf dla...

— Słabość — przerwała z oburzeniem, cofając się od drzwi — słabość! dziękuję panu, bardzo dziękuję; racz pan wejść sam. Jesteśmy na to dość silni, aby bez niczyjej pomocy otwierać sobie drzwi zamknięte. Historia wie coś o tem, Nie chcemy zdobywać wejścia kosztem...

— Fryć, otwórz! — dał się słyszeć z pokoju głos słaby — otwórz drzwi naościę; niechaj nie będzie krzywdy żadnemu z dwóch wielkich narodów!

Służący otworzył obie połowy, a Herman i Basia jednocześnie weszli w przyzwoitej od siebie odległości — ona z twarzą rozplamioną, on uroczysty ale spokojny.

— Ha, ha, ha, a toż to była prawdziwa walka — mówił, śmiejąc się, Dawison i, podnosząc się napół z kanapy, na której leżał — słyszałem wszystko! Ależ pan zanadto obwiniasz moją kochaną Warszawę, panie Hermanie, a ona dała mi podwaliny mojej późniejszej wielkości. Kto wie, czy był bym tem, czem jestem, gdyby nie Kudlicz, Bogusławski, We-

rowski i Piasecki... owe potężne talenta, które były dla mnie wzorami. Nie, nie; ona nie była tak złą matką! Ah, cóż za oczy! — dodał, pochwycawszy zwycięskie spojrzenie, które Basia przy tych słowach Hermanowi rzuciła — nie widziałem twarzy, któraby dokładniej odbijała wszystkie wrażenia. Prawda, Konstancjo? Usiądź tu pani przy mnie, bliżej, jeszcze bliżej; później się nagadacie z moją żoną. Proszę mi rączkę podać, ot tak. . tęskniłem za tobą, moje dziecię. Powiedz mi co po polsku — dodał ciszej.

— Służący powiedział nam, że pan jest niezdrów, że pan był słaby, czy to prawda? — przemówiła głosem, który jeszcze swego zwykłego brzmienia nie odzyskał.

— Słaby? nie, jam nie słaby — odrzekł, prostując się — przeciwnie, czuję się wiele lepiej; błogostawię Landek. Nie patrz na mnie tak smutnym wzrokiem, Konstancjo — mówił dalej po niemiecku — czy warto wspominać nawet o tej krótkiej słabości, co mnie napadła przed dwiema godzinami! Wyobraź pani sobie, że ten pocziwiec Fryc sobie uroił, iż najlepszem dla mnie lekarstwem jest spokój, i jak tylko zobaczy, że twarz moja mniej pogodna, staje przy drzwiach i strzeże ich jak Cerber. Przed kwadransem odprawił księcia Fryderyka i was nie byłby wpuścił, gdybym nie posłyszał waszych głosów.

— Ma słuszość — powiedział Herman — mojem zdaniem, nie powinniśmy dzisiaj naprzykrzać się państwu; podwieczorek można odłożyć na kiedyindziej. Byłbym niezawodnie cofnął się od proga, gdyby nie potrzeba rozmówienia się z państwem w kwestji projektowanej dziś rano wycieczki do Seidenberga. Jeżeli nie zamówimy koni dzisiaj, to jutro nie dostaniemy ich już za żadną cenę, bo więcej jest w Landek osób, pragnących wyjeżdżać, niż powozów.

— Naradźcie się oboje z moją żoną — rzekł Dawison —

co do mnie zgadzam się na wszystko, co postanowicie, z warunkiem, że młoda moja rodaczka pojedzie z nami.

— Wynajdźże pan powóz obszerny, żeby na cztery osoby dość było miejsca — rzekła pani Dawisonowa — boć przecie pan dotrzymasz nam towarzystwa.

— Naturalnie — odpowiedział — chyba, że panna Barbara ma co przeciwko temu...

— O, bynajmniej! — odparła Basia obojętnie, chociaż w duchu gniewało ją to, że jeszcze jutro będzie zmuszona znajdować się w towarzystwie Hermana.

— Dziękuję pani — rzekł młodzieniec z ukłonem. — A więc rzecz ułożona — dodał, zwracając się do pani domu i biorąc kapelusz — jutro po południu. Idę zamówić konie; żegnam państwa.

— Ależ zostań pan, gorączko, zostań, czuję się zdrów zupełnie. Chorzy wreszcie potrzebują rozrywki, prawda Konstancjo? Połóż-że pan, proszę ten kapelusz. A to co? pani się zabierasz do wyjścia?

— Wychodzę — odparła spokojnie. — Mamże być gorszą od pana von Walden, który zostawienie pana dzisiaj w spokoju uważa dla zdrowia pańskiego za potrzebne? Czyż dla tego, że jestem rodaczką pana, mam mniej pragnąć pańskiego wyzdrowienia? Przyjdę kiedyindziej. Żegnam państwa.

— A to dopiero gorąca krew! — krzyknął Dawison — uderzając pięścią w stół i zrywając się z kanapy. — Zakazuję wam stąd wychodzić, czy słyszycie? zakazuję! Chcę was tu mieć i rozmawiać z wami. Konstancjo, powiedz im, że doktor zabrania sprzeciwiać mi się. Co wam u licha przyszło do głowy z tą chorobą! Prawda, że po powrocie z Ameryki rok cały cierpiałem straszliwie na nerwy; ale teraz zdrów jestem zupełnie, i wkrótce publiczność drezdeńska ujrzy mnie znowu na scenie.

— Wkrótce, wkrótce, moje serce — rzekła Konstancja

tym słodkim melodyjnym głosem, co miał zawsze moc zwyciężania jego gwałtownych porywów — tylko żeby chwilę twego wystąpienia przyspieszyć, trzeba się oszczędzać. Doktor ci kazał leżeć, a ty się zrywasz. Połóż się, proszę.

— Czy i ty, Konstancjo, chcesz we mnie wmówić, że jestem chory? — odezwał się tonem żalosego wyrzutu i usiadł napowrót.

— Gdzież tam — mówiła, rozgarniając jego rzadkie włosy i całując go w czoło — wiem, żeś zdrowy, ale chciałabym jak najprędzej ujrzeć cię znowu w roli Ryszarda III-go i posłyszeć grzmot oklasków, witający twoje wejście na scenę.

— O, tak! — przywtórzył z ożywieniem — grzmot oklasków po długiej ciszy, podczas której słyhać tylko syczenie gazu płonącego, a potem deszcz kwiatów i okrzyki, od których zdaje się, że teatr runie! A tam — mówił, podnosząc rękę — tam wysoko, w loży aktorskiej siedzi Devrient i patrzy, a jego olimpijskie czoło marszczy się... ha, ha, ha! Ach, ci doktorzy, jak oni mnie dręczą! Konstancjo, przysięgam ci, że gdyby mi pozwolono wystąpić, wyzdrowiałbym od razu.

— Wierzę ci, mój drogi; postaramy się uzyskać to pozwolenie, ale wprzód musisz sił nabrać, aby tym tyranom dowieść, że mamy rację.

I kochająca ta kobieta, którą miłość nauczyła postępować z cierpiącym mężem, poprawiwszy mu poduszki, została go w spokoju. Zwykła tak była czynić zawsze, ilekroć uważała, że mu swoboda nie zaszkodzi. Stąd też płynęło jego namiętne do niej przywiązanie, że, choć miała nad jego słabnącym umysłem nieograniczoną władzę, nie dała mu jej nigdy uczuwać.

Dawison wezwał ponownie Basię, aby usiadła blisko niego, i prosił ją, by mu coś opowiedziała o swem życiu na wsi. Konstancja znaczącem spojrzeniem zdawała się jej przy-

pominać, że trzeba oszczędzać jego rozdrażnienie nerwowe, a potem skinęła na Hermana, by poszedł za nią na ganek.

— Jakże, czy dogodziłam panu? — spotąła półgłosem młodzieńca, kładącego napowrót kapelusz na krzesło.

— O pani! — rzekł gorąco — ma pani we mnie dłużnika.

— Ale strzeż się pan — dodała żartobliwie — ksiązę Fryderyk wybiera się także do Seidenberga.

— A on skąd wie o tym projekcie? — zapytał, marszcząc brwi.

— Bogumił mu wszystko powiedział dziś rano przy źródle, bo po odejściu pana przyszedł do nas i towarzyszył nam do końca. Bogumił go lubi, pan wiesz, bo jest to jego gorący wielbiciel.

— Co ma ^{to}znaczyć, że w sprawie tej tylko na pomoc pani liczyć mogę, czy tak?

— Licz pan na siebie tylko, bo z tego, co dotąd widzę, wnoszę, że żadna pomoc na nic się tu nie przyda; wszystko od pana samego zależy. Ksiązę Fryderyk naprawdę zajął się śliczną dziewczką; jego siwe rozumne oczy były dziś rano w ustawicznym ruchu i silniejszym zapalały się blaskiem na widok każdej niebieskiej sukienki.

— Ależ w powozie nie będzie miejsca dla pięciu osób — przerwał niecierpliwie

— To rzecz najmniejsza, ksiązę ma tu swój własny powóz. Ale co to jest? nie słyszę żadnej rozmowy w salonie. Wróćmy tam.

W istocie, cisza zupełna tam panowała. Dawison leżał na kanapie z przymkniętymi oczyma, a Basia nie śmiała się poruszyć z obawy, aby go nie zbudzić.

— Biedny Bogumił — szepnęła Konstancja, patrząc ze smutkiem na tę wyrazistą twarz, na której dziwna rozlała się nieruchomość — musi być bardzo osłabiony. Zdaje się, że usnął, nie przeszkadzajmy mu.

Skinęła na Basię i wrócili w troje na ganek, gdzie pod cieniem cytryn i oleandrów stały dwa krzesła. Herman, dla którego miejsca w tym improwizowanym ogrodzie nie było, usiadł w progu. Trudno byłoby wynaleźć miejsce dogodniejsze do swobodnej gawędki; na drodze było prawie pusto — rzadko kiedy ukazywał się pojedynczy przechodzień lub wóz przejechał. Wszystko, co żyło, znajdowało się w tej porze albo na wycieczkach, albo w parku, gdzie codzień wieczorem grała dla spacerujących muzyka. Dźwięki tej muzyki dochodziły do ganku, mieszając się po drodze z szelestem liści przeciwległego ogrodu i szumem potoku, płynącego po kamieniach.

Konstancja rzadko kiedy mówiła o smutnej terażniejszości, w której stan męża trzymał ją w ciągłym o niego niepokoju. Nie skarżyła się nigdy; była na to zbyt dumną — czasem tylko bezwiednie wrywające się z piersi westchnienie, albo wyraz twarzy, gdy sądziła, że nikt na nią nie patrzy, okazywały, że ta pogoda, jaką miała dla wszystkich, zwłaszcza dla męża, była okupiona bezustannem czuwaniem nad sobą. Lubiła zato wspominać niedawno minioną przeszłość, gdy jej Bogumił świetniał i zdumiewał. Jego triumfy w Ameryce, jego przyjęcie w Akademji francuskiej w Paryżu i pamiętne wyrazy Guizota*, jego pobyt w Petersburgu, gdzie Wielki Książę Oldenburski wydał na jego cześć wieczór — były dla niej najmiłszym tematem do rozmowy. Mówiła o grze męża z zapalem i rozbierała jej szczegóły z drobiazgową dokładnością. Opowiadała niektóre epizody z jego życia, dowodzące, że ten namiętny człowiek, którego gwałtowność dawała się tylko z huraganem porównać, bywał przecież tkliwy i łagodny jak dziecko; że on, którego szyderstwo bywało zimne jak ostrze noża, a duma i żądza sławy nie znały granic — miał wielkie i wspaniałomyślne serce.

* „Ah que votre patrie est heureuse d'avoir un tel tragedien!”
„Ah jakże ojczyzna pańska jest szczęśliwą, mając takiego tragika!”

Ale, mówiąc o artystycznym zawodzie Dawisona, nie podobna było przemilczeć o Devriencie. Konstancja nie bez oburzenia mówiła, że człowiek ten — który nigdy jej mężowi sprawiedliwości nie oddawał — twierdził, że Dawison przeszkadzał rozwojowi młodych talentów na scenie, chcąc wszystkie ważniejsze role dla siebie wyłącznie zagarnąć — oraz iż usiłował wmówić we wszystkich, że Davison mu zazdrościł.

— Bogumił nie lubił go — mówiła — ale antypatja ta nie wynikała z zazdrości, tylko ze stanowczej różnicy pojęć obu artystów o sztuce i przekonaniach, dla których każdy z nich oddzielnie pragnął wywalczyć zwycięstwo. Długie lata stali tak naprzeciw siebie niby dwaj wrodzy sobie bracia, dopóki ich wspólna matka, sztuka nie pojednała. Opowiem wam, jak to było. Postanowiono wznowić na scenie drezdeńskiej „Don Karlosa” Schillera: Devrient miał grać Pozę, jedną z najświetniejszych ról swego repertuaru — Bogumił chciał przedstawić króla Filipa. Zwierzchność teatralna zwykle starała się rozumnie zapobiegać wspólnemu wystąpieniu dwóch rywali w jednej i tej samej sztuce — tym razem jednak stało się to niepodobnem do uniknięcia. Wieść o tem, co miało nastąpić, z błyskawiczną szybkością rozeszła się po mieście i poruszyła całe Drezno — to też wieczorem tłumy cisnęły się do teatru, żeby widzieć tę, jak mówiono, „walkę olbrzymów”. Nigdy jeszcze „Don Karlos” nie był tak wykonany jak wówczas! Zwycięstwo chwiała się ciągle między Dawisonem a Devrientem: to ten, to tamten zdawał się chwytać palmę pierwszeństwa.

Bogumił przedstawił Filipa w sposób wywracający wszystkie dawne tradycje, a Devrient tradycje te podnosił do potęgi ideału. Publiczność zdumiona, olśniona nie wiedziała, co sądzić. Nareszcie nadeszła wielka scena posłuchania w trzecim akcie, z świetną apostrofą kawalera maltańskiego. Przy wyrazach: „Oddaj myśli wolność”, objawiły się niesłychane

dotąd oznaki zachwycenia publiczności: damy powiewały chustkami w łóżach, orkiestra uderzyła w trąby; zapal doszedł do najwyższego szczytu. Po skończeniu aktu i spadnięciu zasłony powstała fanatyczna wrzawa. Podniesiono zasłonę; ukazał się Filip a obok niego Poza; jeden z prawej, drugi z lewej strony kulis wyszedł. Ponawiają się wywoływania, i to samo widowisko się powtarza. Gdy po raz trzeci zasłona się podniosła, ukazali się znowu obaj, trzymając się za ręce. Trudno opisać wrażenie, jakie ten widok sprawił: zdawało się, że jest to uroczyste zawarcie pokoju w całym narodzie. Pierwszym, który rękę do drugiego wyciągnął, był Dawison. Powiedział wówczas do Devrienta, naśladując znane wyrzeczenie Göthego do Schillera: „Chodź, Emilu, poco mamy z sobą walczyć o wyższość? cieszymy się raczej, że scena niemiecka dwóch takich jak my posiada!...”

— Tak, człowiek ten nigdy nie oddawał mi sprawiedliwości — odezwał się Dawison, który niepostrzeżenie zbliżył się do proga i słyszał koniec tego opowiadania. — Przyjaźń nasza, oblana wówczas szampanem, niedługo trwała, bo też to podły trunek ten szampan! Jestem pewien, że trwałaby dłużej, gdybyśmy ją byli skąpali w szlachetnym burgundzie! Mówiłem mu to, ale się uparł: cóż było robić? Poza miał słabą głowę! Zazdrość? — powtórzył, podnosząc dumnie głowę, a na ustach jego osiadł wyraz najwyższej pogardy — zazdrość! ha, ha, ha, jakby Bogumił Dawison nie był dość wielkim, aby potrzebował innym zazdrości!..

— Konstancjo — rzekł, zwracając się do żony, a wyraz jego twarzy i ton zmieniły się natychmiast — kiedyż nas zaprosisz na podwieczorek? Pocziwa żona — odezwał się znowu, gdy wyszła — broni mnie; ona tak zawsze robiła. Kocha mnie. I tamta mnie kochała* — rzekł po chwili milczenia

* Pierwszą żoną Dawisona była lwowianka, Wanda Ostoja Starzewska.

cichszym głosem. — Pan jej nie znalazł, panie Hermanie... Mężnie znosiła biedę i przykrości początkowe mego zawodu. Ilekroć chodziła do najbliższego miasteczka z ostatnią łyżką, aby, sprzedawszy ją, dostać chleba na jutro! i kiedy nareszcie owoce naszej pracy, których wyglądała, zjawily się, musiała mnie opuścić... Ta jest szczęśliwszą — bo gdy tamta dzieliła ze mną same troski, tej przypadła w udziale sama sława i dostatek. Tamtą ciężka choroba przykuła do łóżka na całe lata; przy lampie, słabo przyświecającej jej długim bezsennym nocom, czytała sprawozdania o moich powodzeniach, których zrogłos zaczął się już szerzyć po świecie. Gdy wracałem do domu z mych artystycznych wycieczek, zsywałem jej na kołdrę owoce mojej pracy w postaci umyślnie niezmiennych dukatów. Zapuszczała w nie z rozkoszą swoje drobne, wychudłe palce... Biedna Wanda! Kochała ona sztukę i rozumiała ją — rzekł po chwili milczenia. — Gutzkow* nazywał ją „mojem artystycznym sumieniem”.

Szeroka jego pierś podniosła się westchnieniem, a oczy zaczęły błędzić po szczytach gór, rysujących się ostro w tej chwili na tle płomienistym zachodzącego słońca.

Podwieczorek składał się ze śmietany, poziomek, kawy, ciast i owoców. Dawison nic prawie nie jadł, ale był rozmowny i przypominał sobie różne wesołe przygody z czasów swego pobytu w Burgu wiedeńskim; właśnie opowiadał o figlu, spletanym jednemu z kolegów, gdy z pod balkonu dały się słyszeć dźwięki muzyki, złożonej z kilku instrumentów. Harfa zdawała się tej improwizowanej orkiestrze przewodniczyć, a flet i skrzypce wtórowały. Po krótkiej przegrywce flet i skrzypce ucichły, a harfa wydała z siebie kilka smętnych akordów, i głos dziewczęcy, niewyrobitony jeszcze ale dźwięczny i czysty, śpiewać zaczął:

* Dyrektor teatru drezdeńskiego.

„Pod wierzbą płaczącą dziewczyna łzy roni
I śpiewa: wierzbo! wierzbo!
W dół główkę spuściła, skroń wsparła na dłoni
I śpiewa: wierzbo! wierzbo!”

Dawison wypuścił z ręki łyżeczkę i zaczął się uważnie przysłuchiwać.

„Zdrój, szumiąc opodał, przywtarza jej jękom:
O wierzbo! wierzbo! wierzbo!
Od łez jej gorących kamienie aż miękną...
O wierzbo! wierzbo! wierzbo!”

Herman zaczął coś mówić a propos tych wędrownych muzykantów, ale Dawison przerwał mu niecierpliwym gestem.

„Nazwałam go zmiennym, a on mi rzekł: Ach!
Płacz wierzbo! wierzbo! wierzbo!
Niejeden ci przecie zastąpił mię gach:
O wierzbo! wierzbo! wierzbo!..* ”

W całej postaci Dawisona zaszła gwałtowna zmiana; nie był to już ten sam człowiek co przed chwilą, ale dyszący zemstą Otello. Twarz jego blada pobladła jeszcze bardziej, oczy patrzyły dziko, usta poruszały się cichym szeptem — ręce opuszczone na stół szarpały konwulsyjnie płótno obrusa.

Konstancja wstała i położyła rękę na ramieniu męża. Dawison drgnął i rzucił się w tył na kanapie jak zwierz zraniony, a w ramieniu jego podniesionem jakby do ciosu, w brwiach poruszających się nad oczami błyszczącemi jak u tygrysa, w nozdrzach rozdętych — była groźba. Oczy jego, spoczywające na obnażonej szyi żony, nabiegły krwią...

Ona patrzyła mu w oczy śmiało i spokojnie — a choć twarz jej pobladła mocno, nie zadrżała.

* Szekspir. Otello, akt ostatni.

Ręka mu opadła, zaczął się trząść jak w febrze; wtedy dłoń, która wprzód spoczywała na jego ramieniu, otoczyła powoli jego szyję. Pochylił głowę na pierś żony, przymknął oczy i chwilę tak leżał bez ruchu. Nikt się nie odzywał; zdawało się, że zasnął. Konstancja dała Hermanowi znak, żeby odprawił muzykantów, zaczynających jakąś nową przygrywkę, i zanuciła półgłosem jedną z tych smętnych pieśni Schuberta, co to zdają się jakby umyślnie na to stworzone, aby kość wzburzone umysły.

Na twarzy Dawisona zjawilo się coś nakształt uśmiechu; śpiew widocznie sprawiał mu przyjemność, bo mu się przysłuchiwał. Trwało to długą chwilę. Nareszcie zaczął sobie przecierać oczy, obejrzał się naokoło, popatrzył po obecnych i odezwał się jakby zdziwiony:

— Cóż tu tak cicho? nikt nic nie je — co to znaczy? Dlaczego nic z sobą nie mówicie? Aha! słuchaliście śpiewu! moja żona ma głos cudowny, nieprawdaż?

Przysunął sobie filiżankę, na której dnie było jeszcze trochę wystygłej kawy, i zaczął mieszać tę resztkę z hałasem. Żona ścisnęła go za rękę. Odsunął filiżankę i uśmiechnął się.

— Zdawało mi się, że słyszałem jakąś muzykę — mówił podnosząc rękę do czoła, jakby sobie coś przypominał. — Konstancjo, zagraj co na cztery ręce z naszym gościem. W Dreźnie grywaliście często razem.

Nie można mu się było sprzeciwić w tej chwili, więc choć serca były ściśnięte, wykonano bez zwłoki kaprys chorego. Konstancja grała jak artystka, Herman jej nie ustępował — wykonanie więc było mistrzowskie. Po Beethovenie nastąpił Haydn, a potem jeszcze na żądanie Dawisona śpiewali razem duet Mozarta.

Muzyka ta i ten śpiew sprawiły wielkie na Basi wrażenie; wychowana na wsi i niemająca styczności z tem, co się szerszym światem nazywa, nie mogła mieć dokładnego

wyobrażenia o potęgę śpiewu i muzyki, chociaż miała w jednym i drugim zamiłowanie. Grała sama dość biegle, jak jej mówiono, i śpiewała różne bardziej znane piosenki, do których oddania więcej było trzeba uczucia niż artyzmu—to też to, co słyszała w tej chwili, podziało na nią naksztalt oduurzającego napoju. O! jakież to było różne od wesołych i pełnych życia krakowiaków, mazurów i dumek ukraińskich, które zawsze śpiewała tak chętnie i które wydawały jej się nieprzebranymi skarbami melodji i poezji! Wiedziała wprawdzie z książek i gazet o dziełach znakomitych mistrzów, znała nawet najwydatniejsze dzieła muzyki klasycznej i wiedziała o muzyce przyszłości i istnieniu Ryszarda Wagnera — ale pojęcie, jakie sobie o tem wszystkiem wytworzyła, było słabe i nie dostateczne.

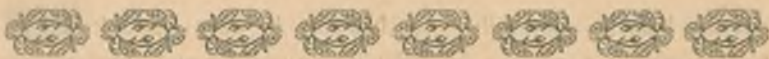
Głos Konstancji dźwięczał jak srebro i płynął spokojnie; głos Hermana, drgający młodzieńczą namiętnością i zapalem, rozlewał się jak potok wzburzony—a wsłuchanej w niego Basi przywodził na myśl majestat zbliżającej się burzy. I działy się z nią dziwne rzeczy. Zdawało jej się, to że jest strwożonym, uciekającym przed burzą ptakiem, to niby jodłą rosnącą na skale; czuła obłoki przepływające nad swoją głową i słyszała szum potoków górskich wzbierających coraz szerzej i szerzej — aż potoki stały się jednym wielkim morzem. I zdało jej się, że ją to morze chce unieść z sobą; czuła jak podmywa jej stopy i jak jej zaczyna brakować gruntu pod nogami. Próbowwała się opierać, ale jej sił zabrakło — ogarnęła ją niewypowiedziana trwoga i zarazem pragnienie zanurzenia się w tych falach. Bo też otchłań morza była tak urocza—tak ponętna...

Słońce powoli chowało się za chmury; ostatnie jego blaski oświecały szlachetny profil mężczyzny i wspaniałą postać kobiety opartej o fortepjan. O! dobrze zrobiło, resztę pokoju pozostawiając w zmroku. Basia po raz pierwszy zapomniała

o narodowości Hermana i patrzyła nań z zachwytem temi samemi oczami, których jedno spojrzenie niedawno miało go w proch obrócić.

Gdy śpiew ucichł, Konstancja zbliżyła się na palcach do kanapy, na której mąż jej był usnął podczas śpiewu, i przysłuchiwała się przez chwilę jego nierównemu oddechowi. Basia widziała ze swego kąjka, jak na tem dumnym, pogodnym zawsze czole pojawił się wyraz dotkliwej boleści, a po twarzy spłynęło kilka łez.

— Jak ona go kocha! — pomyślała — a przecież on nie jest jej rodakiem; dziwna rzecz!



ROZDZIAŁ VI

O KWIATKACH, KTÓRE PANIENKA PODLEWAŁA I NIECO O WIŚNIACH.



Chociaż Basia, wychodząc z Wiktorja hofu, otrząsnęła pył ze swych fioletołów, żeby z nim razem strząsnąć także i urok, jaki ją podczas śpiewu Hermana ogarnął, przecież na-
zajutrz czuła się jakaś nieswoja. Tak jej było, jakby do jej duszy wkradło się coś

obcego, coś takiego, czego w niej dawniej nie bywało — a co całej jej istocie groziło rewolucją. Coby to za rewolucja być mogła, nie zgadywała — ale czuła w sobie niepokój. Była jakaś rozdrażniona, niezadowolona z siebie samej i na cały świat gniewna — chociaż jeżeli kiedy, to dziś nie miała powodu do złego humoru.

Na rannej przechadzce w parku nie spotkała Hermana, a księżę Fryderyk rzucił jej pod nogi bukiet rozcięty — i przeszła po rozspanych kwiatach jak bogini. A stało się to w głównej alei, wobec państwa Dawisonów, doktora L...nera i tłumu spacerujących. Po szmerze i szeptach, jakie po tym

czynie księcia nastąpiły, zgadywała, że cały Landek dzisiaj będzie mówił o niej—a to nietylko takiej jak ona wieśniacze zawróciłoby głowę. Jednak mimo to była nieswoja: babce i Katarzynie odpowiadała lakonicznie, na Jędrzeja ani spojrziała; śniadanie jej nie smakowało i, nie dokończywszy go, wyszła do ogrodu. Babka miała zwyczaj po śniadaniu zawsze przesypiać się godzinkę, nie była więc jej Basia potrzebną.

Kwiaty były także jakieś nieswoje: groszek pachnący spuszczał omdlałe gałązki między rezedę, której drobne listki świeciły tu i ówdzie żółtymi plamkami; gałązki róż poglądały smętnie na okrywające je pączki, niemające siły do wydobywania się z pod zielonych obłonek; powoje pozamykały szczelnie swoje kielichy i nie obiecywały ich otworzyć wcześniej aż wieczorem; stokrocie wychylały od czasu do czasu drobne główki, a dowiedziawszy się, że na świecie duszno i gorąco, chowały się skwapliwie do swoich kryjówek. Cisza panująca w powietrzu zwiastowała dzień upalny. Basia powstała, popatrzyła i, zobaczywszy ścieżkę zarośniętą trawą, pomyślała, że zły jej humor pochodzi niezawodnie z braku zajęcia i tęsknoty za gospodarstwem. Pobiegnęła przeto do gospodyni po grabie i szpadel i zaczęła ścieżkę graczyć z zapalem, jak to zwykła była czynić w swoim ogródku na wsi, którego nikomu tknąć nie pozwalała. Ale po kwadransie tej pracy rzuciła oba narzędzia i, przyniósłszy blaszaną koneweczkę, wzięła się do skrapiania tych kwiatów, które najwięcej budziły w niej litości, bo o nich jako więcej oddalonych od domu stary ogrodnik często zapominał.

— Nie, nie mogę zaprzeczyć, że ma głos cudowny — rzekła do siebie, stawiając konewkę — i pocóż wreszcie zaprzeczać? Nie jestże szlachetniej uznać w nieprzyjacielu jego przymioty, tak jak uznajemy jego wady? Sprawiedliwość przede wszystkim! Nie mogę też nie przyznać, że mimo mego niegrzecznego z nim obejścia się zachował w swoim postę-

powaniu ze mną wiele taktu. Oddanie mu sprawiedliwości nie obowiązuje mnie przecież do niczego względem niego — a mnie, jak myślę, taka bezstronność tylko zaszczyt przynosi.

Tu ujrawszy w cebrze, z którego wodę czerpała, odbity swój obraz, tknięta poszanowaniem dla osoby żywiącej tak szlachetne uczucia, kiwnęła sobie głową uprzejmie.

— Dzień dobry pani — odezwał się tuż przy niej głos męski.

Odwróciła się i zobaczyła opartego o sztachety Hermana, a za nim jego ogromnego psa.

Licho przyniosło ich właśnie w chwili, gdy jak dzieciak jaki przeglądała się w cebrze i... kto wie jak dawno tu stał i czy nie słyszał czego! całe szczęście, że nie rozumie po polsku! Ale czego on chce? Jeżeli mniemam, że mu tu wejść pozwolą, to bardzo się myli. Podniosła grabie i uzbrojona niemi postąpiła ku furtce i oparła się na niej obiema rękami.

— Czy wolno wejść do tego kwiecistego raj? — zapytał młodzieniec rozweselony tą taktyką.

— Nie — odrzekła krótko.

— A jeżeli ktoś pragnie koniecznie dostać się do niego?

— Niech spróbuje.

Dwa te wyrazy przypomniały Hermanowi słynną odpowiedź Sparty: „Przyjdź i weź“.

— Ach, mój Boże! jakże tu próbować, gdy u wrót jego stoi anioł z ognistym mieczem — rzekł, patrząc na oparte na jej ramieniu grabie, których nowiutkie zęby żelazne błyszcząły w słońcu jak srebro.

Basia lekko brwi ściągnęła.

— Mam prawo skarżyć się na los, że postępuje ze mną okrutnie i niesprawiedliwie — mówił dalej. — Za cóż jest mi wzbronione wejście do raj, skoro niczem nie okazałem się tego niegodnym? Wszakże Bóg strącił z nieba aniołów wtedy dopiero, gdy się stali złymi — a ja mamże utracić mój raj

nie posiadłszy go wcale? O, panno Barbaro, wpuść mnie pani chociaż na jedną chwilę! pozwól mi odetchnąć choć raz tylko i upoić się tem powietrzem, którem pani oddychasz, a potem... potem mnie pani wypędzisz — a w duchu dodał: żeby zaś nie dać się wypędzić, to już moja rzecz.

Prośba ta wypowiedziana była tak gorąco, że aż wywołała na twarz Basi przelotny rumieniec.

— Łatwiej jest zawsze tracić to, czego się nie posiada — rzekła chłodno — to też dla dobra pana samego żądania pańskiego spełnić nie myślę.

— Dziękuję pani za troskliwość o moje dobro — odrzekł skromnie; nie zaprzeczy pani jednak, że obowiązkiem każdego dobrego chrześcijanina jest staranie o swoje zbawienie. Panno Barbaro! chodzi tu o moje zbawienie, wpuść mnie pani! Czyż wytrwałość, z jaką panią o to proszę, pomimo doznanej już raz odmowy, nie jest godną nagrody? Pismo Święte mówi: „Pukajcie, a będzie wam otworzone”. Nie chcesz pani? ha! ale i ja nie mogę tak stąd odejść.. byłbym niegodnym raju, gdybym nie umiał sobie znaleźć drogi do niego. Gdy chodzi o szczęście wiekuiste, wszystkie drogi są dobre!

I zrobił taki ruch jakby się gotował przeskoczyć sztachety. Basia rzuciła grabie, a porwała koneweczkę z wodą, przyczem wyraz jej twarzy mówił, że postanowiła za wszelką cenę nie wpuścić nieprzyjaciela na swoje terytorjum i że w ostatecznym razie nie będzie się wahała użyć energicznych środków.

— Broń, jaką pani rozporządza, jest rzeczywiście groźną — rzekł Herman, patrząc na koneweczkę — mnie jednak jako otrzaskanego z bronią nie przeraża. Żołnierzem jestem jak każdy Prusak; szedłem nieraz naprzeciw pękających granatów i patrzyłem śmierci oko w oko. Niech pani mnie nie oszczędza, bardzo proszę.

To mówiąc, chwycił za szczeble i już się spuszczał na drugą stronę, gdy w powietrzu zaszumiało i spadł na niego deszcz rzęsisty. Atak ten jednakże, choć energiczny, okazał się bezskutecznym. Herman był już w ogrodzie; za nim przeskoczył także jego pies i usiadł najspokojniej na rabacie, wywiesiwszy język.

— Czy nie wytrzymałem ognia mężnie? — zapytał wesoło, otrząsając się z wody. — Wielki Boże, jakaż twarz gniewna! na czole wisi chmura, a oczy ciskają błyskawice... Niech pani będzie spokojna; nie zostanę tu wbrew woli pani choć prawa wojenne całego świata orzekają, iż plac boju należy do tego, kto go zdobył. Dokażę, czegom pragnął, i dość mi tego. Pójdź tu, Dybol, godność nasza nie pozwala nam zostać tam, gdzie nas nie chcą!

Jeszcze Basia nie miała czasu ochłonąć z wrażenia pierwszym czynem wywołanego, a już i pan i pies znajdowali się napowrót po drugiej stronie sztachet.

— Nie wątpię, — mówił Herman, opierając się znowu ręką tak jak wprzód, na szczeblach — że drzwiczki te same się dla mnie otworzą, skoro wymówię imię, dla którego pani żywi głęboki szacunek, cześć niemal. Przychodzę tutaj jako poseł Bogumiła Dawisona. Pani zdaje się mi nie wierzyć; przewidywałem to i zaopatrzyłem się w list żelazny. Czy pani znany jest ten przedmiot? — zapytał, wyjmując z kieszeni zielony kryształowy kubek z cyframi.

— Tak, to jego kubek od serwatki — rzekła, rzuciwszy okiem — słucham więc, co mi pan ma do powiedzenia.

— Jakto? tutaj, na drodze?

— Możemy wybornie rozmówić się z sobą przez sztachety, a wreszcie jest to terytorjum neutralne.

— Ależ pani, takie traktowanie posła jest zniewagą dla państwa, które go wysyła! Charakter polityczny posła zasłania go od wszelkich obelg i należytych dlań względów wy-

maga! reprezentuje on bowiem swoją osobą tego, w czyjem imieniu przychodzi. Nietykalność posłów znaną jest w całym ucywilizowanym świecie... co mówię, u dzikich ludów nawet! Któryż wreszcie monarcha dawał kiedy posłuchanie przez szlachety? niech pani tylko pomyśli!

— Czy pan raczy mi powiedzieć, jakie panu dano do mnie zlecenie? — spytała niecierpliwie.

— Niech pani wybaczy — powiedział, kłaniając się — ale pierwszym obowiązkiem posła jest strzec honoru swojego monarchy. Nie mogąc otrzymać u pani posłuchania z należytymi dla królestwa Talji i Melpomeny względami, będę zmuszony odejść, nie spełniwszy zlecenia.

Basia zawahała się. Nie wysłuchać zlecenia Dawisona, będzie to obrazić go — ale wpuścić nieprzyjaciela do obozu, jest to znowu to samo, co przegrać bitwę.

— Czy pani nie ma mi już nic do powiedzenia? — zapytał.

— Nie.

— Widzę — rzekł odchodząc — że to, com słyszał o słynnej gościnności Polaków, było tylko poetycznym wymysłem historyków i powieściopisarzy. Żegnam panią.

Krew uderzyła na lica Basi.

— Panie von Walden! — zawołała, otwierając furtkę — proszę, niech pan wejdzie!...

Herman nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i w mgnieniu oka był już w ogrodzie.

— Jestem gotowa dać panu posłuchanie — rzekła grzecznie.

Łaskawy ton tych wyrazów dodał Hermanowi otuchy.

— Pani — powiedział, kłaniając się — nie słyszałem, aby posłuchania odbywały się kiedykolwiek pod gołym niebem, wobec słońca bijącego prosto w oczy; historia o tem milczy. O ile wiem, w starożytności dawano je pod rozłożystym dębem; w wiekach średnich pod baldachimem. Sądzę, że najod-



Basia rzuciła grabie a porwała koneweczkę z wodą.
(str 94)

powiedniejsze do tego miejsce, tak dla pani jak dla mnie, będzie tam.

I wskazał altanę obrośniętą dzikiem winem. Basia przygryzła wargi. Przypomniała jej się bajka o wilku wpuszczonym do owczarni.

— A więc chodźmy — odrzekła krótko.

To, co nosiło nazwę altany, było poprostu daszkiem urządzonym z kilkunastu drewnianych łat i wspartym na czterech cienkich słupkach. Winograd piął się dookoła słupków, pokrywał dach i spuszczał z niego po bokach długie gałązki niby festony, co wszystko razem rzeczywiście więcej zbliżone było kształtem do baldachimu, niż do altany. Wewnątrz stała jedna niewielka ławeczka i stół. Na stole jakaś dobroczytna ręka postawiła koszyczek wisien, co Basię nappełniło wielkim niezadowoleniem.

— Pewnie sprawka Katarzyny — pomyślała — chciała mi niespodziankę zrobić; nieznośna kobieta! Że też mi wszyscy dzisiaj na złość robią... Potrzebne było przynosić wiśnie, gdy *ten* tu jest! Jeżeli go poczęstuję, nie odejdzie zaraz — a nie poczęstuję, to będzie miał powód znowu narzekać na niegościnnosć Polaków. Ach!

— Niech pan siada — rzekła, wskazując mu miejsce na ławce obok siebie i usuwając swoją suknię jak najdalej, aby uniknąć przypadkowego z nim zetknięcia. — Oto świeże owoce — dodała, podsuwając mu koszyk — proszę, niech się pan ochłodzi.

Zerwała dwa duże winne liście i podała mu jeden, mówiąc:

— Oto talerzyk; przepraszam, że tak skromny, ale innych tu nie mam, jak pan widzi. Sądzę, że teraz nic już panu nie przeszkadza wywiązać się z poselstwa.

— O, pani — rzekł uszczęśliwiony tą niespodzianą ła-

ską — być częstowanym przez panią, siedzieć obok pani, to więcej niż śmiałem marzyć...

— Czy to panu polecił powiedzieć mi pan Dawison? — spytała zimno.

— Widzę, że pani chce się mnie pozbyć jaknajprędzej. Zaczynam już, zaczynam: kazano mi panią pozdrowić.

— Niech pan nawzajem zanieśe odemnie pozdrowienie mieszkańcom Wiktorja-hofu. Czy to już wszystko?

— Nie pani, to dopiero wstęp.

— Boże, dodaj mi cierpliwości! — myślała Basia, wznosząc oczy do nieba.

— Wiadomo pani, że projektowana przez państwa Dawisonów wycieczka do Seidenbergu naznaczoną była na godzinę czwartą; ze względu jednak, że pan Dawison czuje się dzisiaj osłabionym i że ta godzina pociągnęłaby za sobą późny powrót, co doktor L...ner uważa za szkodliwe dla zdrowia swego dostojnego pacjenta — postanowiono odłożyć ją na jutro, oraz przyspieszyć wyjazd o dwie godziny; wydelegowano mnie do zawiadomienia pani o tem

— Dziękuję. Czy to już wszystko?

— Nie, pani; mam jeszcze list do szanownej babki pani od pani Dawisonowej, w którym, jak mi powiedziano, jest prośba o pozwolenie pannie Barbarze towarzyszenia im w tej wycieczce. List ten pragnę osobiście doręczyć i przy tej sposobności złożyć pani N...cz moje uszanowanie.

— Mocno żałuję, ale babka moja śpi teraz, więc przyjąć pana nie może. List ja sama doręcze, choć i bez niego dała mi już swoje zezwolenie. To już niezawodnie wszystko?

— Kazano mi jeszcze pozdrowić panią.

— Miałam przyjemność słyszeć to już raz.

— Doprawdy? zupełnie zapomniałem, że to mówił.

— Widzę, że my Polacy mamy lepszą pamięć. Ale pan nic nie je, nie lubi pan widać wisien — i bardzo słusznie;

mojem zdaniem niema nic niesmaczniejszego nad wiśnie — dodała, wstając.

— Przeciwnie, to mój najulubiejszy owoc.

Masz tobie — pomyślała, siadając napowrót — nieznośna Katarzyna! będzie tu siedział Bóg wie póki... a wypraszać gościnność nie pozwala.

Chcąc się prędzej pozbyć gościa, postanowiła mu pomóc do wypróżnienia koszyka.

— Niech pan będzie łaskaw, więcej, jeszcze więcej — prosiła uprzejmie — najlepiej można ocenić smak wisien, kładąc po kilka na raz w usta, ot tak!

I popierając słowa przykładem, wpakowała do ust całą garść. Herman, który zrozumiał tę dyplomację, przeciwnego był zdania i doprowadził Basię do rozpaczycy swoją wstrzeмиęźliwością.

— Do wieczora nie skończy! — mówiła sobie, patrząc nań z pod oka.

Wkrótce jednak Herman przekonał się, że łatwiej iść naprzeciw kartaczom, niż przeciw woli kobiety, gdy się uprzejmość nie miała więcej nad szesnaście lat. Basia częstowała go tak natarczywie i pomagała sama tak energicznie, że „najniesmaczniejszy w świecie owoc“ zniknął z koszyka w ciągu dziesięciu minut. Gdy wreszcie oświadczyła uprzejmie, że go odprowadzi do furtki, nie pozostało mu nic więcej, jak tylko sięgnąć po kapelusz.

Właśnie mijali duży klomb owalny, gdy Herman zatrzymał się nagle.

— Ach! — zawołał — biedne kwiatki, jak one wszystkie deszczu są spragnione; kapryfolje ledwie się trzymają na nogach, a te astry, przysięgłbym, że lada chwila pomdleją. Widziałem, że je pani polewała wodą, gdym tu siedł. Przeszkodziłem pani, nieprawdaż?

— W istocie.

— Ale ja tego nie zniosę, aby te niewinne istoty cierpiały z mojej przyczyny; nie mam tak twardego serca!

Jeszcze Basia nie miała czasu zgadnąć, do czego zmierza ta mowa, gdy Herman pobiegł po koneweczkę, napełnił ją wodą i zaczął klomb skrapiać obficie.

— Ależ, panie — wołała, biegnąc za nim — co pan robi! Staranie o moje kwiatki proszę mnie zostawić. Mała zwłoka nic nie znaczy. Zabiorę się do polewania ich zaraz po odejściu pana; niech się pan tem nie trudzi, bardzo proszę. Panu się śpieszy do domu, nieprawdaż?

— O nie, pani, mam dość czasu.

— Przecież właściciela zamówionych koni trzeba o zmianie godziny wyjazdu uprzedzić, czy panu to na myśl nie przychodzi?

— Tak jest, ale zapewniam panią, że sam Bogumił Dawson, o którego tu idzie, nie mógłby obojętnie patrzeć na niedolę biednych kwiatków i dla ocalenia ich życia chętnie odłożyłby na chwilę na bok własne sprawy. Nie bądźmy egoistami i umiejmy poświęcić też coś dla bliźnich... bo te kwiatki to siostrzyczki pani!

I pobiegł napełnić koneweczkę po raz drugi.

— Widzę, że go się nie pozbędę — myślała z rozpaczą Basia — Kto wie, czy nie popełniłam błędu, wpuszczając go tutaj. . ale wątpić o polskiej gościnności!... — Zaszczyt pańskiemu sercu przynoszą te uczucia — mówiła, wciąż za nim postępując — jednakże obowiązek przede wszystkim, a skoro pan podjął się uwiadomić tego człowieka...

— Pani się myli, nie mówiłem wcale, że się podjął; a choćby tak nawet było, to mam moje pojęcie o obowiązkach. Mojem zdaniem, najpierwszym i najświętszym ze wszystkich jest obowiązek ratowania cierpiących. Mniemam, a nawet pewny jestem, że zdanie pani nie różni się pod tym względem od mego i że, robiąc mi zarzut, chciała mnie pani

tylko doświadczyć. Kwiaty przecież żyją jak inne organizmy, a więc czują i cierpią.

— Biedna różyczko—mówił, unosząc delikatnie gałązki niewielkiego krzaczka i skrapiając go od spodu — i jażbym miał spokojnie patrzeć na twoje konanie! Miałżebym ci pozwolić umierać w całym blasku wdzięków? O nie, nigdy! Chybabym serca nie miał..

Basia wzruszyła ramionami.

— Ależ panie, tej róży ani się śniło umierać! Niech pan już postawi koneweczkę, bardzo proszę. Niech pan wybaczy, ale... pan kwiatów podlewać nie umie. Któż tak leje bez miłosierdzia z góry na wszystko? Po obu stronach ścieżki płyną szerokie strugi, a na klombie utworzyły się dwa wielkie jeziora! Za chwilę połączą się i zaleją te biedne stokrotki, które doprawdy nic panu nie zrobiły złego!

— Ach, mój Boże! jakże się wstydzę mej niezgrabności — zawołał, zasłaniając twarz kapeluszem — ale niech się pani nie martwi! Jestem trochę inżynierem i przysięgam pani, że je ocalę; trzeba tylko tutaj zbudować tamę, a tam kanał przekopać. Gdzie jest szpadeł?

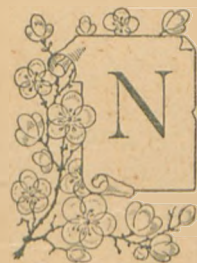
— Ach, na Boga! niech pan tego nie robi! — zawołała z przestrachem — Pięknieby ogród wyglądał po odejściu pana! Wolę już, że zostaną rzeki i jeziora.— Ani sposób go się pozbyć—myślała, wznosząc oczy do nieba; ale na szczęście zabrakło wody w cebrze i gość rad nie rad musiał się nakoniec pożegnać.

— Przebrzydłe Niemcy! gnębiciele narodowości! — mówiła do siebie, patrząc za oddalającym się młodzieńcem, przed którym biegł jego Dybol.—Czy to nie bluźnierstwo, naprzykład, psu dawać miano szaińców, które tak długo i tak mężnie broniły się Prusakom? O, panie von Walden, jeżeli myślisz, że godzina spędzona w tym ogrodzie posunęła choć cokolwiek nasz do siebie stosunek, to bardzo się mylisz. Nie spodziewaj się także dostać się tutaj po raz drugi!..



ROZDZIAŁ VII

O TEM, CO SIĘ PANIENCE PRZYDARZYŁO W KOPALNI
MARMURÓW, I CO Z TEGO WYNIKŁO.



Nazajutrz około godziny czwartej po południu dwa powozy zatrzymały się w Seidenbergu przed niewielkim domkiem, będącym rodzajem przystani i wypoczynku dla przybywających tam podróżnych. Z pierwszego wyskoczył najprzód młodzieniec z czarnymi jak heban włosami i cerą lekko śniadawą i, wysadziwszy piękną trzydziestoletnią kobietę i młodziutką jasnowłosą panienkę, pomagał z synowską troskliwością wysiąść pięćdziesięcioletniemu mężczyźnie, którego wzrost i budowa stanowiły uderzającą sprzeczność z bladą, cierpiącą twarzą i rozlanym na niej wyrazem niewysłowionej melancholji. Z drugiego powozu, który się zaraz za pierwszym zatrzymał, wysiadł mężczyzna średnich lat, w czarnym surducie z kolorową wstążeczką w dziurce od guzika; ostre rysy jego twarzy nie wzbudzały sympatji, ale nakazywały poszanowanie — a małe siwe oczy patrzyły z pod złotych okularów bystro i przenikliwie.

W drzwiach domu pokazała się w tejże chwili mała, przysadkowata figurka gospodarza z fajką w zębach; jeden szybki rzut oka na przyjezdnych wystarczył mu do oceny, ile i jakich korzyści po nich spodziewać się może.

— Powóz najęty, ale służący jest, zapłacą mi po trzy srebrniki od konia; stary coś nie tego wygląda, nie przyjedzie drugi raz — hm, zapłaci mi po pięć, nie, po sześć; zobaczę wreszcie, co będą jedli. Tamten musi być jakiś wysoki urzędnik — mówił, spostrzegając wstążeczkę — co najmniej radca stanu, zapłaci mi po siedem. A może też jest to coś więcej! Powóz wspaniały, cztery konie, murzyn w liberji — może to jakiś minister albo graf!

W tej chwili pierwszy powóz odjechał cokolwiek na stronę, a herby drugiego powozu, które tamten był sobą zasłaniał, ukazały się w całej okazałości na drzwiczkach, z błyszczącą nad nimi książęcą koroną. Okrągłe oblicze oberżysty rozpromieniło się na ten widok.

— Zapłaci mi po dziesięć — wyszeptał i, wyjąwszy fajkę z zębów, zbiegł ze schodów, a kłaniając się nisko towarzystwu, zapytał, czem może służyć, i wyliczył wszystkie kuchenne i spiżarniane zasoby. — Jest świeże mleko, jest kawa, są owoce. A może państwu kazać nałapać pstrągów? Będą za pół godziny gotowiuteńkie na półmisku. Jest i sałata.

— Lubi pan pstrągi? — zapytał bladego mężczyzny mniemany minister.

— Wszystko mi jedno — odparł zagadnięty — bo jeść nie będę. Zapytaj się księżę mojej żony, Fryc przynieś mi szklanekę wody.

— A więc pstrągi z sałata — rzekł księżę po krótkiej z damą naradzie — i owoce. Nakrycie na pięć osób.

— Pięć razy pięć dwadzieścia pięć — liczył w myśli oberżysta — cztery razy dziesięć czterdzieści, dwa razy siedm

czternaście; wypada razem dwadzieścia jej imię z owym „bardzo go-
ników.

— Czy daleko stąd do kop ^{różnych} przebywana przed-

— Kwadrans drogi. Trzeba ^{owsem} niezbyt bujnym
tem skrócić na lewo, potem ścieżką ^{była} coraz słabsza, bo
dzisiaj górnicy nie pracują, bo święto; ni ^{arłowate}. ^{Trawa} ^{stwo} wi-
dzieli, jak się prowadzą roboty. A szkoda, ^{to} jest co widzieć!
Może państwo w inny dzień przyjadą; u mnie codzień świeże
pstrągi, a sałatka prawdziwa brukselska, smaczna i mięciutka
jak jedwab — sama się w ustach rozplýwa.

— Więc nie znajdziemy tam nikogo?

— A, owszem. Przy kopalni stoi mała chatka, w chatce
mieszka stary Johan. Dawniej był górnikiem, a dziś się dłu-
tem bawi. Jest to mój krewny, proszę państwa; poczciwości
człowiek, a jaki z niego majster! można u niego kupić przy-
ciski do papieru, krzyżyki, posążki — wszystko bardzo tanio.
Za talarka pokaże państwu kopalnię i pieczarę, z której bije
doskonała woda do picia.

— Kwadrans drogi — powtórzyła Konstancja, spoglą-
dając na męża — na pierwszy spacer dla ciebie to trochę
zadaleko. Jedźmy lepiej.

— Cóż znowu — odrzekł opryskliwie — macie mnie
widzę za chorego. Kwadrans drogi, niema nawet o czym
mówić. Chodźmy.

Dała znak stangretowi, żeby jechał za nimi w pewnej
odległości i podała rękę mężowi.

— Chcę dziś spróbować siły tego młodego ramienia —
rzekł, usuwając ją lekko i wskazując na Basię.

— Chodź, chodź Basiu — zawołała pani Dawisonowa
wesóło — lew chce być wiedzionym przez gazellę! Chodź
i prowadź jego kroki śmiało, bo król puszczy nie może mieć
lęklivego towarzysza; ale ostrożnie — dodała ciszej — żeby
nie czuł zmęczenia. Jak ci sił zabraknie, zawołaj na mnie.

W drzwiach domu pokłękę towarzyszyć Basi i takiego przysadkowata figurka gospodarz podziwiał, pośpieszył podać rękę szybki rzut oka na przyjeźdźcę, a jego nie została przyjętą.

— Powóz obchodzącym przedmiocie — rzekła tajemniczo.

— Czy wolno wiedzieć, jakiego rodzaju jest ten przedmiot? — zapytał książkę.

— Żeńskiego — odparła, śmiejąc się i wsunęła rękę pod ramię młodzieńca.

— A, to nie przeszkadzam — powiedział, cofając się i zajął miejsce obok Basi.

Słowa te mocno uderzyły panienkę.

— „O pewnym bardzo go obchodzącym przedmiocie” i przedmiot ten jest „rodzaju żeńskiego”! hm, pewnie będą mówili o *niej*, o tej, za którą mnie wziął przez pomyłkę, wówczas gdy się pode mną ten nieszczęsny osioł rozbrykał! Więc on sobie ze mnie tylko żartował wczoraj w ogrodzie! więc on naprawdę kocha kogoś, kogo zna także pani Dawisonowa...

Obraz Doroty z dużymi czerwonymi rękami, niezgrabnymi nogami i sentymentalnym wejrzeniem stanął przed jej oczyma. Byłaby wiele dała za to, żeby ją widzieć naprawdę, i uczuła zarazem dziwną niechęć do tej kobiety. Ogarnęło ją jakieś zniechęcenie, jakby uczucie doznanego zawodu, z którego jednak nie umiała zdać sobie sprawy. Książęciu, usiłującemu zawiązać z nią rozmowę, odpowiadała z roz-targnieniem, chwytając dźwięki wyrazów idącej za niemi pary — nic jednak dosłyszeć nie mogła. Mówili jakby nautymślnie półgłosem, a szelest zeszlęgo mchu, uginającego się pod nogami, tłumil szmer ich jeszcze bardziej. Raz tylko wpadło jej do ucha jej własne imię, ale musiała się chyba przesłyszeć — tak jest, przesłyszała się niezawodnie; cóż bo-

wiem za łączność mogło mieć jej imię z owym „bardzo go obchodzącym przedmiotem”?

Okolica przez naszych podróżnych przebywana przedstawiała łagodne falistości gruntu, owsem niezbyt bujnym porosłego. Wegetacja tutaj widocznie była coraz słabsza, bo drzewa trafiały się rzadziej i kształty miały karłowate. Trawa, pokazująca się jeszcze tu i owdzie kępami, ustępowała powoli miejsca brunatnym wrzosom, mchom, kosodrzewinie i innym tym podobnym krzewom, wskazującym grunt skalisty i niesprzyjający roślinności. Większe i mniejsze odłamy marmuru wały się pò drodze, na której ślady kół głęboko wryte w ziemię mówiły o przewożonych tędy ciężarach. Była to jedyna wskazówka, że się zbliżano do kopalni. Pustej tej i bezbarwnej okolicy nadawała surowy nieco charakter góra Krzyżową zwana, od krzyża stojącego na jej szczycie; w jej to łonie kryły się owe złotodajne marmury. O dwieście kroków niżej płynął strumień i spuszczał się między łąki niby wąż pełzający po kobiercu.

Dziwna rzecz: małe nóżki Basi, co z wiatrem chodziły na wyścigi, a z wytrzymałości pozyskały sławę między młodzieżą wieśniaczą w wiosce babki, i to sławę jakiejby niejeden piechur pozazdrościł — odmawiały jej dzisiaj posłuszeństwa. Ona, co nie męczyła się nigdy, poczuła się nagle zmęczoną. Ręka Dawisona ciążyła na jej ramieniu jakby była z żelaza i zdawało się, że ją zgniecie swoim ciężarem, a słomiany kapelusz ścisnął jej czoło niby obręcz żelazna. Szła z wysileniem, które ją dużo kosztowało, i wyglądała końca drogi z upragnieniem. Ach, gdyby wypadło, jakże chętnie uciekłaby od towarzystwa, które niedawno wydawało jej się tak przyjemnem, w którym jej było tak dobrze! z jakąż rozkoszą spoczęłaby tam, na łące przenikniętej chłodną rosą, sama, zupełnie sama, albo skąpała się w wodach strumienia! Toby ją niezawodnie orzeźwiło.

Dawison dosłyszał jej oddech przyśpieszony i stanął.

— Pani się już zmęczyła — rzekł, patrząc na nią — czuję to. Nie tobie wspierać kroki lwa, biedna gazello! Zawołam Konstancji.

Słowa te wróciły energję Basi.

— Nie, nie! — zawołała z żywością — niech pan nie woła nikogo. Do kopalni już niedaleko; widzę stąd chatkę górnika, o której nam mówił oberżysta. Zapewniam pana, że wytrwam do końca.

Spojrzał na nią badawczo i zapytał:

— Cóż ci więc jest, moje dziecię?

— Mnie? nic, to jest... jest mi tylko gorąco. Powietrze takie jakieś duszne, takie ciężkie jakby się zanosilo na burzę... Niech się pan oprze na mojem ramieniu tak jak wprzód, mocniej, jeszcze mocniej; ot, tak.

I pomimo nalegań księcia, który ofiarował się ją zastąpić i wypowiedział to w słowach pozwalających się domyślać, że oddanie panience przysługi byłoby mu bardzo przyjemnem, nie chciała ustąpić ze swego stanowiska przewodniczki.

— Tegoby tylko trzeba, żeby się przyznać do słabości wobec Niemców, którzy wszędzie i zawsze usiłują pokazać światu swoją siłę — myślała. — Ten jak ten, ale coby powiedział na to tamten, on, co każdą najdrobniejszą nawet okoliczność usiłuje na korzyść Niemców wyzyskać! Powiedziałby zaraz, a jeżeliby nie powiedział, toby sobie pomyślał że Polki nie dorównują Niemkom pod względem wytrwałości i sił fizycznych, a powiedziałby to z tym szatańskim uśmiechem, który we mnie krew burzy. Jego Dorota jest niezawodnie tęgą dziewczyną, dobrze zbudowaną.

Wkrótce całe towarzystwo znalazło się u wejścia do kopalni. Otwór jej miał kształt komnaty tytanicznych rozmiarów, wyrąbanej w skale; ściany olśniewającej białości, ru-

mieniły się miejscami krwawemi żyłkami — snać w zimnym tym marmurze drgało życie, skoro w żyłach jego krew płynęła. Nierówna posadzka tej komnaty wyłożona była niby mozaiką z barw: bladuróżowej, żółtej i popielatej, połączonych z sobą żyłami, tworzącemi fantastyczne wzory — strop jej zastępował błękit nieba, płonącego w tej chwili na zachodzie blaskami złota i purpury. W głębi komnaty po lewej stronie była pieczara, do której wejścia strzegł wiszący nad nią zrąb marmuru zaostrzony nakształt topora, i zdający się śmiercią grozić temu, ktoby tam zbliżyć się ośmielił. Z pieczary tej wypływała woda i umyślnie dla siebie wyżłobionem korytem płynęła pod ścianą z cichym szmerem na dół, gdzie był mały zbiornik. Słońce świeciło prosto w kopalnię, wszystkie trzy ściany były w ogniu; woda płynąca z pieczary wyglądała jak strumień lawy ognistej. Czerwone żyły marmuru zdawały się drgać.

Z ust Basi wyrwał się okrzyk zachwytu.

— Ach, jak tu ślicznie! — zawołała — istnie jak w bajce!

Herman zaproponował, aby wszyscy wychylili po szklankę tej wody na cześć śląskiego marmuru, a Dawison pierwszy poparł jego projekt, dodając ze swej strony wnioszek, aby do każdej szklanki wpuścić po kilka kropel wina.

— Broń, Boże! — odparł z żywością młodzieniec — duchy podziemne władające kopalnią, o których mówi miejscowa legenda, mogłyby nas za to ukarać. Mogłyby jeżeli nie nas samych, to serca nasze obrócić w kamienie. Pijmy lepiej czystą wodę bez żadnej przymieszki! Idę do górnika po szklanki.

— Ej, ej, panie Hermanie — wołał za nim Dawison — coś mi się zdaje, że ci bardzo o to chodzi, aby pewne serce nie stało się dla ciebie kamienne...

Herman się zatrzymał.

— Gdyby serce, o które mi chodzi — rzekł, patrząc na

Basię — posiadało rzeczywiście twardość kamienia, jeszcze-
bym nie stracił nadziei. W kamieniu są iskry!

To powiedziawszy, oddalił się.

— Czy on do mnie mówił? — pyta siebie Basia, przypominając sobie jego wzrok i ton głosu, tchnącego siłą przekonania.

Spojrzała po obecnych i spostrzegła, że wszyscy mają oczy na nią zwrócone, nie wyjmując księcia, patrzącego z pod złotych okularów bystro i przenikliwie. Czują, że się rumieni i gniewało ją to — bo jeżeli kiedy, to teraz właśnie pragnęła zachować niewzruszoną obojętność.

— Jeżeli do mnie mówileś, panie von Walden, to bardzo się mylisz — rzekła do siebie — bo nie ty będziesz tym, co iskrę wydobędzie z kamienia!...

— Zagłośno pani myśli — szepnął jej Dawison do ucha — szczęściem myślałaś po polsku i nikt cię prócz mnie nie rozumiał. Inaczej posądzonoby panią o nienawiść do Hermana.

Basia milczała.

— Nic pani nie mówi? Czy pani zawinił co ten biedny chłopiec?

— Gniewa mnie jego buta i zarozumiałość — odpowiedziała — Niemcy, podług niego, to naród wybrany od Boga do panowania nad światem; to potęga, której się nic nie oprze... Kilka dni temu spotkaliśmy się przypadkiem w wąwozie; pan wie — bo mój rycerski wybawca nie miał nic pilniejszego jak państwu opowiedzieć o tej przygodzie, przedstawiającej mnie w śmiesznem świetle.

— Zapewniam panią, że Herman...

— Jestem pewna, że nie żałował jaskrawych kolorów do odmalowania mego przestrichu, mojej śmiertelnej jakoby bladeści i nieładu, w jakim się znajdował mój ubiór — jak-
bym go słyszała — z tym samym drwiącym uśmiechem, jaki

widziałam wówczas na jego ustach... Nie zapomniał niezawodnie o mojem pomieszaniu na widok tego oto kapelusza, kołyszącego się na gałęzi niby zbrodniarz skazany na powieszenie, któremu bił szyderskie pokłony... Nie! bo jakby to było!

— Ależ, panno Barbaro! doprawdy...

— Opowiedział pewnie szeroko i długo całą naszą rozmowę — ale nie o to już chodzi. Nasze ranne nieporozumienie nazwał błahem starciem; błahem starciem! uważa pan? i ofiarował mi wspaniałomyślnie przymierze dla zdobycia sobie wzajemnego szczęścia w przyszłości... Pan się śmieje? A gdy mu dała do zrozumienia, że się bez jego pomocy obejść, wyraził nadzieję, że prędzej lub później przyjdzie między nami do sojuszu. Odtąd postępuje ze mną jak dyplomata, który, nie mogąc zyskać ustępstwa odrazu rozłożył sobie plan postępowania na czas dłuższy. Jego spokój i pewność zwycięstwa drażni mnie. Słyszał pan przecie, jak powiedział, że wydobędzie iskry z kamienia. Co za zarozumiałość! Ten zachwały Brandeburczyk mniema, że serca Polek są równie łatwe do zdobycia jak twierdze duńskie i austriackie!.. Czy on sobie prędko pojedzie? Pan się znów śmieje — ach, Boże, czy ja co nierozsądnego powiedziałam? Zaraz! bo to jeszcze nie koniec.

— Musi pan także wiedzieć, jakeśmy wczoraj rano przez sztachety rozmawiali; i o tem, żem go wodą obląła — bo żaden Niemiec nie wytrzymałby dwudziestu czterech godzin, żeby się przed całym światem nie pochwalić, że dostał się nareszcie podstępem tam, gdzie go puścić dobrowolnie nie chciano — zwłaszcza jeżeli to stronę przeciwną przedstawić może w śmiesznem świetle! Dzisiaj, gdym szła popołudniu przez park do państwa o godzinie na wyjazd naznaczonej, zobaczyłam go zdaleka, zdążającego także do Wiktorja-hofu. Nie chcąc się z nim spotkać, schowałam się w kukurydzę, w tem duży klomb pod wierzby — wie pan?

— Wiem, wiem.

— Schowałam się i siedzę, a on się zbliża. Zbliża się i zaczyna zrywać z klombu przeciwległego najpiękniejsze kwiaty. — Tu zaczęła wyliczać na palcach—rezedę, lewkoję, ostróżkę, nareszcie przepyszną różę herbatnią, której piękność zdolna była wzruszyć serce kamienne, ale nigdy serce tego... Nie mogłam dłużej wytrzymać, żeby nie powiedzieć mu, że to nieładnie, że się jednak temu nie dziwię, boć to charakterystyczna cecha narodu niemieckiego, że woli zawsze go spodarować na cudzem, niż na swoim. On podnosi głowę z dumą prawdziwie bismarkowską i powiada: — Dopatruje pani we mnie cech charakterystycznych narodu niemieckiego, ja jednak nie mogę w pani dopatrzeć się cech, charakteryzujących polskie niewiasty.— Ja na niego oczy wytrzeszczam, a ten dalej prawi: — Podobno mężne te kobiety przewyższały patriotyzmem niewiasty Sparty i Rzymu; słyszałem, że nietylko zagrzewały mężów i synów do walki, ale same siadały na koń w potrzebie. Kroniki wspominają o jakiejś Chrzanowskiej, która z mieczem w rękę zmusiła męża do obrony Trębowli. — Ciekawam, skąd on wie o Trębowli? To bardzo dziwne u Niemca, nieprawdaż, panie?

— W istocie, bardzo dziwne — odpowiedział Dawison, wstrzymując uśmiech. — Cóż dalej?

-- Zaraz, zaraz. — Cześć Chrzanowskiej — mówił, odkrywając głowę, i cześć krajowi, który takie niewiasty na świat wydawał. — Ja nic nie rozumiem, do czego to zmierza, a ten nakrywa głowę i tak kończy: — Nie czytałem nigdzie, aby która z Polek chowała się na sam widok nieprzyjaciela w kukurydzę... — Przyzna pan, że tego było już zanadto. Rzuciłam na niego piorunujące spojrzenie, ale takie, powiadam panu, że powinno go było w proch obrócić!

— Ale nie stał się prochem?

— Nie, niestety! Ale pan się ze mnie śmieje i myśli może, że mi piątej klepki brakuje!

— Broń Boże — odrzekł, przybierając twarz poważną — jestem tego samego zdania, co pani. Należy nieprzyjacielowi dać uczuć naszą siłę i nakazać dla niej poszanowanie, a najlepszym do tego środkiem byłoby...

— Co byłoby najlepszym środkiem? — pochwyciła z gorączkową ciekawością — co? niech pan powie!

— Zamienienie polityki odpornej na zaczepną.

— Na zaczepną?

— Tak. Mojem zdaniem, trzeba podbić serce tego Niemca i wziąć go przez to w niewolę.

Rzuciła nań spojrzenie pełne wyrzutu, ale nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo Herman wracał ze szklankami i prowadził z sobą górniką, który niósł w ręku zapalone luczywo. Wszyscy poszli za nim. Gdy stanęli u wejścia do pieczary, górnik zagłębił rękę z luczywem w otwór, i ujrzeli szeroki podziemny korytarz iskrzący się brylantami. Strop, najeżony stalaktytami, odbijał się w wodzie, wypływającej stamtąd z szumem, który echa podziemne roznosiły daleko.

Basia chwyciła się jedną ręką ściany i zajrzała w otwór, rozglądając się ciekawie po tej pieczarze, przypominającej powieści z Tysiąca nocy. W wodzie ujrzała odbity swój własny obraz, wyglądający przy świetle pochodni jak czarodziejskie zjawisko. Złote jej włosy niby z promieni słonecznych utkane, oczy błyszczące jak dwa czarne diamenty i biała sukienka z przejrystego jak mgła muślinu nadawały jej postać królowej gnomów, która lada chwila rozplynie się w powietrzu. Przez parę sekud przypatrywała się temu obrazowi.

— Bardzo brzydka nie jestem — rzekła do siebie — i gdybym naprawdę chciała...

Herman zaczerpnął wody w szklanki i podał najprzód damom, a następnie księciu i Dawisonowi; ale ten ostatni

skosztowawszy jej, uznał, że jest nadto zimna i że dla samego zdrowia zmęczonych i spragnionych podróżnych trzeba ją mieszać z winem. Wszyscy zgodzili się na ten projekt, a i Herman już mu się nie opierał; przyniesiono z powozu butelkę burgunda, i gdy ten płyn szlachetny wodę zaczerwienił, Herman podniósł swoją szklanę w górę i zawołał z zapalem:

— Niech żyje śląski marmur! niech sława jego rozejdzie się po całym świecie, i zaćmi sławę starożytnej Etrurji i wyspy Paros; niech zawstydzi marmury Florencji i Werony! Niech czoło przed nim pochyli Karrara!

— Niech jego płody pozostaną dla następnych pokoleń jako pomniki niemieckiej sztuki i niemieckiego przemysłu! — dodał książę Fryderyk, trącając w szklanę Hermana

Basia, która już swoją do ust niosła, rzuciła ją na te słowa o ziemię.

— Niech Bóg zachowa, — przemówiła drżącym ze wzruszenia głosem — abym miała pić napój, poświęcony takiej przepowiedni!

Słowa te i ten czyn nieprzewidziany przez nikogo wywołały na wszystkich twarzach pomieszane. Najsilniej wybiło się ono na twarzy pani Dawisonowej, spoglądającej z niepokojem na księcia — ale Jego Wysokość zdawał się być więcej zdziwionym niż urażonym. Nastąpiła chwila przykrego milczenia. Książę przerwał je pierwszy: zbliżył się do panienki i jął ją pytać, co jej się stało i czemu ją mógł obrazić.

— Mój Boże! czyż to potrzebuje tłumaczenia? — odrzekła z oburzeniem, a z oczu jej strzeliły błyskawice gniewu. — Mogę słuchać spokojnie, gdy Wasza Książęca Mość w mojej obecności wyraża się o ziemi słowiańskiej jak gdyby ona była niemiecką od stworzenia świata i do końca świata niemiecką miała pozostać! Wolno Waszej Książęcej Mości nie pamiętać historii Śląska, ale — przyszłość przesądzać!... Czy przemysł

niemiecki i niemiecka sztuka będą miały prawo do śląskich marmurów, nie wiemy jeszcze... Qui vivra verra! Tak się wszyscy państwo na mnie patrzają, jak gdybym zrobiła coś złego, jak gdybym popełniła szaleństwo... Czyż naprawdę zawiniłam tak bardzo? moje sumienie nic mi nie wyrzuca. Pan się pewnie za mnie wstydzi — rzekła po polsku, chwytając rękę Dawisona i patrząc mu w oczy; — prawda, postąpiłam sobie niegrzecznie, niewłaściwie, ale nie mogłam zapanować nad sobą... Ach, ja nie zawsze jestem taka poręczna, niech mi pan wierzy! Ci Niemcy nic nie szanują. Pan jest Polakiem; niechże pan powie, czy można takich rzeczy słuchać spokojnie? Alboż ze strony Jego Wysokości delikatnie było wnosić taki toast wobec pana, wobec mnie? Ach, mam ochotę przypomnieć mu, jak to ksiązę Albert pruski składał hołd Zygmuntowi w Krakowie!... Pan patrzy na mnie tak smutnie — czy mnie pan potępia? Niech się pan nie gniewa, gotowam przyrzec, że już nigdy nic podobnego nie zrobię; poprawię się, zobaczy pan.

Dawison przesunął ręką po złotych włosach dziewczyny; Basia poczuła, że ręka ta na jej głowie zdrząła.

— Któżby cię potępił, moje dziecko? — szepnął z cicha — niech cię Bóg błogosławi..

Usiadł na płycie marmuru, podparł głowę na rękę i zaczął pić powoli przygotowany napój. Basia usiadła obok niego, jakby lękając się odstać swego jedyne go sprzymierzeńca.

Ksiązę Fryderyk niewiele z początku pojmujący, o co chodzi, zrozumiał nareszcie wszystko, a czego nie rozumiał, to odgadł ze słów urywanych dziewczyny do Dawisona zwróconych, które, choć w obcym dlań języku wypowiedziane, pozwoliły mu się treści domyślać. Podobała mu się jej energia, jej zapał i odwaga — a chociaż te wszystkie przymioty przeciwko niemu się zwróciły, przecież Basia nie straciła nic

w jego oczach — przeciwnie, rozciekawiała go co raz więcej. Dla tego nawykłego obracać się w sferze konwencjonalnej człowieka, gdzie każdy wybuch uczucia bierze się pod miarę i wagę, nabierał szczególniejszego uroku ten ogień młodzieńczy, wylewający się swobodnie z duszy nieumiejącej udawać. W jego zimnych, rozumnych oczach odmalował się żywy interes, a wąskie usta zaciśnięte zwykle, co im nadawało ostry wyraz, ożywiły się uśmiechem.

— No, proszę — rzekł, poprawiając okulary — ktoby przypuścił, że w takiej małej osóbcie mieszka taki duch wojowniczy!

— Ta mała osóбка jest istotą niebezpieczną — wtrącił Herman, który całej tej scenie przypatrywał się w milczeniu—i należałoby może ograniczyć jej wolność dla samego pokoju Europy.

Basia zmierzyła ich od stóp do głów.

— Ach, czemuż nie jestem mężczyzną! — zawołała, zrywając się — my kobiety nie mamy się czem bronić, pozostają nam tylko łzy... Świat powiada, że broń ta nasza jest potężną, ale ja nie upokorzę się nigdy tak dalece, abym miała płakać wobec...

— Niemców — dokończył Herman — pewnie to chciała pani powiedzieć?

— Tak jest, wobec Niemców!

— Czy wolno wiedzieć, coby pani poczęła, będąc mężczyzną?—zapytał księżę z uśmiechem.

— Gdybym była mężczyzną — pochwyciła, rozjątrzona tym uśmiechem — wtedy za takie słowa rzuciłabym panom rękawicę. „Ograniczyć wolność“ — powtarzała z oburzeniem, zapominając zupełnie o obietnicy poprawy — takie wyrazy krwią się tylko zmazują! Wzięłabym starą turecką szablę, którą pradziad mojego ojca zdobył pod Wiedniem i, zrobiwszy

nią w powietrzu znak krzyża świętego, wywijalabym na prawo i na lewo, ot, tak!

Słowom tym towarzyszył wymowny gest ręki, uzbrojonej parasolką. Z prawej strony stał książę, z lewej Herman; Jego Wysokość, tknięty instyktym zachowawczym, cofnął się o jeden krok — Herman zaś postąpił ku Basi i odezwał się z pewną uroczystością:

— Rękawicę uważam za rzuconą i gotów jestem stanąć z panią do pojedynku.

Basia spojrzała na niego.

— I owszem — pochwyciła, utwierdzając się w przekonaniu, że to żart — i owszem możemy się zaraz rozprawić. Herman uklonił się.

— Broń i miejsce? — zapytał.

Basia poczuła, że jej się na płacz zbiera. Gdyby była mężczyzną, nie namyślałaby się ani chwili; ale przedstawicielka rodu niewieściego, odsądzonego od prawa noszenia broni... Niewiasta jest istotą słabą, mówi ksiądz proboszcz, i książki powtarzają to samo — cóż „słaba istota” może na takie ultimatum odpowiedzieć? co ma począć? Nigdy jeszcze porządek społeczny nie wydał jej się tak nielogicznym jak w tej chwili. Miała za złe Stwórcy, że brzydką połowę rodzaju ludzkiego obdarzył przywilejami na to tylko, aby dała uczuć swą przewagę drugiej. Gdyby jej się spytano o radę przy stworzeniu świata, zrobiłaby odwrotnie. Gdyby wreszcie miała teraz przy sobie ową pradziadowską szablę — ciężką trochę, mówiąc nawiasem, bo ją tylko obiema rękami dźwignąć było można — dałaby sobie radę. Królowa Jadwiga, Joanna d'Arc prowadziły zbrojne zastępy na nieprzyjaciela. Ale iść z gołymi rękami..

Broń! jakąż ona broń wybrać mogła? nie nauczono jej żadną władac jako „istotę słabą”, jakby „słabe istoty” nie potrzebowały broni dlatego właśnie, że są słabe. Silna połowa

rodzaju ludzkiego ma już i tak swoją siłę — czyż nie lepiej, czyż nie sprawiedliwiej postąpiłby los, składając miecz w ręce kobiet? Wiedziała wprawdzie od przedwczoraj, że posiada broń jedną straszną; w liście Dawisona było wyraźnie napisane, że „oczy jej mogą zasztyletować w jednej chwili“ — ale łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Przedwczoraj szczerze pragnęła zgnieść tego człowieka, obrócić go w proch jednym spojrzeniem — mogłaby na to przysiąc, ale przy pierwszym ataku poczuła swoją niemoc. Ten nieznośny Brandeburczyk miał w swoich oczach coś takiego — co trudno opisać — coś, co jej przeszkadzało patrzeć w nie swobodnie; a któż o tem nie wie, że chcąc w cel trafić, trzeba mierzyć długo i uważnie... To ją gniewało, czuła w sobie bowiem siłę Herkulesa i odwagę lwa. Przypomniała jej się bajka o orle ze spętanymi skrzydłami.

Położenie zaczynało stawać się kłopotliwym. Milczenie, którego nikt nie przerywał, trwało trochę zadługo. Co począć? ach, Boże, co począć! Cała góra ze źródłem i pieczarą zaczęła się dookoła niej obracać, płyty marmurowe skakały jej przed oczyma, a małe rączki gorączkowo obrywały frendzle parasolki.

— Wyzwanemu służy prawo wyboru broni — odezwała się pani Dawisonowa — powiedz to panu von Walden, Basieczko.

Basi spadł kamień z serca; posłała swojej wybawicielce pełne wdzięczności spojrzenie, choć jednocześnie uczuła pewien niepokój o sposób, w jaki Herman służącego mu prawa użyć zechce.

— A więc przedstawię paniom moje warunki — powiedział młodzieniec. — Kto pierwszy wejdzie na szczyt tej góry i wyryje u podstawy krzyża swoje nazwisko, ten zwycięży. Góra nie jest bardzo wysoka; do szczytu nie powinno

być więcej nad kwadrans drogi. Ale może się pani propozycja moja nie podoba?

— I owszem — odpowiedziała z pośpiechem — przyjmuję taki pojedynek.

Panienska miała znakomity talent w nogach — jak to u nas mówią — prawie pewna była zwycięstwa; osłabienie, jakie ją było napadło w drodze do kopalni, minęło już; nogi była to broń, którą władała umiejętnie i wprawnie, Stary Jędrzej, niegdyś towarzysz broni jej dziada, powiedział raz, że gdyby w armjach tworzone pułki uciekinierów, to panienska mogłaby nimi dzielnie dowodzić. Było to po świetnej rejteradzie, wykonanej przed gromadą indyków rozdrażnionych czerwonym kolorem jej sukni, w jaką się raz ną przekorę tym ptakom ubrała.

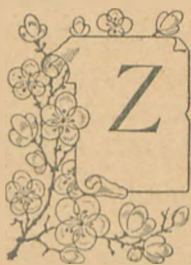
Księżciu zabawka ta zaczynała się już nie podobać; niebardzo był kontent, że Basia na szczyt Kreitzbergu pójdzie sama z Hermanem, a niekontent był tembardziej, że z powodu bólu w prawej nodze nie mógł im towarzyszyć. Radził też, aby pojedynek odłożyć na kiedyindziej — to twierdząc, że niebo zaczyna się chmurzyć i deszcz padać może, to, że się Basia nazbyt utrudzi, bo szczyt góry jest więcej oddalony od podstawy, niż się zdaje, patrząc z dołu. Nie była też bardzo za tem pani Konstancja, nie chcąc Basi na zmęczenie narażać, ale uwagi ich dodały tylko bodźca panience. Im większy trud, tem świetniejsze zwycięstwo. Mogłaż się wreszcie cofać ze stanowiska? A honor! Dopierożby tamten triumfowa!! Cała Brandenburgja wiedziałaby, że się pojedyнку zlekła. Nie, choćby do szczytu było mil pięć, dziesięć, dwadzieścia, choćby doń trzeba było wędrować lat sto — eh! do końca świata, nie cofnie się. Raczej zginąć z chwałą, niż narazić się na śmieszność. Jeżeli ją siły w drodze opuszczą, będzie mogła przynajmniej powiedzieć jak Franciszek I-szy po bitwie pod Pawją: „Wszystko stracone prócz honoru!”



VIII

ROZDZIAŁ III

JAKO MŁODZIENIEC ZNALAZŁ NA GÓRZE TO, CZEGO
NIE SZUKAŁ.



lewej strony kopalni, przy ścianie były schody wykute w marmurze i opatrzone wątlą drewnianą poręczą. Zbytnią gładkością i wygodą nie grzeszyły, ale skracaly drogę o kilkadziesiąt stóp. Herman i Basia zaczęli po nich wstępować na górę — były dość szerokie, aby oboje pomieścić się mogli, nie zawadzając jedno drugiemu, na górze mieli się rozdzielić z sobą i zejść dopiero u szczytu — tak było ułożone. Tam na dole tymczasem szklanki zabrzęczały znowu; Dawison domagał się głośno czystego wina i pił za ich zdrowie. Księżę, Konstancja, górnik wszyscy pić musieli na cześć przyszłego zwycięstwa. Nie dość na tem: Dawison wołał jeszcze za Hermanem i Basią, żeby się wrócili i przed pojedynkiem wypili po szklance burgunda — ale nie chcieli go słuchać, chociaż zachęcał ich słowami „wesołego chłopca Falstafa“ które tenże wyrzekł o xeresie:

„Wino opromienia twarz, która jak ogniisty sygnał daje pobudkę całemu temu małemu królestwu, co się zwie człowiekiem, by stanęło pod bronią; a wtedy gmin popolitych żywiołów i powiatowe drobne duchy ściągają wszystkie do swego kapitana, serca — który, wzmożony i dumny ze swego orszaku, dokazuje cudów odwagi. A cała ta waleczność pochodzi z wina, tak iż wszelka biegłość w sztuce żołnierskiej jest niczem bez wina — gdyż dopiero wino pobudza ją do działania, a umiejętność jest tylko skarbnicą złota przez djabła strzeżoną, aż ją wino nie napocznie i puści w użycie. Gdybym miał i tysiąc synów, dałbym im jako pierwsze prawidło: wyprzysięgnijcie się cienkich napojów, a poświęćcie się burgundowi” *.

— Panno Barbaro — przemówił Herman, gdy nareszcie stanęli u końca schodów, a gęste krzaki jałowca zasłoniły ich przed oczyma patrzących — u wielu ludów cywilizowanych powszechnie pojętym jest zwyczajem, że przeciwnicy przed pojedynkiem podają sobie ręce. Czy pani nie podasz mi swojej?

— Nie — odrzekła krótko

— Mamyż więc rozejść się jak wrogów?

— A pocóż mamy rozchodzić się jak przyjaciele? Nasze przekonania, uczucia są od siebie dalekie, pocóż się mają spotykać nasze ręce?

— Nasze przekonania i uczucia są bliższe sobie, niż się pani zdaje — rzekł młodzieniec — tylko nie przyszliśmy jeszcze do porozumienia w tym względzie. Pani kocha swoją ojczyznę, ja kocham moją — mojaż w tem wina, żem się urodził nie nad Wisłą, ale nad...

— Nikt pana o to nie obwinia — wtrąciła.

— Ja mam cześć dla moich tradycji — mówił dalej —

* Szekspir, Król Henryk IV, część II, akt czwarty.

pani czci swoje, gdzież jest różnica naszych przekonań i naszych uczuć?

— W tem, że ja kocham wolność, a pan ją chcesz ograniczać!

— Ach, więc w tem leży główna przyczyna nieporozumienia — rzekł z uśmiechem; i, przybierając minę poważną, dodał: — O, panno Barbaro, gdyby pani знаła lepiej życie, wiadziałabyś, że nie trzeba mieć za złe człowiekowi, że chce ograniczyć potęgę, która mu zagraża... której się lęka...

— Pan mnie się lęka?

— Strasznie! gdy panią ujrzę niespodzianie, serce mi bije... Basia zarumieniła się.

— Żegnam pana, — rzekła zimno — słońce zachodzi, trzeba się śpieszyć; nie mam ochoty wracać o zmroku. Do widzenia tam, na górze.

Skłoniła mu się lekko i odeszła.

Herman stał przez chwilę i patrzył za oddalającą się; nagle błysnęła mu w głowie myśl szczęśliwa. Dogonił panią i, zastępując jej drogę, rzekł:

— Panno Barbaro, czy słowa moje trafiły do przekonania pani czy nie, nie powinniśmy, nie możemy się tak rozstawać. Niech się pani obejrzy: stoimy w tej chwili na złomie, który może oberwać się i runąć w przepaść; w Landek mówiono mi, że cały Kreitzberg jest pokiereszowany takimi szczelinami.

— Niech się pan nie obawa, dam sobie radę.

— Wiem o tem, bo pani jest lekka jak sarna, ale ja w piaskach brandeburskich wychowany nie jestem tak zręczny. Ciężkość niemiecka poszła u Europy w przysłowie. Może ostatni raz panią widzę!... Daj mi pani rękę na pożegnanie. Nie? Niech pani tylko pomyśli: noga mi się usuwa, chwytam się za krzak, krzak się wyrzywa, spadam! Pani słyszy

krzyk straszny, potem jęk długi, przeciągły, a potem nic... Na-
zajutrz znajdują mojego trupa na dnie przepaści!...

— Requiescat in pace — wyrzekła uroczyście i oddaliła
się szybko.

Herman sam pozostał. Szła jak koza alpejska, ledwie
dotykając ziemi, gdzieniegdzie przeskakując, a nie zatrzymu-
jąc się nigdzie, ani oglądając za siebie. Herman patrzył. Cza-
sami znikła na chwilę między krzakami, i tylko rąbek su-
kienki znaczył jej przejście; nareszcie zniknęła mu z oczu na
długo — potem nagle ukazała się na wyniosłości, na której
tak prędko ujrzeć jej się nie spodziewał, potem zakryła mu
ją wysoka skała czarnym pokryta porostem, co jej nadawało
ponury pozór bazaltu, i już nie widział jej więcej.

Ona widziała go jednak. Ukryta przed jego oczyma, od-
poczywała sobie i śledziła obroty nieprzyjaciela. Widziała, jak
próżno wzrok wyteżając w stronę, gdzie się schroniła, zerwał
gałązkę jałowcu, zgniótł ją w rękach i rzucił na ziemię, a po-
tem wolnym krokiem opuścił miejsce, na którym stał.

— Nieprędko się tu dostaniesz, mości panie, gdzie ja
jestem teraz — mówiła ze złośliwą radością, patrząc na niego. —
Wy, Niemcy, nie wiecie jeszcze, co polskie nogi umieją; do-
wiecie się dzisiaj. Mogę sobie tymczasem odpocząć.

Zdjęła z głowy kapelusz i zaczęła się nim wachlować.

— Serce mu bije, gdy mnie ujrzy niespodzianie — rze-
kła po chwili — hm, myślałby kto, że to prawda! My, Polki
nie jesteśmy tak łatwowierne. Jednak — mówiła, zamyślając
się — w głosie jego, gdy to mówił, brzmiało coś jakby prawda,
jakby uczucie gwałtem powstrzymywane... Może mi się zdawało.
Byłby mówił więcej, gdybym mu nie była przeszkodziła...
Coby też było, gdybym mu nie przerwała? Miałam wielką
ochotę zostać, tak sobie, przez ciekawość, ale nie wypadało.
Ach, jak gorąco!

Tu improwizowany jej wachlarz zaczął się poruszać tak

gwałtownie, że aż dziki porost zwieszający się ze skały, o którą siedziała oparta, kołysał się w tę i ową stronę niby wichrem miotany.

— Zanim on stanie na tej samej co ja wysokości, mogłabym się przespać bezpiecznie; prześcignę go i tak, jestem pewna. Wszyscy Niemcy są ślamazarni! My co innego, ho, ho! Jednak... zdaje mi się, że byłam dziś dla niego zanadto niegrzeczna, wyrządzałam mu same obelgi. Jakże on musi mieć o mnie złe wyobrażenie! Jestem w jego oczach impertynentką, złością, i Bóg wie nie co! Niemki w porównaniu ze mną to istne anioły... Mało mnie to zresztą obchodzi!

Pomimo tych słów sumienie zaczęło się w niej odzywać coraz głośniejsze. Czy właściwie, czy przyzwoicie postąpiła sobie wczoraj zrana, oblewając go wodą? czy tak postępować powinna panna dobrze wychowana? Zaiste, źle przedstawia kobiety polskie wobec cudzoziemca— i jeżeli Herman innych Polek prócz niej nie znał, to niezbyt korzystne będzie miał o nich wyobrażenie. Doznała uczucia głębokiego zawstydzenia i wyrzutów sumienia za swoją niegrzeczność, ale dla czegoż ten nieznośny Brandeburczyk cisnął się tam, gdzie go nie proszono? Dzień wczorajszy był dla niej prawdziwie fatalnym. Albo dzisiaj ta scena w kopalni... czy to wszystko, co tam wyrwało się z jej ust, zgadza się z pojęciem skromności, potrzebnej młodej dziewicy? Coby na to powiedziała babka, ten typ szlachetny szanownej polskiej matrony!

Basia ukryła twarz w dłoniach.

— Nieznośne sumienie — zawołała z gniewem — bo-
dajby nieba nie oglądał, kto je pierwszy wymyślił... Powiadają,
że człowiek jest to istota obdarzona rozumem i wolną wolą —
piękna mi wolna wola, gdy za mną chodzi coś ciągle niby
żandarm i duszę trzyma w niewoli! Nie można robić, co ci się
podoba, bo jak zaczniesz tu w środku kręcić, a wiercić, a drę-
czyć, to już dla świętej spokojności człowiek musi mu zro-

bić satysfakcję i mówi: masz, masz, a daj mi już pokój! Gdyby nie to sumienie, jaki człowiek byłby swobodny, jaki szczęśliwy. .

Westchnęła. Któż jednak temu wszystkiemu winien, jeżeli nie on, ten Brandeburczyk? Wszystkie głupstwa, jakie miała sobie do wyrzucenia, popełniła dopiero od chwili poznania go, od kilku dni. Przedtem była łagodna, cicha, skromna jak ta woda, co tam bez szmeru płynie wąskim paskiem przez łąki. Na wsi kobiety nazywały ją złotą ptaszyną, serdeńkiem i mawiały: „Panienska nasza jak anioł dobra, do rany ją przyłożyć“. Niech cała wieś powie, czy od dzieciństwa, jak ją tam znano, zrobiła komu jaką krzywdę, czy komu przykre słowo powiedziała?... Tak, on temu winien, ten cudzoziemiec! Musiał być bardzo złym człowiekiem, kiedy na nią taki wpływ ujemny wywiera. Stare przysłowie polskie mówi: „Z kim kto przestaje, takim się staje”—i prawdę mówi. Ach, żeby sobie pojechał jak najprędzej!

Spojrzała na niebo, które powoli przybierało barwę ołowianą, zerwała się, otrząsnęła sukienkę z pyłu i zaczęła iść prędko. Idąc, rozważała w myśli swoją ostatnią z Hermanem rozmowę, ruch jego każdy, wyraz twarzy, spojrzenie.

— Pomimo porywczosci mojej trzymał się ciągle w granicach grzeczności i nie przekroczył ich w niczem — mówiła do siebie. — Nigdy nie okazał mi lekceważenia, a dzisiaj nawet nie widziałam u niego ani razu tego ironicznego uśmiechu, który mnie tak drażni. Eh, nie ubyłoby mi ręki, gdybym mu ją była podała. Musiałam go bardzo dotknąć moją złośliwą odpowiedzią. „Jutro znajdą mojego trupa na dnie przepaści“, powiedział; żartował naturalnie, bo ja już uszłam kawał drogi, a jeszcze żadnej porządnej przepaści nie widziałam. Ale kto wie, czy niema ich na drodze, którą on idzie — rzekła po chwili — tak łatwo się poślizgnąć... sama już o mało nie upadłam kilka razy.

Poczuła w piersi pewien niepokój i zaczęła iść tak prędko, że się aż zmęczyła. Idąc, oglądała się na wszystkie strony; w miarę jak szła niepokój jej wzrastał. Ona sama dziwiła się temu uczuciu. Był to gość wcale niespodziewany, nieznan — i przelękała się, że się tak bez ceremonji szeroko w jej duszy rozpościerał. Podwoiła kroki. Góra, im wyżej na nią wstępowała, tem stawała się nieprzystępniejszą; sterczała prawie stromo, i gdyby nie krzaki, któremi była porośnięta, gdyby nie kamienie w niej tkwiące, nie byłoby się za co chwycić, ani na czem oprzeć. Basia, chwytając się ostrych gałęzi, podrapała sobie ręce, szła jednak ciągle ze wzrastającą energją, wycężając wzrok i słuch.

— Niema go nigdzie — rzekła nareszcie, zatrzymując się i opierając o głaz zagrządzający jej przejście.

Zaledwie wymówiła te wyrazy, zobaczyła o jakie sto kroków przed sobą, z gromady skalistych odłamów wychodzącego Hermana; za nim z wywieszonym ozorem biegł Dybol. Odetchnęła. Szedł krokiem pewnym, śmiałym, jakby się w górach urodził i wychował, a wyglądał niby uosobienie siły i męstwa. Basia pomyślała, że ktoby się wsparł na takim ramieniu, mógłby drogę życia przebyć spokojnie i bez trwogi, bo ono potrafi zasłonić od niebezpieczeństw i burz.

— Co za szkoda, że Niemiec! — dodała po chwili i westchnęła.

Herman już najmniej o jakie dwieście kroków ją wyprzedził; okoliczność ta dała jej do myślenia, że nie wszyscy Niemcy są ślamazarni. Obraz przegranej ze wszystkimi następstwami stanął przed jej oczyma i strach paniczny ją ogarnął. On szedł coraz wyżej i wyżej; jeżeli się nie zatrzyma, to wkrótce szczytu dosięgnie. Nie było ani chwili do stracenia. Jak na złość, ogromny głaz tamował drogę Basi; obok niego leżały gromady kamieni i rosły ostre krzaki, przez które bez narażenia się na podarcie sukni nie można

się było przedrzeć. Wskoczyła na kamień i zobaczyła, że leżał nad szeroką rozpadliną, o której przeskoczeniu ani podobna myśleć. Trzeba więc okrążyć kamienie i krzaki—żeby je zaś okrążyć, trzeba się kilkadziesiąt kroków wrócić. Basi zrobiło się i zimno i gorąco; uniosła sukienkę i zaczęła się śpieszyć, ale tchu jej zabrakło i musiała stanąć. Ach, cóżby dała za to, żeby móc choć przez kilka minut odpocząć! Zmierzyła okiem odległość, dzielącą ją od Hermana i Hermana od szczytu — i uczuła, że ją rozpacz ogarnia. Jakto? więc on ma zdobyć palmę pierwszeństwa, a ona ma patrzeć na jego triumf? Nigdy!

— Dalej, dalej, moje biedne nogi — rzekła, rzucając smętne spojrzenie na swoje zapyłone trzewiczki — śpieszcie, a nie ważcie się na drodze stanąć lub zesłać. Ze szczytu tej góry przeszło dziesięć wieków potęgi i panowania Słowian patrzy na was!

I ożywiona tą samą energią, która ożywiła Napoleona pod Piramidami, wdzierała się na górę, choć ręce jej raniły się o skały i krzaki. Raz nawet kilka kropli krwi pociekło, ale widok ten podwoił tylko jej siły. Czyż nie warto było krwi przelać w takiej sprawie? Czyż nie walczyła o honor narodowy? To natężenie sił fizycznych pobudziło także grę wyobraźni. Widziała siebie walczącą do ostatka mimo opuszczających ją sił i padającą bez duszy u szczytu; widziała pochylone wstydem czoło zwyciężonego przeciwnika; potem widziała na swoim grobie wspaniały pomnik z białego marmuru, a na pomniku były wyryte słowa podobne tym, jakie dziś jeszcze czytać można w sławnym wąwozie w Thermopyllach, na miejscu zgonu walecznych obrońców ojczyzny:

„Przechodniu, powiedz Sparcie...”

Nie padła jednakże bez duszy, stanąwszy nareszcie u szczytu, choć w oczach jej się ćmiło ze zmęczenia, a pulsa biła w skroniach jakby młoty. Obejrzała się trwożnie do



— Panie von Walden, przyszlłam panu podać rękę. (str. 130)

koła — o rozkoszy, była sama! Uklękła przed krzyżem i zmówiła krótką ale gorącą, dziękczynną modlitwę, poczem wyjęła z włosów małej stalowy sztylecik i zaczęła czytać nazwiska. wypisane na dolnej podstawie krzyża. Były tam i polskie, i niemieckie, angielskich nawet parę, a pod tem wszystkim herb polski, gryf i nazwisko: *Mieczysław J-ski*. Basia popatrzyła na te dwa wyrazy i przesunęła ręką po czole, jakby usiłując sobie coś przypomnieć. Nazwisko to nie było jej obce — słyszała je już w swoim życiu, ale gdzie i kiedy, nie mogła sobie przypomnieć. Dziwna rzecz! Litery wyglądały tak świeżo, jakby były tylko co wryte — a wiedziała przecież, że nikogo dzisiaj jeszcze nie było na Kreitzbergu. Górnik wspomniałby coś o tem.

Coś w krzakach zaszleściło; Basia z pośpiechem nakerśliła swoje imię, gdy wtem poczuła, że ją ktoś pochwycił za rękę. Podniosła głowę — był to Herman.

— Pani nosi nazwisko H...ckich? — zawołał gwałtownie.

— Tak jest — odrzekła z dumą — jestem H...cka; mamy w herbie złamany krzyż w czerwonym polu

— Jak było imię ojcu pani?

— Jerzy — odpowiedziała, zadziwiona temi pytaniami.

— Jakże się to jednak stało, że znalazłem panią dotąd pod innym nazwiskiem?

Basia zmieszana się bardzo, przypomniawszy sobie, że obie z babką pod innym zupełnie nazwiskiem zapisane były na liście gości kąpielowych, co od czasu ostatnich smutnych w kraju wypadków zdarzało się zawsze, ilekroć wyjeżdżali za granicę. Bądź co bądź, stało się — słowa wyrzeczonego nie można już było cofnąć, sama godność nie pozwalała na to. Ale też i tłumaczyć mu się z tego żadnej nie było potrzeby — odrzekła więc sucho:

— Były do tego powody... ale cóż to pana może obchodzić?

Herman nic nie odpowiedział. Odwrócił się od niej, usiadł opodal na kamieniu i oparł głowę na rękę. Basia stała chwilę w postawie nieruchomej, potem, spoglądając ciągle na Hermana ukradkiem, narysowała sztylicikiem na drzewie herb rodzinny — ale widząc, że jej przeciwnik nie zmienia postawy, uczuła pewien niepokój. Podeszła cicho do niego, wspięła się na palce i spojrzała nań z boku; blady był bardzo. Cofnęła się po cichu na dawne stanowisko i stała znów chwilę zamysłona. Widocznie coś się stało, ale co, tego nie pojmowała. Dlaczego on jej się pytał o imię ojca? Nie umiała sobie wytłumaczyć tej ciekawości, ani przyczyny nagłej zmiany w jego twarzy i głosie, ale widziała, że cierpi, i serce jej poczuło żywe współczucie dla człowieka, z którym niedawno obeszła się tak szorstko. Tknięta szlachetnym popędem, stanęła przed nim.

— Panie von Walden — przemówiła nieśmiało — przyszłam panu podać rękę...

Herman spojrzał na nią wzrokiem tak strasznym, że zadrżała.

— Dziękuję pani,— odparł ponuro — nie zwykłem przyjmować jałmużny.

Basia osłupiała; wstyd, żal, gniew, oburzenie nie pozwalały jej słowa przemówić. Prędzej byłaby się śmierci niż słów podobnych spodziewała. Nie dotknął nawet jej ręki — toż to była obelga, to się wzgardzie równało! O, jakże gorzko żałowała, że się dała unieść chwilowemu współczuciu!.. Łzy jej w oczach stanęły; odwróciła się, aby je obetrzeć ukradkiem. Herman zerwał się z miejsca.

— Pani płaczel—zawołał, chwytając obie jej ręce i ścisnąc konwulsyjnie, jakby je chciał zgnieść w swoich—płacz z mego powodu? Biedne dziecię!

— Proszę się nademną nie litować,— rzekła gniewnie, usiłując oswobodzić swoje rączki — płaczę, bo mi się tak podoba. Ani pan, ani nikt w świecie nie potrafiłby mnie zmusić do tego.

Słońce zanadto jasno świeci, a ja tego nie lubię; znudzila mnie pogoda, więc sobie płaczę tak, dla rozmaitości. Płaczę dla siebie, nie dla kogo, i nikt nie ma prawa mi tego zabronić.

Jakby na zaprzeczenie tym słowom, zagrzmiało.

— Obetrzyj pani oczy — rzekł smutnie — szkoda łez; życie ze swemi troskami dosyć pani dostarczy materiału do...

— Mam łez dosyć na swoją potrzebę — odparła z godnością — Niech się pan nie obawia. Niemiecka oszczędność! — mruknęła pod nosem, wzruszając ramionami — będę płakała na złość, kiedy mu się to nie podoba.

I jąła gwałtem wyciskać łzy, które już nie płynęły.

Zagrzmiało po raz drugi. Herman powiódł niespokojnym okiem po niebie.

— Burza wisi w powietrzu — rzekł — wracajmy; może nam się uda jeszcze stanąć na dole przed deszczem.

Basia nie ruszyła się z miejsca.

— Chodźmy, — powtórzył — niema ani chwili do stracenia. Tylko patrzeć, jak z chmur spadnie ulewa. Uciekajmy!

— Alboż ja pana zatrzymuję?

— Tak jest, zatrzymuje mnie pani — odparł z pewną niecierpliwością — bez pani bowiem nie ruszę się stąd

— Czy tak? — powtórzyła z ironią — a jeżeli ja iść nie zechcę, to co? Jestem zmęczona i chcę sobie odpocząć.

To powiedziawszy, usiadła.

— Ha! to panią wezmę na ręce i poniosę - powiedział spokojnie — nie mogę pozwolić na to, aby pani narażała się na przemoknięcie w tak lekkim ubraniu.

Basia zerwała się.

— Doprawdy! — zawołała z zaiskrzonymi oczyma — i zdaje się panu, że wziąć mnie na ręce byłoby tak łatwo?

I spojrzała mu w oczy wyzywająco, a cała jej postawa zdawała się mówić: spróbuj tylko! Musiała jednak dojrzeć w jego twarzy coś, co jej ufność we własne siły zachwiało—

bo w tejże chwili zmieniła zamiar i, podnosząc parasolkę, rzekła spokojnie:

— Idę, ale niech pan nie myśli, żem się pana złąkla. Potrafiłabym się od opieki pana obronić. Idę poprostu dlatego, że mi się już siedzieć sprzykrzyło.

— Niech się pani oprze na mojem ramieniu.

— Dziękuję panu. Weszłam tu sama i sama stąd zejść potrafię.

Basia nie wiedziała, że schodzić z gór trudniej jest niekiedy, niż wchodzić na nie, zwłaszcza gdy się wyczerpało siły pięciem pod górę. Jeszcze nie dokończyła tych słów, gdy noga jej się usunęła i poczuła, że jedzie po śliskim gruncie z przerażającą szybkością na dół — szczęściem, że zatrzymała się o rosochaty krzak jałowca. Spojrzała przed siebie i zadrżała. Z góry toczył się, przez nią widocznie potracony, kamień, obijał się o głazy sterczące po drodze i wpadł w szeroką rozpadlinę. Gdyby nie ten krzak, los jej byłby w tej chwili taki sam jak tego kamienia. Mrowie ją przeszło; w głowie zrobiło jej się jakoś mętnie, w oczach szaro... Do przytomności przywołał ją głos Hermana; była w tym głosie obawa i nadzieja, ból tajony i tkliwość serdeczna, ale dźwięk jego — o, niepojęte serce ludzkie! — wzbudził rozpaczne pragnienie śmierci w duszy Basi, tej samej Basi, co przed chwilą na myśl o śmierci zadrżała. Przed oczyma jej jak na dłoni, stanęła cała śmieszność jej położenia. Wielki Boże! toż on na to patrzył, jak jechała ze szczytu z rozkrzyżowanymi rękami, a teraz widzi ją siedzącą oklep na uschłym krzaku niby czarownicę z Łysej Góry na starej miotle!... Na domiar nieszczęścia, ani sposób bez czyjejs pomocy wyplątać się z krzaka, bo gałęzie przypięły się mocno do sukienki. Czyż podobna nawet w takiej pozycji przybrać minę pełną godności? Ani sposób! Ach, czemuż raczej nie stoczyła się jak ów kamień na dno przepaści! nie byłaby teraz przechodziła przez męczarnie wstydu

i upokorzenia... W tej chwili przypomniała sobie, że Juljusz Cezar, konając, zakrył się togą, aby mordercy nie byli świadkami jego pasowania się ze śmiercią; Basia nie miała togi pod ręką, ale miała dumę nie mniejszą od dumy Juljusza Cezara i nie chciała, aby ten, co stał przed nią, widział, co się w niej dzieje. Zakryła twarz rękami, i.. zaczęła płakać jak prosta śmiertelniczka.

Herman dobrze znał widać Basię, bo wiedział, jak z nią trzeba w danym razie postąpić; postąpił z nią jak z chorem a kapryśnym dzieckiem. Łagodnym, poważnym głosem, w którym nie było ani cienia szyderstwa, mówił o spadzistości górskich stoków i opowiedział wypadek, jaki mu się wydarzył niedawno w Alpach włoskich, a który był do wypadku Basi podobny jak dwie krople wody — z tą różnicą, że mu komiczniejsze jeszcze towarzyszyły przygody. Wspomniał następnie o niepokoju towarzystwa oczekującego na ich powrót w kopalni i o potrzebie złączenia się z nim jak najprędzej ze względu na zdrowie Dawisona, który powinien koniecznie przed burzą ukryć się pod dachem. Mówiąc to wszystko, oględnie oswobadzał sukienkę Basi z więzących ją gałęzi — i właścicielka sukni na ten raz niczem przeciwko temu nie zaprotestowała. Zachowywała się zupełnie neutralnie — Herman dostrzegł jednak przez szpary palców patrzące jedno oko, potem drugie, potem lewa połowa twarzy odsoniła się... a później w kilka chwil prawa.

Sukienka tymczasem była już zupełnie oswobodzona; oswobodziciel pomógł Basi wstać, i przyjął tę pomoc w milczeniu. Ośmielony tem, ofiarował powtórnie swoje ramię do dalszej wędrówki. Żadnej odpowiedzi — słyhać było tylko gęste krople deszczu spadające mu na kapelusz. Spojrzał na nią; patrzyła w przeciwną stronę, ale jednocześnie poczuł, że jakaś mała rączka wsuwa mu się pod ramię. Udał, że tego nie spostrzegł, i zaczął schodzić.

Ledwie uszli kilkanaście kroków, zrobiło się ciemno. Ze wszystkich stron widnokregu zbiegły się chmury i utworzyły nad głowami naszych podróżnych czarny strop, rozdierany od czasu do czasu błyskawicami. Grzmoty rozlegały się w górze i na dole, a echa ich tłukły się po szczytach pobliskich gór i powtarzały do nieskończoności. Gęste mgły zasłoniły dolinę; nie można było nic omijać, trzeba było iść naoslep, bo zaledwie kilkanaście kroków przed sobą coś dojrzeć było można. Otworzyły się upusty niebieskie, i już nie deszcz, ale ulewa spadła gwałtowna. Z góry zaczęły płynąć strumienie, a rosły z cienkich nitek wody, spływającej po skałach i zamieniały się w potoki, wyrrywające z gruntu mniejsze krzaki i kamienie.

Podróżni nasi stąpali po kamieniach obślizgłych i wyruszonych spływającą wodą ze swych łożysk i jakby drżących od huku grzmotów, po śliskiej trawie, a czasami po schodach wyżłobionych w ziemi siekierkami przewodników; za nimi szedł wicher i parł ich z gwałtownością, o jakiej mieszkańcy równin nie mają pojęcia, jakby duchy królujące w tej strefie chciały strącić zuchwalców, depczących ich dziedzinę. Niepodobna było nic mówić; szum, trzask, huk, zagłuszały słowa -- burza rozpościerała się coraz szerzej a szerzej ze strasznym majestatem.

Noc zapadła. Herman ciągle przyśpieszał kroku; byłby szedł jeszcze prędzej, gdyby mu nie chodziło o Basię, która musiała już być zmęczona ciągłą walką z deszczem bijącym jej w twarz, z wiatrem miotającym jej przemokłą suknią i gruntem usuwającym się z pod nóg. Pragnął copędzej zejść ze stoku na łagodną wyniosłość otaczającą górę, skąd już bez niebezpieczeństwa można było dostać się w dolinę. Błyskawica rozświetliła mu na chwilę drogę i ukazała w odległości kilkudziesięciu kroków drzewo, które zapamiętał, idąc tędy na górę.

Młodzieniec odetchnął; od tego drzewa rozpoczyna się droga wygodniejsza, stamtąd już i do chatki górnika niedaleko. Powiedział to Basi, i zaczęli iść o tyle prędko, o ile na to pozwalały przeszkody, jakie ustawicznie trzeba było wymijać. Jeszcze tylko kilkanaście kroków, a będą bezpieczni. Wtem błysnęło, rozległ się huk i trzask; piorun uderzył w drzewo, i zaraz jakby na komendę z prawej i lewej strony ozwały się echa piorunów.

— Niech się pani nie lęka — przemówił, czując, że się jego ręki chwyciła konwulsyjnie — niema żadnego niebezpieczeństwa; wszystko złe jużemy minęli. Niech mi pani ufa troszeczkę.

Herman znał dobrze Basię, w tej chwili jednak źle ją zrozumiał. Gwałtowny jej ruch, co mu te wyrazy podyktował, mimowolny był i czysto nerwowy. Nie była ona lękliwa, a teraz nie lękała się wcale o siebie. Dziwna rzecz: trzymała się ramienia człowieka, którego uparła się uważać za swego wroga, a czuła się zupełnie bezpieczna pod jego opieką. Pomimo niechęci dla niego była w niej jakaś wiara w jego dzielność; było w niej coś, co jej mówiło, że pod osłoną jego ramienia włos jej nie spadnie z głowy. Ręka, na której się wsparła, nie drgnęła ani razu; ani razu nie zawahał się ten, co ją prowadził. Szedł krokiem pewnym, śmiałym, z głową podniesioną, jakby urągał burzy, jakby był panem tych gór i znał je jak siebie samego. Wiatr zerwał mu z głowy kapelusz, rzucił go daleko i rozwiewał mu włosy, odsłaniając czoło jaśniejące niewzruszonym spokojem. Nigdy, nigdy jeszcze nie wydał jej się tak pięknym!... Jedną tylko rzecz dawała jej do myślenia: Herman, tak zawsze rozmowny, dziwnie był podczas tego powrotu z góry milczącym, lakonicznym i mówił tylko to, co było koniecznie potrzebne.

Mgły gęste zasłaniające drogę rozstępowały się przed

niemi. Basia doznawała takiego wrażenia, jakby ze swym towarzyszem przebywała napowietrzne szlaki, a wrażenie to sprawiało jej pewien rodzaj upojenia; serce jej biło. O! to serce, to harde serce! szalała w niem burza równie gwałtowna jak w atmosferze... żywioły przeciwne sobie ścierały się z sobą—powstawał stąd dziwny chaos i zamęt, w którym myśl nie znajdowała żadnej przewodniej nitki dla siebie i uciekała strwożona. Serce przeczuwało nadchodzącą jakąś tajemniczą potęgę, która niby wichur gwałtowny mogła je porwać z sobą. Lękało jej się i drżało.

Po coraz łagodniejszej spadzistości gruntu Basia domyśliła się, że już prawie byli w dolinie, a dwa małe w oddali błyszczące światelka utwierdziły ją w tym domyśle. To nie mogło być nic innego, tylko okna chatki górnika. Czy zastaną tam kogo czekającego na nich? Pani Konstancja niezawodnie przed burzą jeszcze uwolniła swego męża do oberży, chyba by księżę Fryderyk — ale i ten niezawodnie uciekł ze swoim reumatyzmem.

— Co to jest? dlaczego nie idziemy dalej? — spytała widząc, że się Herman zatrzymał — słyszę szum jakiś, co to znaczy?

Błyskawica rozświetliła drogę, i Basia zobaczyła, że w miejscu, gdzie przed dwoma godzinami była równina, płynął teraz potok kilka łokci szeroki. Zanim zdążyła ochłonąć ze zdziwienia, uczuła się porwaną i uniesioną, a nim zdolała pojąć, co się dzieje, stała już na ziemi po drugiej stronie potoku. Wszystko to stało się tak nagle, że nawet nie miała czasu krzyknąć — co przecież, po tem co powiedziała na górze: „i myśli pan, że wziąć mnie na ręce byłoby tak łatwo?“, wypadło koniecznie uczynić. Byłby to wprawdzie protest nieużyteczny, ale znaczyłby przynajmniej demonstrację przeciwko przemocy i tyranji. Nie czas żałować tego, co się już odmienić nie może; Basia też nie traciła czasu

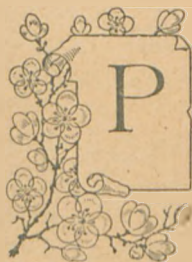
na próżne żale — zbierała nogi jak mogła, żeby jaknajprędzej stanąć u celu podróży i pozbyć się opieki swego wybawiciela, dla którego nowy obowiązek wdzięczności zawczasu ją już przestraszał.

Dwa światelka stawały się coraz wyraźniejsze, a jasne, płynące z nich smugł oświecały drogę naszym podróżnym, którzy teraz dopiero widzieli, że broczą po czemś gorszem od błota, bo po roztopionej glinie, w której tu i owdzie błyszczą niezliczone ilości kałuż zlewających się pod samą chatą w wielkie jezioro. Z szumem wiatru i szelestem ciągle padającego deszczu zmieszał się w tej chwili brzęk łańcucha. Z budy wyglądającej jak wyspa na jeziorze dało się słyszeć szczekanie, na które odpowiedział energicznie Dyboł. Rozpoczęło się z obu stron wściekle, zacięte ujadanie, a wkrótce potem dał się słyszeć zgrzyt drzwi wchodowych, i w progu ze świecą w ręku ukazał się stary górnik. Herman właśnie prznosił Basię przez jezioro. Tym razem trwało to dłużej niż poprzednio, i miała czas krzyknąć parę razy; jakoż nie zaniedbała tego uczynić, ale niestety! manifestacja ta została zupełnie straconą. Krzyk jej zagłuszyło szczekanie psów i wyście wichru, który w tej chwili zerwał się z podwójną gwałtownością.



ROZDZIAŁ IX

JAKO NIEKTÓRYM LUDZIOM PRZYPOMINAJĄ SIĘ RÓŻNE RZECZY.



Powóz na państwa czeka — powiedział górnik, gdy weszli do izby — ale pewnie państwo wprzód u mnie osuszą się i odpoczną. Co za czas! co za czas! Już dwóch posłańców tu było z oberży dowiadywać się o państwa, a teraz właśnie przyszedł trzeci. Powiem mu, że państwo przybyli szczęśliwie i zatrzymają się u mnie z godzinkę. Nieprawdaż?

— Naturalnie—rzekł Herman, rzucając na ziemię swój płócienny płaszcz zmoczony — musimy się przebrać przede-wszystkiem. Mój przyjacielu,—dodał, zniżając głos — czy są u was kobiety?

— Aha, chodzi o ubranie dla tej młodej pani, znajdzie się, znajdzie. Hane jest w tym samym wieku i tego prawie wzrostu—mówił, wyjmując z ust porcelanową fajeczkę i przypatrując się Basi, której widok obecny litość w najtwardszem sercu mógł wzbudzić.

Wyglądała jak uosobiona tragedia; sukienka jej, na-

wskroś przemoczona, układała się w fałdy klasyczne niby u greckiej bogini, a z kapelusza, osłaniającego twarzączkę piękną jak poranek majowy a chmurną jak noc, ściekała woda kroplami naksztalt łez. Z rękawów i kaftanika za najmniejszym poruszeniem padał deszcz, a w miejscu, na którym stała, utworzył się mały strumień.

— Hane, Hane, przynieś-no tu swoje świąteczne sukienki; przynieś i bieliznę — wołał górnik — panienska musi nie mieć suchej nitki na sobie.

Na te słowa wyszła z alkierza staruszka zgięta we dwoje, w okularach na nosie i wielkim czepcu z większemi jeszcze falbanami, które jej połowę twarzy zasłaniały; czepiec ten otoczony był czarną jedwabną chustką związaną u góry w wielki węzeł, którego dwa końce sterczały naksztalt rogów. Z pod pachy wyglądał jej kłębek nici, a w rękach trzymała pończochę, u której druty migwały z niewypowiedzianą szybkością.

— Hane zaraz przyjdzie — powiedziała, podchodząc do Basi i zaglądając jej w oczy; — biedactwo! jak to się zmarnowało, aż się całe trzęsie! Żeby też chodzić w góry na taki czas! Jezus, Jezus! A jakie to śliczne! istny obrazek.

— Moja matko, — rzekł Herman — później się przypatrzycie paniencie; teraz przebierzcie ją coprędzej.

— Ach, tak — przywótórzyła, wyjmując kłębek z pod pachy i chowając go z pończochą do kieszeni.—Pan dobrze powiedział. Hane, Hane, śpiesz się moje dziecko. A! jesteś już, to dobrze; to moja wnuczka. Ach, jakie to zziębnięte—wykrzyknęła, dotknąwszy rączek Basi — biedny robaczek!

Basia tymczasem, choć czuła tajemną wdzięczność dla Hermana, że przedewszystkiem o niej pomyślał—przyszła do wniosku, że jak mu tak pozwoii sobą rządzić, to będzie mu się zdawało, że ma prawo do tego. Gotów rościć sobie pretensję do opiekowania się nią częściej i nie czekać do tego

drugiej burzy. Dać kurze grzędę, to ona zaraz mówi: jeszcze wyżej siędę!

— Mógłby mnie się pan chociaż zapytać, czy życzę sobie się przebrać — odezwała się tonem, któremu chciała nadać charakter urażonej godności, ale połowę ważności tym słowom odebrało lekkie szczękanie zębów.

— Jeżeli panią obraził, to bardzo przepraszam — odrzekł Herman, nie mogąc powstrzymać mimowolnego uśmiechu — poprawię się na drugi raz. Niech się pani przebierze, nie przeszkadzam. Idę to samo zrobić.

Uklonił się i wyszedł z górnikiem do alkierza. Basia wzruszyła ramionami.

— Myśli, że się z nim będę gramoliła drugi raz na góry.

Innej izby prócz tej jednej w chacie nie było: od alkierza dzieliły ją firanki z kolorowego perkaliku w duże kwiaty — i chociaż drzwi zastępowały, przecież w alkierzu słychać było wszystko, co się mówiło w izbie. To też Herman nie mógł nie słyszeć wykrzykników staruszki nad niesłychaną małością nóżek panienki, nad śnieżną białością jej szyi. Hane przysięgała, że marmur, z którego jej ojciec rzeźbił krzyże i przyciski, nie był bielszy.

Gdy po kwadransie, zapytawszy o pozwolenie wejścia otrzymawszy je, rozsunął firanki i wszedł do izby, Basia siedziała na ławie przed kominem w malowniczym ubiorze śląskich góralek. Składały go: czerwona spódnica, biały fartuch wzorzysto wyszywany i stanik czyli gorset bez rękawów. Główną ozdobą ubioru była koszula śnieżnej białości, u której szeroki kołnierz z falbaną pokryty był bogatym wyszyciem. Na głowie miała chustkę czerwoną, wieśniaczym obyczajem związaną w tyle, a końce od niej spadały na plecy. Głaskała czarny łeb Dybola, który się przed ogniem u stóp jej rozłożył i patrzyła w ogień zamyślona, odpowiadając z roz-

targnieniem na ustawiczne pytania staruszki, krzątającej się z młodzieńczą żywością koło garnuszka z winem czerwonym, które przystawiła do ognia, wyspawszy wprzód doń garść korzeni.

Herman, nim wszedł do izby, popatrzył chwilkę na ten iście flamandzki obrazek, oświecony jasno płonącym lucy-wem — i byłby tak chętnie patrzył jeszcze dłużej z ukrycia. Musi być jednak prawdą, co mówią niektórzy, że wzrok ma siłę przyciągającą; bo czarne oczy jakby przeczuwając, że je ktoś śledzi, zerwały się lękliwie niby dwie kuropatwy spłoszone przez myśliwca — poczem spojrzwały ku drzwiom alkierza ciekawie, spoczęły na czerwonej czapeczce górniczej, na bluzie niebieskiej i skórzanym pasie nabijanym ćwieczkami, wreszcie na butach juchtowych sięgających do kolan — a skoń-czywszy przegląd tych wszystkich przedmiotów, powędrowały na stół, ze stołu na okno, z okna na szafę, aby młodzień-cowi nie dać do myślenia, że to on jeden miał szczęście zwrócić je na siebie.

Potem robiły jeszcze niejednokrotne wycieczki w stronę niebieskiej bluzy i czapeczki czerwonej, gdy Herman udawał, że nie patrzy; ta ostatnia zwłaszcza, zdawała się je mocno interesować — ale raz schwytał oczy panienki na gorącym uczynku, odwróciwszy się niespodzianie, i od tej chwili pa-trzyły już w ogień uporczywie. Widząc, że ich nic nie oder-wie od czerwonych płomyków, przystawił sobie do komina zydelek i, siadłszy na nim, zbierał z ziemi suche gałązki przy nogach Basi porozrzucane, łamał je i rzucał na ogień; czarne oczy jednak zachowywały się tak, jakby obecności jego nie spostrzegały wcale. Spytał, czy jej nie zimno, i otrzymał zadawalniającą wprawdzie, ale krótką odpowiedź. Odważył się powątpiewać o tem, a nawet powiedział, że jej rączki zdają mu się być skostniałe, a powiedział to w nadziei, że wolno mu będzie dotknąć ich dla przekonania się, że tak nie

jest — ale rączki widocznie domyśliły się, o co chodzi, i schowały się bezwładnie pod fartuszek, oczy zaś nie przestawały gonić czerwonych płomyków.

Herman zgniótł niecierpliwie w rękach gałązkę sosnową i rzucił ją w komin; czerwone płomyki przykryte wilgotnym igliwem przygasły, i po chwili zaczęły się dobywać z pod spodu, trzeszcząc i sycząc. Spojrzał na Basię, i wydało mu się, że dostrzega w jej twarzy jakieś drgnienia, ale w tejże chwili wróciła do poprzedniej obojętności, tylko twarz jej silniejszym zapłonęła rumieńcem. Przyszło jej na myśl, że gdy ten, na którego patrzeć nie chciała, przenosił ją przez improvizowane jezioro, chwyciła się jego szyi oburącz, i trzymała tak całą drogę. Bóg widzi, że się to jakoś samo, bez jej woli zrobiło — ale wstyd ją było, i zlorzeczyła w duchu swojej lękliwości. Czemuż bowiem wobec takiego faktu była jej głośna protestacja? Czczą formą. Formę tę wprowadzie wicher zagłuszył; ale choćby nawet zamiast krzyczeć, wierzgała była nogami, jak to było niegdyś jej chwalebny zwyczajem — nicby to nie znaczyło wobec tego, co się tak jakoś niechcący zrobiło, ale co się chcący nawet nie dało odrobić. Ach! co też on o niej myśli? Śmieje się pewnie w duchu, że się wody na stopę głębokiej zląkła, i mówi sobie, że w tej bohaterce, co w kopalni chciała świat cały wyzwąć do walki, zajęcze bije sercel...

Na samo to przypuszczenie zrobiło jej się gorąco. Przesunęła ręką po czole jakby chciała pozbyć się tej myśli, przyczem chustka zsunęła się nieco na tył głowy.

— Pani ma włosy zupełnie mokre — zauważył Herman — to źle, pani tak jechać nie może; trzeba je koniecznie wysuszyć. Wiatr jest silny, a powóz odkryty; jechać z głową wilgotną, byłoby to narażać się na pewną chorobę. Na to nie pozwolę. Hane, rzuć to, co trzymasz w ręku i rozpleć panience warkoczel

Basia zerwała się z ławki.

— Panie von Walden — przemówiła z rozdrażnieniem — kto panu dał prawo opiekowania się memi włosami? Umiem cenić pańską troskliwość o moje zdrowie, choć gubię się w domysłach, jakim sposobem zasłużyłam sobie na ten zaszczyt, — przy tych słowach dygnęła — ale słyszeć w stosunku do siebie takie wyrazy jak: „ja na to nie pozwolę“ albo „Hane, rozpleć panience warkocze“, szczerze wyznaję, że nie lubię. Na Boga! moje włosy do mnie należą i nie życzę sobie, aby ktokolwiek rozpościerał nad nimi swój protektorat! My Polki, nie lubimy, aby nami rządzono.

— Lubimy za to rządzić same — wtrącił Herman.

— Nie — odparła z godnością — jeżeli pan to mówi na zasadzie dziejów naszych, to się pan myli; królowe, co się u nas do rządów rwały, były to Włoszki lub Niemki. Nie o rządy nam idzie, ale o naszą godność niewieścią, i potrafiemy wszędzie i zawsze jej bronić.

— Lubimy także mówić wielkie słowa o małych rzeczach, i jesteśmy zapalne jak siarka. Mój Boże! ile tu pięknym zabrzmiało frazesów: „godność niewieścia“ „walka w jej obronie“, „protektorat“ — myślałby kto, że chodzi o ważne sprawy społeczne, o wielkie idee ludzkości! . Germańskie dziewczęce nie mają wprawdzie ani wyobraźni tak bujnej, ani tak świetnej wymowy, ale mają jeden wielki a zdaniem mojem najcenniejszy przymiot: skromność.

— Chce pan przez to powiedzieć, że jestem nieskromna? — spytała, marszcząc brwi, a w myśli jej stanęła znowu owa chwila, gdy obejmowała jego szyję i dotykała jego włosów.

— Tego nie mówię, — odrzekł — ale radbym w pani widzieć mniej energii, a więcej łagodności, mniej odwagi zewnętrznej, a więcej panowania nad sobą. Walka z własnymi namiętnościami, to także bohaterstwo wielkie, choć ciche!

— Czyli, żebym była podobną do Doroty Göthego? —

spytała ironicznie, czując jednocześnie w sercu bolesne ukłucie — nieprawdaż?

— W istocie, Dorota Göthego to mój ideał, ale nie o tem chciałem mówić. Moja troskliwość panią gniewa. Przykro mi bardzo, że pani tem przykrość sprawiam, ale nie mogę zrobić inaczej. Musi pani niestety znosić tę niemiłą dla pani opiekę aż do Seindenbergą. Gdy panią oddam pani Dawisonowej zdrową i całą, nie będę się więcej naprzykrzał.

Słowa te, wypowiedziane ze spokojem i stanowczością, miały jednak w sobie pewien odcień smutku i goryczy, który uderzył Basię i obudził w jej sercu na nowo wyrzuty sumienia.

— Panie von Walden, — rzekła po chwili milczenia — wyrzuciłam panu krzywdę. Pan dzisiaj był dla mnie tak dobrym, chociaż ja, wyznając, nie byłam dla pana nazbyt grzeczną — przy tych słowach spuściła oczy. — Tam na górze narobiłam panu nie mało kłopotu moją osobą, pan jednak był dla mnie cierpliwym i wyrozumiałym... My, Polki, przy wszystkich wadach, jakie nam pan przypisuje, mamy jednak ten przymiot, że nie jesteśmy zarozumiałe, i gdy zbłądzimy, nie wstydzimy się przyznać do błędu... Przepraszam pana!

I wyciągnęła do niego rękę ze szczerym, swobodnym uśmiechem, który byłby najzawziętszego przeciwnika rozbroił.

— Widzę, że się w moim sądzie o pani nie omylił — powiedział, biorąc jej drobną rączkę w obie dłonie: — na dnie charakteru pani leży głęboka sprawiedliwość i miłość prawdy, i one zawsze w porę na wierzch wypłyną. Mogęż to uważać za uroczyste zawarcie pokoju między nami?

— Ach, jakże pan chce, aby w tak ważnej sprawie tak zaraz decydować — rzekła dyplomatycznie. — Powiem panu wreszcie, co myślę — dodała z prostotą — nie chcę nic przyrzekać, bo nie jestem pewna, czybym dotrzymać potrafiła

— Podoba mi się ta szczerość — rzekł z uśmiechem —

to mi mówi, że jeżeli pani nareszcie przyrzeknie coś komu, to niezawodnie dotrzyma obietnicy. Nie będę więc nalegał i poprzestaną tymczasem na zawieszeniu broni.

Miał wielką ochotę pocałować rączkę, którą trzymał w swych dłoniach, ale się lękał ploszyć ten cień sympatji, jaki ich łączył w tej chwili, a który mógł się lada chwila jak cień rozpląnąć — uściśnął ją więc tylko serdecznie i zapytał tonem prośby usilnej:

— Czy Hane może teraz rozpleść pani włosy?

— Ach, co z panem robić! — rzekła wesoło — dla świętej spokojności słuchać muszę. Ale nie mam zwyczaju posługiwać się nikim w tej robocie. Sama sobie dam radę.

Zdjęła z głowy chustkę, rozplotła warkocze i, rozpuściwszy bujne, gęste włosy, przyklękła przy ogniu, aby je wysuszyć.

— Ach! — zawołała z zachwyceniem staruszka, która podczas tej rozmowy bezustannie krzątała się po izbie—czy widział kto takie bogactwo? A to czyste złoto!

Wzięła w rękę jeden promień, próbowała palcami jego miękkość i i zwróciła go do światła

— I ja miałam niegdyś takie włosy — rzekła potrząsając głową — u nas, w Krakowskim, dziewczęta mają piękne włosy jasne ..

— To wy, matko, z Krakowskiego jesteście? — zawołała po polsku z najwyższym zdziwieniem Basia, zwracając ku niej twarzyczkę zarumienioną od ognia.

— Tam się urodziłam i wychowałam, tam moi ojcowie leżą na mogiłkach... Widziałam Kraków i w Katedrze byłam raz na nabożeństwie. Piękny, wesoły kraj! — dodała i wstchnęła.

— A jakżeście się aż tutaj dostali?

— Poszłam za Niemca i wywędrowaliśmy do Prus na tratwach z drzewem, a potem z gromadą Niemców na Śląsk,

w góry. Kiedym miała takie włosy — mówiła dalej łamaną polszczyzną, a przygasłe jej oczy ożywiły się przy tych słowach — nosiłam pęk wstążek u warkocza i pęk koralu na szyi. We wsi mówili, że jestem ładna. Umiem nawet jeszcze piosneczki, jakie tam śpiewają.

Odchrząknęła i ochryplym głosem nucić zaczęła:

„Zachodzi słońeczko
za las kalinowy —
zimna rosa pada
na sadek wiśniowy.

Nie padaj, nie padaj,
moja zimna roso,
ażę ja zabiegnę
do dziewczyny boso.

A Jasiu mój, Jasiu,
nie chodź do mnie tędy,
bo mi potarasisz
w ogródeczku grzędę.

Jasiu, bałamucie...

— Nie, nie tak —

Chodzisz mi po rucie ..

— Zapomniałam, jak dalej, zaśpiewam inną:

„Ja się stanę dzikim gołębiem,
będę siedziała wyżej nad dębem.

A ja twoją nie chcę być,
twojej woli uczynić.

A znajdą się tu takie jastrzębie,
co wychytają dzikie gołębie.

I ty moja musisz być,
moją wolę uczynić.

A ja się stanę małą rybeczką...

— Nie.

„A ja się stanę drobną ptaszyną...”

— Zle —

„A ja się stanę gwiazdką...”

— I tak nie, nie pamiętam... człowiek między obcemi zapomniał swojej mowy... Dawne to czasy — dodała, machnąwszy ręką, i dwie łzy grube spłynęły po jej pomarszczonej twarzy. Otarła je ręką i zwróciła się do młodzieńca, mówiąc:

— Będziecie mieli śliczną żonę, młody paniel

Basia, na której ta scena silnie zrobiła wrażenie, drgnęła na te wyrazy.

— Mylicie się, dobra kobieto — rzekła porywczo — ten pan nie jest moim narzeczoną i nie będzie nim nigdy; jesteśmy oboje różnej mowy, a ja nie chcę zapomnieć na starość piosenek, które śpiewać umiem...

I zanuciła smętną kujawską piosenkę, ale w połowie zwrotki urwała i spojrzała bystro na Hermana.

— Dlaczego pan milczy? — spytała, marszcząc brwi — dlaczego pan nie zaprzeczył temu, co powiedziała ta kobieta?

— Musiałbym wprzód wiedzieć, o có chodzi, — powiedział spokojnie — pani zapomina, że cała ta rozmowa toczyła się w obcym dla innie języku.

— Ach, tem lepiej — szepnęła do siebie i zamilkła.

— Gotów byłbym jednak nauczyć się po polsku, gdybym wiedział, że to pani sprawi przyjemność — mówił młodzieniec, patrząc na nią uważnie.

Basia drgnęła.

— O — rzekła tonem, któremu usiłowała nadać charakter najwyższej obojętności — to mi jest wszystko jedno.

Przesunęła ręką po włosach i, przekonawszy się, że już suche, spłotła je w dwa warkocze z pewnym pośpiechem.

Pragnęła jechać jak najprędzej, nie żeby jej się śpieszyło opuścić chatę, w której tak gościnne znalazła przyjęcie — cała ta przygoda, wyglądająca nieco romantycznie, nie była dla niej bez pewnego uroku — lecz żeby pozbyć się opieki nad sobą człowieka, dla którego w jej piersi na nowo wstawały nieprzyjemne uczucia.

Staruszka zbliżyła się do ognia i wystawiła garnuszek z winem. Gdy podniosła pokrywę, rozeszła się po izbie woń cynamonu, goździków i gałki muszkatołowej — a woń ta wzmocniła się jeszcze, gdy naląła rubinowego płynu w dwa kubki fajansowe ozdobione wewnątrz i zewnątrz jaskrawo malowanemi kwiatami.

— Niech pan pije, — rzekła, podając większy młodzieńcowi — prawdziwy johanisberg. Moja Hane dostała to od księdza biskupa, gdy Jego Wielebności zaniósł na obrus płótna, które sama utkała. I panienska niech się napije, to rozgrzewa; na przeziębienie to jedyne lekarstwo.

Basia nie wzdragała się z przyjęciem ofiarowanego sobie napoju, choć korzenie nadawały mu pewną cierpkość i gorycz; napiłaby się nawet chętnie żółci z octem, byle się to wszystko prędzej skończyło... Herman próbował jeszcze z nią rozmowę, ale odpowiadała mu monosylabami i zapadała w uporczywe milczenie. Rozmyślała nad tem, co Herman o możliwości nauczenia się po polsku powiedział, powtarzając sobie, że ją to nic nie obchodzi i że Niemiec, mówiący po polsku, Niemcem przecież być nie przestanie. Jego narzeczoną? Co za szaloną myśl miała ta biedna kobieta! Złożyć swoją przyszłość w ręce niemieckie, ręce splamione krwią rodaków... to byłoby więcej niż szaleństwo, to byłaby zbrodnia. Dalej rozmyślała nad losem matki górnika i nad tem, jak na świecie Bożym wszystko się dziwnie plecie, oraz jak człowiek nie może być nigdy pewny niczego. Ktoby był pomyślał, że walcząc o wolność utraci swoją własną

niezależność, nie na długo wprowadzie bo tylko na kilka godzin, ale zawsze utraci..

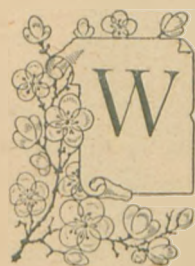
W miarę jak rozmyślała, usposobienie jej stawało się coraz więcej melancholijne i ponure. Wicher bił wściekle w szyby z deszczem, głównie na kominie dopalały się i oblewały wszystkie przedmioty światłem czerwonym; fajka staro-górnika zdawała się ogniem buchać zamiast dymem; oczy Hane, stojącej w kącie i wpatrującej się w Basię jak w cudowny obrazek, błyszcząły w ciemności jak dwa węgle żarzące, a druty u pończochy staruszki pochylonej przy ogniu kominka migwały ustawicznie niby dwie błyskawice. Wino w kubku miało kolor krwi; Basi zdawało się chwilami, że to jest krew niemiecka, a myśl ta działała na nią odurzająco jak narkotyk. Wyobrażała sobie, że jest bohaterką dramatu narodowego pełnego obrazów, krwawych, strasznych, którego tytułu nie mogła tak naprędce wynaleźć, ale którego myślą zasadniczą było zniszczenie ze szczętem zdradliwego plemienia krzyżackiego, nie przebijając w środkach, chociażby przyszło:

„Jak Samson jednym wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem”.



ROZDZIAŁ X

Z KTÓREGO SIĘ POKAZUJE, ŻE NIE WSZYSTKO JEST
NIEBEZPIECZEŃSTWEM, CO SIĘ NIEM BYĆ ZDAJE.



oberży seidenberskiej tymczasem obozowała reszta podróżnych. Rozgoszczono się i urządzono jak można było najlepiej, do czego najgorliwiej dopomagał sam gospodarz. Biegał ustawicznie to tu, to tam, dysponował, kłaniał się, poprawiał szlafmicy, zsuwającej mu się ciągle na lewe ucho, i rachował w myśli, ile mu przyjdzie wziąć za nocleg od każdego z osobna i od wszystkich razem, ile od koni i służby, co goście już zjedli, a co zjedzą jeszcze, i tam dalej. Rachując, puszczał od czasu do czasu z porcelanowej fajeczki kłęby dymu tak misternie zaokrąglone, jak owe zera, które już w myśli dodawał do jedności, i błogosławił w duchu burzę, co mu tak niespodziany nastreczyła zarobek. Niepokoiła go wprawdzie myśl, że syn wyrostek wysłany bryczką do Landek z listem Dawisõna do pani N.,cz, i mający zarazem przywieść z sobą różne prowianty na jutro, powracać będzie w taką burzę przez mostek, na którym deski ruszały się jak klawisze, i który woda rzeczulki, wzbie-

rająca coraz bardziej, zerwać mogła łąda chwila — ale złągodziło nieco tę obawę rozumowanie, że skoro most ten przetrwał już tyle burz w całości i zdrowo, dlaczego nie miałyby wytrzymać i dzisiejszej? — oraz konkluzja, że chcąc coś zarobić, trzeba także i coś zaryzykować.

Izba gościnna, w której nasi znajomi byli zebrani, nie różniła się niczem od wszystkich tego rodzaju izb w zajazdach, utrzymywanych przez Niemców. Znać było pewną zażyłość gospodarza i nadzwyczajną o poszanowanie nagromadzonych w niej przedmiotów staraność. Pokrowce były na wszystkim: na meblach na stole, na komodzie, na lampie; wszystkie w mundurach — a ręka właściciela ustawiła wszystko tak symetrycznie, jakby to był pułk żołnierzy oczekujący na komendę. Wiał z tego pokoju duch pruskiej karność i porządku — duch niebezpieczny, bo podbijający świat, choć nieznacznie i powoli.

Podłoga froterowana błyszcząca jak szkło, a w rogu izby, przy ścianie, łożko piętrzyło się betami w górę na cztery łokcie wysoko, i wzbudzało rozmiarami swemi mimowolne poszanowanie. Na ścianach oprócz lustra umieszczonego nad kanapą wisiały sztychy kolorowane przedstawiające epizody z wojny szlezwig-holsztyńskiej, oraz portrety króla Wilhelma, następcy tronu, Bismarka i Moltkego — a pod nimi, jakby potęgą geniuszu wojny strwożone, tuliły się nieśmiało ryciny, wyobrażające sentymentalne sceny z pierwszych dni pożycia małżeńskiego jakiejś szczęśliwej pary.

Na kanapie, przed którą stał stół nakryty białym holenderskim obrusem i zastawiony przyborami do wieczerzy, leżał Dawison. Na twarzy jego znać było znużenie, nie chciał się jednak położyć w łożko mimo prośb żony i uparł się doczekać powrotu Basi. Długa jej i Hermana nieobecność niepokoiła go, słał posłańca za posłańcem do chaty górnika i mówił ciągle o srogości burzy, na jaką byli wystawieni. Książę



— Czy to pan, panie von Walden? (str. 158).

Fryderyk nie mówił nic, ale chodził co i raz do okna i wzrok zapuszczał w ciemność, a na surowej jego twarzy widać było, że nieobecność ta i jemu nie była obojętną. Oryginalny, śmiały, a przytem szorstki nieco charakter dziewczęcia mocno go interesował i miał dla niego ten urok, jaki dla mieszkańca salonów, niezwykłego do patrzenia na wspaniałe krzewy cieplarniane, posiada woń łąk i widok leśnej konwalji. Byłby niezawodnie pozostał w chacie górnika i tam oczekiwał na jej powrót, gdyby nie przeciągi, jakie mu się tam czuć dawały, a na które był bardzo drażliwy, bo mu wznawiały cierpienia reumatyczne. Właśnie rozważał po raz dziesiąty kwestję, czy młodzi awanturnicy znajdują się już lub nie jeszcze u górnika, gdy przybiegł posłaniec z doniesieniem, że tam przybyli szczęśliwie i teraz odpoczywają. Ale od przybycia posłańca upłynęła dobra godzina a oni nie wracali, i Jego Książęca Mość zaczynał się już niecierpliwić, a nawet wyznał głośno, że się obawia, czy czasem panienka w chacie nie zasłabła, i że wszystkiemu winien ten młody Walden, bo ją do wejścia na górę namówił.

Zaturkotało, i ci, co byli przedmiotem ogólnego niepokoju, przybyli nareszcie. Powitaniom, wykrzyknikom i wypytywaniom nie było końca — oboje nie mogli nadażyć odpowiadać. Basia, wycalowana przez panią Konstancję, przeszła z kolei w ręce Dawisona, który posadził ją przy sobie na kanapie, i kazał sobie opowiedzieć całą kampanję z najdrobniejszymi szczegółami — książę Fryderyk jednak zaprotestował przeciw temu ze stanowiska higienicznego, twierdząc, że przede wszystkim należy strudzone członki wzmocnić posiłkiem, zanim duch pracować zacznie. Przyznano księciu słusność i zażądano wieczerzy. Przyniesiono półmisek pstrągów i półmisek sałaty, kurczęta ze śmietaną, chleb świeży, owoce, wino i samowar, a widok ten magicznie podziałał na zebranych; rozmowa przybierała coraz żywszy charakter, w miarę

jak siły się pokrzepiały; dodawało i to apetytu, że wszystko przyrządzone było wyśmienicie, bez oszczędności właściwej niemieckiej kuchni. Gospodarz wiedział, jak kogo przyjąć należy, i pisał sobie zato rachunek podwójną kredką.

Gdy brzęk widelców nieco ustał, a nastąpił brzęk kieliszków, Herman ogłosił wszem wobec i każdemu z osobna o zwycięstwie Basi w pojedynku, i opowiedział całą przgodę, zręcznie pomijając te szczegóły, które, jak mniemał, mogły jej być niemiłymi jako jej samej dotyczące — ale dyplomacja ta nie została łaskawie przyjęta. Panienska wiedziała z różnych powieści, jakie w swem życiu czytała, że nic tak nie zbliża dwojga młodych ludzi jak wspólna tajemnica — ona zaś wspólnej z nim tajemnicy mieć nie chciała. Przytem groziło to nową wdzięcznością — a wdzięczności Basia miała już dosyć; o mało że nie wychodziła jej czubkiem głowy; więc też z krwią zimną opowiedziała szczegóły opuszczone przez Hermana, mianowicie swoją szybką jazdę ze stoku góry i przymusowy odpoczynek na krzaku. Wprawdzie niemiło jej się zrobiło na sercu, gdy całe towarzystwo, nie wyłączając Dawisona, wpadło w wesołość i zaczęło z niej żartować — ale uznała, że najlepiej będzie zrobić „bonne mine au mauvais jeu“, i śmiała się także. Zato gdy zaczęło się żegnać na dobranoc, nie mogła się powstrzymać od pełnego triumfu spojrzenia, które wyrażało: omyliłeś się, mój panie, jeżeliś myślał, że wpływ twój tutaj mnie dosięgnie. Opuściliśmy już krainę wdzięczności i nie wrócimy do niej więcej.

Gospodarz miał wszystkiego tylko dwie izby do rozporządzenia, ale obie oddał gościom, wyniósłszy się z całą rodziną do kuchni; taka gratka jak ta nie często się zdarzała, i warto było dla niej własną wygodę poświęcić. Największą, znaną nam już, zajęli państwo Dawisonowie; Basi oddano małeńki pokoiczek, a raczej alkierzyk, do którego drzwi zastępowała zasłona z kolorowego perkalu — zaś ksiądz Fryderyk

i Herman zmuszeni byli pomieścić się razem w niewielkim pokoiku obok, bo nie było innego pomieszczenia.

Znalazszy się u siebie, Basia zaczęła ciekawie rozglądać się po pokoju; niewiele było do widzenia, wszystko dało się ogarnąć jednym rzutem oka. Stała tam wielka staroświecka szafa z mosiężnymi ozdobami, pamiątka czyjejs̄ świetnej przeszłości, tanim zapewno kosztem nabyta; jedno krzesło wyścielane przeniesione z dużej izby, stolik ze stojącą na nim lampą, proste drewniane łóżko z dwiema poduszkami i wspianiałą pierzyną, i kilka obrazków na ścianach. Podłoga nie była froterowana, ale czystością swoją biła w oczy.

Pokoik miał jedno tylko okno zasłonięte okiennicami od wewnątrz; Basia odchyliła je przez ciekawość, gdzie też wychodzi, ale nic nie dojrzała. Deszcz padał ciągle; z odgłosu miarowego gałęzi, uderzających w szyby za każdym silniejszym powiewem wiatru, domyśliła się, że tuż za oknem rosną jakieś drzewa i że prawdopodobnie wychodzi ono na ogród. Błyskawica, rozświecająca w tej chwili widnokrąg, pokazała jej ten ogród w perspektywie, a tuż za ogrodem rzeczkę bałwanianą się i uderzającą falami o brzegi. Widok ten zachwycił ją. Pomimo zmęczenia po trudach podróży nie chciało jej się spać. Rozmyślając nad upłynionym dniem, zastanawiała się bardzo nad ową nagłą zmianą w twarzy Hermana tam, na szczycie góry. Uważała też, że przy wieczerzy silił się tylko na wesolość—i gdy usta się śmiały, wzrok był ponury, smutny; a gdy się raz z jego spojrzeniem utkwionem w siebie spotkała, przejął ją niepokój, strach niemal. Zamyślał się też dziwnie..

Czytając nieraz babce głośno rycerskie powieści, wzdychała skrycie, że już minęły wieki średnie i że się nie urodziła w owej epoce przygód romantycznych i niespodzianek. Nie przypuszczała wówczas, że jej samej zdarzy się w śląskich górach przygoda, nadająca się bardzo do obrazka w po-

wieści. Nie mogła się skarżyć na brak wrażeń; dzień ubiegły obfity był w wypadki. Czyż nie uciekała z góry w największą burzę? Czyż nie znajdowała się pod wpływem przemocy i narzuconej sobie gwałtem opieki młodego i pięknego rycerza? Czyż nie szukała w chacie wieśniaczej przytułku jak niejedna wygnana i prześladowana od losu królewna? Czyż nakoniec nie nocowała w oberży, co także było wypadkiem niezwykłym, choć przytrafiającym się często w romansach? Na dworze była taka burza jak wówczas, gdy dzielny rycerz Alaryk schronił się do oberży z damą swych myśli, księżniczką Alicją. Przypomnił jej się ustęp, w którym piękna księżniczka, rozmyślając nad swemi losami, usłyszała nagły hałas.

I czy to była rzeczywistość, czy złudzenie rozbujanej wyobraźni, czy może wpływ owego korzennego johanisbergu, którym tak gościnnie uczęstowała ją matka górnika — wydało się Basi, że w samej rzeczy słyszy jakiś hałas. Najprzód był to krzyk oddalony, krótki ale rozpaczliwy, niby wołanie ratunku; potem ktoś biegł pędem od strony rzeki koło okna do sieni. Następnie słychać było gwałtowne otwarcie drzwi kuchennych, urywaną rozmowę, przelękłe głosy oraz bieganie w tę i ową stronę. Potem poza ścianą, przy której stało jej łóżko, otworzyły się drzwi i Herman wypytywał, co się takiego stało, a oberżysta wołał z płaczem; że mu konie toną, że woda zerwała mostek na rzeczce i uniosła bryczkę do starego młyna; że chłopak zdążył wyskoczyć i przyleciał mu to powiedzieć; że nie wie, co począć; że tak ciemno; że go te konie kosztowały po osiemdziesiąt talarów.

Połowa tych słów dopowiedziana były już nie w sieni, ale na dworze, gdzie Herman wołał o sznury i o latarnię. Potem znowu drzwi za przepierzeniem skrzypnęły jakby je kto lekko uchylił, i ksiązę wołał, aby wzięto jego służących do pomocy — ale nikt go nie słyszał; potem jeszcze słychać było kroki kilku ludzi, biegnących co tchu w stronę rzeki.

Dreszcz przebiegł Basię od stóp do głów. Przycisnęła czoło do szyby i widząc, że deszcz na chwilę przestał padać, otworzyła okno jak mogła najciszej, żeby nie zbudzić państwa Dawisonów, i wyteżyła wzrok i słuch — ale nie słyszała nic, a widziała tylko słabe światło latarni, to ukazujące się na chwilę, to znikające w ciemnościach. Błysnęło. W tej krótkiej chwili dojrzała koryto rzeczulki, kilku ludzi stojących na brzegu, jakiś przedmiot, w którym domyślała się bryczki, bo przy nim widać było lby końskie, wynurzające się z wody. Błysnęło po raz drugi, i ujrzała znów człowieka płynącego wprost do tego przedmiotu. Poznała go. Fale bijące o brzegi kazały jej przypuszczać, że tam musi być głębia niezmierna, i ogarnął ją przestrah.

— On może utonąć — myślała i uczuła, że na to przypuszczenie przestrah jej zamienia się w trwogę śmiertelną. Ale dlaczego tamci stoją beczynn timer, ten gruby oberżysta, naprzykład? Czemu on jeden tylko się naraża?

Błysnęło znowu, i zobaczyła postacie, które wprzód stały beczynn timer, biegające z pośpiechem to tu, to tam; wiatr nieco ucichł, i słyszała niby wołania, niby rozkazy.

Nagle zapanowała nad rzeczką cisza, a cisza ta miała w sobie coś strasznego; przerywał ją tylko odgłos kroków księcia, chodzącego niespokojnie za przepierzeniem, i miarowy chód zegara w przyległym pokoju — a Basi zdawało się, że między jednym a drugim poruszeniem wahadła nie sekundy upływały, ale minuty. Błyskawice przestały rozświecać widnokrąg, i nie mogła już widzieć, co się dzieje na rzece — światło latarni zaś musiało zgasnąć chyba, bo także nie można go było dojrzeć. Czekala, wyteżając słuch i nie czując kropli deszczu spadających jej na głowę. Chwile upływały...

I przypomniało się jej, co słyszała tylokrot. ie od babki i w co wierzyła sama, że modlitwa jest pociechą, a wiara czyni cuda. Klękla przy oknie, żeby się pomodlić, ale usta

nie chciały ułożyć się do modlitwy i wyszeptały tylko:

— Ratuj go, Panie! ratuj!

Wśród tych słów przyszło jej na myśl, że ten, za którym prosi Boga, jest Niemiec — co znaczy to samo co wróg. . ale jednocześnie przypomniało jej się przykazanie Chrystusowe: „Kochajcie nieprzyjaciół waszych“ — i usta wyszeptały znowu:

— Boże, który jesteś wielki i wszystko możesz, ocal go! Nie pozwól, aby dla uratowania koni utonął człowiek!

Tu staęto jej przed oczyma całe jej z Hermanem postępowanie, wszystkie słowa ostre i dotkliwe, jakie od niej usłyszał, cała niegrzeczność i porywczosć — a przypomnienie to obudziło w jej sercu gorzkie wyrzuty sumienia. Powiedziała sobie, że była złą, bardzo złą! A on natomiast jakże okazał się wobec niej szlachetnym, jak był uważnym i troskliwym podczas niebezpiecznego powrotu z góry Krzyżowej! Gdyby nie jego silne ramię, może byłaby wpadła w jaką przepaść i nie żyła już do tej pory. A teraz, jeżeli on utonie, to ona już nigdy nie będzie mogła wynagrodzić mu za wszystkie wyrządzone przykrości.. Ach, to okropne!..

Uplłynęło tak pół godziny, które wydało się wiekiem dla Basi. Wiatr zerwał się, wstrząsnął gałęziami drzew, a w szumie tym był jakiś odgłos przeciągły, ponury. Zerwała się z ziemi, zimny pod wystąpił jej na czoło i zaczęła się trząść...

Nareszcie słuch jej, długiem oczekiwaniem do najwyższego stopnia naprężony, pochwycił odgłos jakichś kroków.

Wychyliła się z okna jak mogła najbardziej, odgłos zbliżał się.

Ktokolwiek idzie, będzie musiał przechodzić koło okna — myślała, wstrzymując oddech. — Czy to pan, panie von Walden? — spytała, gdy człowiek, który szedł, zbliżył się.

— Tak, to ja — odpowiedział głos znany, i wysoka postać męska stanęła w oknie.

Basia odetchnęła.

— Co za nieostrożność! deszcz pada do pokoju a pani stoi w oknie — mówił Herman — ależ to można zaziębić się na śmierć!... Boże, jaka pani blada! Co pani jest? dlaczego pani nie śpi jeszcze?

— Chciałam — odpowiedziała drżącym głosem — chciałam... dowiedzieć się... czy konie zostały uratowane...

Mówiąc to, odwracała głowę; światło lampy stojącej obok na stoliku padało na nią i oświecało połowę twarzy; usta jej były białe jak płótno; ręka, opierająca się o framugę okna, mocno drżała. Herman patrzył na nią.

— Wratowane — odrzekł wzruszony i, schyliwszy się szybko, przyłożył usta do jej ręki.

Ręka cofnęła się, ale ruch z jakim to zostało dokonane, nie znaczył ani oburzenia, ani gniewu.

— Niebezpieczeństwo było wielkie, nieprawdaż? — wyrzekła z trudnością, bo pomieszanie odebrało jej resztę pewności głosu

— Bynajmniej.

— Jakto! czy konie nie tonęły?

— Nie. Zaplątały się tylko z wózkami między pale pozostałe po starym młynie i nie mogły się stamtąd wydostać. Gdy postronki uprzęży zostały poprzecinane, powychodziły same z matni.

— Pan żartuje; widziałam przecież przy świetle błyskawicy dwa łby to wynurzające się na wierzch, to niknące pod wodą.

— Zdawało się pani: łby rzeczywiście wynurzały się z wody, ale nie niknęły pod nią ani razu.

— Słyszałam przecież płacz oberżysty i rozpaczliwe wzywanie ratunku.

— Strach przedstawił mu niebezpieczeństwo większem, niż było.

Słowa te oblały Basię zimną wodą.

— Czyli, że pan, ratując konie, nie był narażony na żadne niebezpieczeństwo... nie mógł pan utonąć?

— Choćbym chciał nawet — powiedział wesoło. — Rzeczka płynie po dnie kamienistym i z wyjątkiem miejsca wypadku głębszego trochę jest tak płytka, że dosięgała mi tylko do pasa

Tego już było nadto, doprawdy! Ona tak się lękała o jego życie, tak drżała, pół godziny przebyła w trwodze śmiertelnej, która prawdziwą była dla niej męczarnią — a on ani myślał nawet tonąć, nie groziło mu niebezpieczeństwo żadne!... Czy słyszał kto co podobnego! Uważała go nawet do tej pory za bohatera.. chyba zmysły straciła!.. Bohaterowie prawdziwi ratują ludzi nie zwierzęta! Piękny mi bohater, co ratuje konie! Szkoda, że nie krowy lub barany... To śmiechu warte, doprawdy! I trzebaż, żeby jak żak jaki wydała się ze swoją o niego obawą; żeby go pierwsza zaczepiła; żeby czyn tak zuchwały jak dotknięcie ustami jej ręki puściła bezkarnie! A był to pocałunek długi, gorący... pamięta doskonale. Ależ to jest wołające o pomstę do nieba!

Herman z twarzy jej jak z księgi otwartej czytał wszystkie te myśli.

— Widzę, że lepiej byłoby dla mnie w tej chwili, gdybym utonął, — szepnął z cicha — pani żałowałaby mnie przynajmniej troszeczkę. Nie żał mi jednak, że się tak nie stało, bo żyjąc, mam nadzieję doczekać się od pani czegoś więcej, niż współczucia.


W miejsce odpowiedzi dwie małe rączki pochwyciły za antaby okna i zatrzasnęły je z taką gwałtownością, że Herman zaledwie zdążył odskoczyć. Po zamknięciu okna nastąpiło równie szybkie zasunięcie okiennic — a potem mocne tarcie fartuszkami tego miejsca na rękę, którego dotknęły usta Hermana.

W tej chwili deszcz lunął z podwójną gwałtownością.



ROZDZIAŁ XI

W KTÓRYM NIEMAŁĄ ROLEŃ GRA JEDEN WIERSZ Z PISMA ŚWIĘTEGO.

ie jeden może myśli, że Basia przepędziła tę noc bezsennie; że jeżeli się nie rozchorowała z przeziębienia, to przynajmniej wstała nazajutrz z twarzyczką bladą, smętną, co pięknym jej licom jeszcze więcej dodało uroku. Tak przynajmniej zrobiłaby niejedna bohaterka powieści; ale nasza Basia nie była romansową heroiną, chociaż lubiła czytać rycerskie romanse i żałowała nieraz, że się nie urodziła w wiekach średnich. Kogo jak ją wychowywało powietrze i słońce; kto jak ona po trzy razy na dzień zamoczył nogi, szukając lilji wodnych po moczarach, chodził na wyścigi z wiatrem i miał lat szesnaście — na tym podobna przygoda jak wczorajsza nie mogła pozostawić śladów. Basia nazajutrz wstała zdrowa jak ryba, a świeża jak kwiatki, którym burze dodają życia i piękności.

Gdy otworzyła okno, ranek był w całym blasku. Słońce przedzierało się przez gałęzie drzew i rzucało na ziemię snopy

iskier złotych; trawa, kwiaty, liście, wszystko błyszczalo od rosy. Ogród jaśniał przepychem zieloności — a tam dalej, poza nim płynęła rzeczka, wijąc się wstęgą srebrzystą. Szmer znajdującego się gdzieś blisko wodospadu mieszał się z nawoływaniem pawia, który widocznie spacerował sobie gdzieś niedaleko. Basi dusza wrywała się do ogrodu, ale, niestety, alkierzyk nie miał innego wyjścia nad to, które prowadziło przez pokój państwa Dawisonów — a tam panowała jeszcze zupełna cisza. Co tu robić? ha! niema innej rady, tylko oknem wyskoczyć. Dla Basi nic to niezwykłego; umiała ona takie rzeczy — bo nieraz na wsi skracala sobie drogę przez płoty, zwłaszcza gdy babka nie widziała. Wprawdzie kto ma lat szesnaście, temu drzwiami poważnie wychodzić wypada — no, ale teraz nikt nie patrzy!

Niewiele myśląc, siadła na oknie, przełożyła nogi na drugą stronę i już była w ogrodzie.

Uczucie swobody, orzeźwiający chłód poranka podziały cudownie na jej humor, nieco wypadkami dnia poprzedniego zmacony; z ciekawością zapuszczała się w gąszcze drzew, rozglądając się na prawo i na lewo, niby odkrywca nowych nieznanych krain, badający ich florę i faunę — a lekkie jej drobne stopy w wielkie skórzane trzewiki Hane obute znaczyły ślady kroków na ścieżce gładko zmytej przez ulewny deszcz nocny i nie wyschłej jeszcze. Co tylko znajdowało się w ogrodzie, kwiaty, krzewy, owoce, warzywa wszystko zobaczyła i skrytykowała: najwięcej przygany dostało się wynalezionym w jednym kącie malinom za to, że były drobne i mało słodkie, bo żehy są wydać sprawiedliwy, sumiennie ze wszystkich krzaków próbowała.

Wszystko na świecie musi mieć swój koniec. Basia też znalazła się wkrótce u końca ogrodu i zobaczyła, że go żaden płot nie otaczał; rzeczka stanowiła jego granicę z jednej strony, z drugiej zaś rów i to niezbyt głęboki odgradzał go

od łąki, gdzie pasły się konie. Za łąką, którą zaledwie polanką nazwać było można dla jej niewielkiej rozległości, był las. Basia przeskoczyła rów i szła kawałek nad brzegiem rzeczki. Idąc, napotkała w krzakach wikliny przewróconą bryczkę ze złamanym wasągiem. Widok ten przywiódł jej na myśl wspomnienia minionej nocy.

— Dlaczego ja się tak bałam o niego?— zadawała sobie pytanie, patrząc na sterczące z wody pale starego młyna — doprawdy, nie rozumiem tego! Musiało mnie odurzyć korzenne wino u górnika, stąd owe niepokoje i zawrót głowy. Miało ono jakiś dziwny smak i było cierpkie; żałuję, że wypitał cały kubek. Tak, to wino... bo jakież mógł być inny powód? Gdyby nie to, czyżbym ja go tak żałowała? Wielka rzecz! Nie byłoby dziury w niebie, gdyby jeden Niemiec ubył ze świata!

Patrząc w rzeczkę, przez której przezroczyste wody można było dojrzeć wyścielające ją kamienie, czuła ogarniającą ją stopniowo złość na Hermana, że był jej niepokojów powodem, i gniew na siebie samą za swoje wczorajsze, jak je nazywała, dzieciństwo—które u poważnej szesnastoletniej osoby nie powinno było mieć miejsca. Ale czy godziło się gniewowi i grzesznej złości dawać przystęp do serca w taki piękny poranek i tak zaraz po pacierzu? Pragnąc odpędzić od siebie te uczucia, a z nimi wszelkie o Hermanie wspomnienia, oddaliła się szybko od miejsca katastrofy.

Niebo odbijało się w wodzie, niebo tak jasne i pogodne, że niemal niepodobieństwem się zdawało uwierzyć, iż nie dawniej jak wczoraj roznosiło burze i rzucało pioruny. Basia myślała sobie, że to zupełnie tak jak z sercem ludzkim: nigdy nie można napewno wiedzieć, co w niem będzie—burza czy pogoda. Środkiem rzeczki płynęło stadko gęs białych; szlachetny kształt piersi, wdzięcznie wyciągnięte szyje, wreszcie powaga, z jaką pruły powierzchnię wody, zosta-

wiając za sobą zmarszczoną wstęgę lazuru, czyniły je podobnymi do łabędzi. Basia patrzyła za nimi, dopóki nie zniknęły za zieloną kępą wodorostów i zastanowiła się, czy też te stworzenia znają uczucie wdzięczności, tak nienawistne dla niej zwłaszcza od wczoraj — i myślała, że jeżeli prawa, jakimi się rządzą między sobą, uczucie owo wyłączają, to są rozumniejsze od praw ludzkich, bo dają większą swobodę obywatelom skrzydlatego królestwa. Że jednak nie lubiła długo zajmować się kwestjami filozoficznymi, a tuż przed nią rozciągał się las, do którego zajrzeć pragnęła, więc nie zatrzymywała się dłużej, tylko ruszyła prosto przed siebie, wciągając z rozkoszą w płuca żywiczne zapachy drzew sosnowych, mieszające się z zapachem siana, leżącego z jednej strony na pokosach i wysychającego na słońcu.

Do wszystkich tych woni wmieszała się jeszcze jedna, która dla Basi w tej chwili szczególniejszego nabrała uroku: była to woń pieczonych kartofli. Uczuła gwałtowny apetyt i, idąc w kierunku zapachu, odkryła z łatwością dymiące jeszcze ognisko, a w niem pod warstwą popiołu kartofle upieczone już zupełnie. Niektóre z nich popękane napędziły ślinkę do ust. Obejrzała się naokoło — nie było nikogo; bydło pasło się spokojnie, sobą jedynie zajęte. Śnać pasterze, co sobie przygotowali to śniadanie, gdzieś odeszli, tylko poważna jakaś krowa w białym czepku podnosiła łeb, nasłuchując, i patrzyła na nią, jakby czekając, co dalej będzie. Basia byłaby się może długo namyślała, czy się z pasterzami podzielić, czy nie — ale kartofle pachniały tak pięknie, biała wydobywająca się z nich para była tak ponętna, że spróbowałszy jednego, spróbowała drugiego, trzeciego i jeszcze włożyła kilka w kieszeń. Na krowę, przypatrującą się temu w milczeniu, nie spojrziała ani razu, tylko ruszyła w dalszą wędrówkę.

Wszedłszy w las, usłyszała znowu krzyki pawia, a po chwili ujrzała ukrzykacza wychodzącego z gęstwiny. Kroczył

poważnie z głową zadartą, a wspaniały jego ogon błyszczał w słońcu przepychem złota i szmaragdów. Przyszła jej do głowy pusta myśl schwywania ptaka i zaczęła go gonić, ale uciekał, krzycząc przeraźliwie — a ona wkrótce spostrzegła, że to, co była wzięta za las, jest parkiem, i to parkiem w całym znaczeniu tego wyrazu. Słońce świeciło jasno — trochę nawet za jasno — prosto w oczy. Parasolka Basi zginęła we wczorajszej walnej na Kritzberg wyprawie; nie wiele myśląc, ułamała wspaniały liść ricinusa i zaczęła się nim zamiast parasolki posługiwać.

Miejsce, gdzie się znajdowała, zaciekawiało ją niezmiernie; coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że to park, nie las, jak wnosić można było z drzew dzikich różnego rodzaju, jesionów, jodeł, tuj i świerków. Srebrzysta wstęga rzeczki gdzieś się schowała, a i białych ścian oberży nie było już widać. Cóżby też było, gdyby tak naprzykład zablądziła? Niech Bóg broni! Herman zarazby ją odszukał i do tyłu poprzednich wdzięczności przybyłaby jeszcze jedna wdzięczność. . Wreszcie, niema obawy — da ona sobie radę i powróci ze spaceru, zanim się w oberży pobudzą, i zanim nieobecność jej spostrzeżoną zostanie. No, ale gdyby zablądziła? — przypuszczać wszystko można — jakieby ją też spotkały przygody? Rozbójników już niema, niema też zamków zaklętych, ani pustelników żywiących się korzonkami; wieki średnie minęły niepowrotnie ze wszystkimi czarami i cudami I lepiej, że minęły! nużby spotkała jakiego pustelnika z twarzą ascetyczną i długą białą brodą i musiała się przed nim z grzechów swoich spowiadać... Hm, byłby strach, bo na dnie jej duszy, — ale! gdybyż tylko na dnie — całą jej duszę wypełnia grzech nienawiści, a za ten jako do kategorii śmiertelnych należący pustelnik kazałby jej ciężko pokutować... I zdawało jej się, że widzi surowy a przenikliwy wzrok starca świątobliwego i słyszy te wyrazy: — Duszo zbląkana, zastanów się, co czynisz:

droga, którą idziesz, do potępienia prowadzi. Azali zapomniałaś, co rzekł Bóg: „kochaj bliźniego twego, jak siebie samego”? — Ach, ojciec — odpowiedziała — gdy nasz Zbawiciel wyrzekł te wyrazy, Niemców jeszcze nie było wtedy na świecie.. A świątobliwy starzec odwrócił się od niej z taką zgrozą, że aż zaczęła drżeć z bojaźni.

Nowy wrzask pawia przerwał te jej marzenia i przywołał do rzeczywistości. Zaczęła się śmiać z siebie samej, a echo powtórzyło kilkakrotnie ten śmiech srebrny, czysty i dźwięczny. W zaroślach obok coś zaszeleściało; obejrzała się — nie było nikogo.

Szła coraz dalej, a w miarę jak szła zajęcie jej i ciekawość wzrastały. Droga przez park wiodąca wysypana była grubym zwirem i ubita, a na każdym jej skrucie coraz inne otwierały się widoki. Tu wierzby płaczące spuszczały długie włosy na ziemię, tam jodły dumnie strzelały ku górze, owdzie stał jesion samotny i zadumany, gdzieindziej znów poważna gromada świerków zasiadła.

— No, to już będzie koniec — myślała, dochodząc do gaju, zamykającego perspektywę; a wtem, o dziwy! ujrzała przed sobą zamek, prawdziwy zamek z dwiema basztami, z wielkimi gotyckimi oknami, na których były kolorowe malowidła, ze wspinałym krużgankiem — zamek kubek w kubek podobny do owego zamku szkockiego, gdzie siedziała uwięziona piękna Alicja!

Szerokie schody kamienne ciągnęły się wzdłuż budynku, a dwa lwy brązowe naturalnej wielkości strzegły wejścia; samo ich wejrzenie przejmowało dreszczem. Przed zamkiem były klomby z roślin liściastych i kwiatów, otaczające okrągły basen, z którego wodę piły cztery kamienne żaby potwornej wielkości.

Basia stała zdumiona, a usta jej machinalnie powtórzyły te słowa pięknego rycerskiego romansu:

„Był to duży czworobok podpierany przez sześć ogromnych arkad; po obu jego stronach stały dwie wielkie wieże niby strażnice. Gotyckie okna z kolorowemi szymbami patrzyły ponuro na wędrowca, a bluszcz dziki, wijący się po poczerniałym i podziurawionym od kul murze, otaczał gzemsy żalobną obwódka. Dwa olbrzymie kamienne potwory wejścia strzegły, a jeśli kto do zamku zbliżyć się ośmielił, patrzyły wzrokiem tak straszonym, że zuchwalec jak piorunem rażony uciekał. Tam to, tam niewinność, piękność i cnota trawiły dni w smutku i tęsknocie“.

Na schodach kamiennych zamku zielenił się tu i owdzie drobniutki mech, śnać oddawna nikt po nich nie stąpał. Byłże to zamek zaklęty? Basia postanowiła go obejść dookoła i wkrótce znalazła się w dziedzińcu. Kamienne podcienia stajen z wyrzeźbionemi na nich łbami końskimi pokryte były również gdzie niegdzie mchem i bluszczem, co malowniczy nadawało charakter. Na środku dziedzińca biła fontanna, i to był jedyny odgłos przerywający ciszę — zresztą pusto było i głucho, ani żywego ducha, Basia, rozglądając się ciekawie na wszystkie strony, zatrzymała wzrok na niewielkiej fantastycznej ruinie, nad którą sterczały resztki jakiejś wieżyczki. W ruinie tej były drzwiczki okute żelazem, a nad niemi zakratowane okienko. Co też to może być takiego? Podchodząc do tej ruiny, usłyszała jakieś głosy cienkie, piskliwe, a podniecona jej wyobraźnia znalazła w nich podobieństwo do westchnień i jęków. Dreszcz ją przeszedł. Widocznie tutaj ktoś cierpiał, ktoś był więziony!... Nie bez pewnego wzruszenia, połączonego z obawą, wspięła się na palce i zajrzała przez okienko do środka.

W samej rzeczy znajdowała się tam nie jedna, ale kilkanaście uwięzionych istot — widocznie jakaś księżniczka za-

klęta w kurę z kurczętami, tak jak owa królewna z bajki, co była przemieniona w kaczkę złotą.

Basia miała bardzo tkliwe serce, i na niczyje cierpienia patrzeć nie mogła. Godziłoż się te biedne istoty trzymać w więzieniu w taki piękny poranek? Ze strony władców zamku było to bardzo nieszlachetnie — nie mówiąc już, że taki sposób życia sprzeciwia się najprostszym przepisom higjeny. Nie, tak być nie może; przecież na wsi u babki bywają także kury z kurczętami, a cały boży dzień używają wolności i dobrze im z tem, ⁷bo tłuste i smaczne. Odsunęła rygiel i wypuściła całą familję na wolność, a nadto poczęstowała jeszcze dwoma kartoflami, o których sobie przypomniała i które, wyjąwszy z kieszeni, pokruszyła w rękę.

Gdy była tem zajęta, posłyszała skrzypnięcie drzwi zamkowych, podniosła głowę i zobaczyła jakiegoś mężczyznę średniego wzrostu, schodzącego powoli ze schodów.

— Jakiś przygarbiony staruszek — pomyślała — pewnie odźwierny; może się dowiem od niego, jak się nazywa ten zamek i do kogo należy.

Człowiek ten zobaczył ją zaraz i szedł prosto ku niej; gdy go już tylko kilkanaście kroków od niej oddzielało, o mało nie krzyknęła ze zdziwienia. Był to książę Fryderyk, ubrany niemal po zimowemu i cały poobwijany szalami.

— Co za miłe spotkanie! — powiedział, witając ją, a na twarzy jego niemal także odmalowało się zdziwienie — bardzo się z niego cieszę. Widzę, że pani zupełnie zdrowa po wczorajszych przygodach; ja, niestety, powiedzieć tego o sobie nie mogę. Nie spałem całą noc i dlatego wstałem tak rano; przytem w tej oberży takie są przeciągił wszystkiemi szparami wieje... Ale cóż to za wojsko oddawało pani honory, gdym nadchodził, a potem na mój widok pierzchnęło?

Basia nie zmieszała się wcale.

— Jest to moja najnowsza znajomość — odrzekła nie-

rada z obecności księcia i nieco urażona żartobliwym tonem, jaki wobec niej przybierał—znajomość, posiadająca dwie wielkie towarzyskie zalety: pierwsza, że nie naprzykrza się wcale swoją obecnością; druga, że rozumie po polsku...

— Doprawdy?

— Tak jest; czy mam księcia o tem przekonać? Kureczki, kurki — wołała na rozpierzchnięte po dziedzińcu kureczka — chodźcie tu, chodźcie; cip, cip, cip!

Skrzydlaty drobiazg wnet znalazł się u stóp Basi, a za dziećmi ostatnia przybiegła stara kura mocno zadyszana, kołyszając się poważnie z nogi na nogę. Właśnie była zajęta wykopywaniem tłustego robaka i dlatego się spóźniła. Stanąwszy na miejscu, trzepnęła skrzydłami i, podniósłszy łeb wysoko, zagdakała, jakby chciała mówić: oto jestem! Basia sięgnęła do kieszeni i, pokruszywszy znowu w palcach jeden kartofel, rzuciła gromadce.

— A co, czy nie mówiłam? — rzekła, spoglądając z triumfem na księcia.

Jego Wysokość uśmiechnął się.

— Tajemnica leży tu nie w słowach, ale w dźwiękach;— odrzekł — przemów pani do mnie tym samym słodkim głosem w swoim rodzinnym języku i dodaj mu pewien odcień życzliwości, a zobaczysz pani, że zrozumiem.

— Dobrze — odpowiedziała i, spojrzawszy nań ze współczuciem, rzekła: — Przeszkadza mi Wasza Książęca Mość i radabym się Jego dostojnej osoby pozbyć jaknajprędzej.

Odpowiedzią na te wyrazy był tłumiony śmiech w gęstwinie. Basia obejrzała się, ale nie zobaczyła nikogo; krzewy w tem miejscu były nazbyt niskie, aby mógł się między nie schować człowiek. Pomyślała, że w zamku tym są widocznie duchy i spojrzała niespokojnie na księcia.

— Litowała się pani nad mojem biednem zdrowiem — rzekł, patrząc na nią przenikliwie — w istocie, zasługuje ono

na współczucie. Doktor L...ner kazał mi przede wszystkim unikać wilgoci, a tutaj fontanna wytwarza mgłę wcale dla mnie niepożądaną. Czuję, jak mnie chłód przenika... może pójdziemy dalej?

— I owszem.

Wkrótce Jego Wysokość żalować począł, że nie zostali przy fontannie. Tam dalej, na tarasie stała cała flora cieplarniana ustawiona w klomby symetryczne i kąpała się w słońcu. Pomarańcze, cytryny, granaty, kaktusy, palmy, filodendrony — wszystko było w oczy bogactwem i różnorodnością barw. Basi rzadko zdarzało się widzieć takie rzeczy, to też wpadła w zachwyty trudny do opisu. Kwiaty tak pochłonięły ją całą, że byłaby zupełnie o swoim towarzyszu zapomniiała, gdyby jej co chwila uprzejmem jakim słowem o sobie nie przypominał. Biegała od wazonu do wazonu, klękała na ziemi, wpatrywała się w kwiaty błyszczącymi oczyma i wciągała w siebie ich zapach.

— Niech tylko księżę spojrzy, jaki przepyszny kielich! co za liście! albo ten bukiet z drobnych kwiatków złożony, albo te oto!

Biedny księżę przyśpieszał kroku, za ledwie jej mogąc nadążyć; już po raz dziesiąty przychyłał się, żeby dojrzeć jakiś malutki wazonik z mniejszą jeszcze roślinką, którą kazała mu podziwiać, i zaczynał uczuwać strzykanie w nodze. Spocił się przytem i zamoczył obuwie, chodząc za nią po trawnikach, których słońce nie miało jeszcze czasu wysuszyć po wczorajszym deszczu, a wiadomo, że przy spoceniu najłatwiej jest się zaziębić. Złorzeczył w duchu ogrodnikowi za to, że mu przyszło do głowy tutaj właśnie, a nie gdzieindziej urządzać wystawę.

— Jeżeli to pani nie zrobi różnicy, — odezwał się narreszcie — to siądźmy na tej oto kamiennej ławeczce. Czuję się zmęczony.

„Gdy siedziała na kamiennej ławeczce — pisze niewia-
domy autor rycerskiego romansu — przyszedł do niej
pan zamku Arwid, usiadł obok i rzekł: Alicjo, oddaj mi
twoją rękę; ten zamek i wszystko, co w nim jest, bę-
dzie twoje. A Alicja odpowiedziała; Nie mogę, bo
kocham cudzoziemca Alaryka”.

— Dziwna kobieta, — myślała Basia — żeby też ko-
chać cudzoziemca!

Przypomniało jej się wczorajsze „dobranoc”, i na twarz
jej wystąpił mocny rumieniec. Czuła dotąd na rękę gorący
pocałunek; piekł on ją niby żelazo rozpalone. Schwyciła, za
koniec fartuszka i zaczęła znowu trzeć rękę aż do czerwono-
ści.

— Co pani jest? — zapytał książę, zdziwiony ruchem,
którego nie umiał sobie wytłumaczyć.

— Wąż mnie ukąsił — odrzekła obojętnie.

— Wąż! — zawołał, zrywając się z ławki i oglądając
dokoła niespokojnie — przypominam sobie teraz, że mi mó-
wiono, iż w tym parku są węże. Chodźmy stąd.

— Niech się książę nie obawia, to było wczoraj... nie
w parku.

— I pani mówi o tem tak spokojnie! A czy pani wie,
że ukąszenie węża bywa czasem śmiertelne?

— Wiem, — odrzekła — ale tym razem niema niebez-
pieczeństwa.

Wyciągnęła rękę i pokazała mu małą plamkę czerwoną,
która już poczyniała błędnąć.

— Ach, to nie musiał być wąż — mówił, przypatrując
się ręce, która acz nie wypieszczona, przecież kształtem swoim
mogła służyć za wzór rzeźbiarzowi — to musiał być jakiś
złośliwy owad.

Basia nic nie odpowiedziała.

Słońce, posuwając się coraz wyżej po niebie, zaświeciło

prosto w gotyckie okna zamku i, przedzierając się przez kolorowe szyby do wnętrza, rzuciło na jego poczerniałe ściany odbicie tęczy kolorów. Herb nad bramą, trzymany przez dwóch rycerzy zakutych w zbroję, zdawał się o dawnych czasach dumać poważnie.

— Piękny zamek — odezwała się Basia, patrząc na wysoką basztę, której poszczerbione gzemsy rysowały się ostro na błękitnym tle nieba — musi niejeden wiek pamiętać...

-- Cieszy mnie to niewymownie, że się pani podoba — rzekł książę z galanterją — mam bowiem zamiar go nabyć i właśnie w tym celu go oglądałem. Odnowię tę ruinę w stylu staro-normandzkim, do którego jest zbliżona. Mniemam, że tak podobałby się pani jeszcze więcej.

— Nie rozumiem, co za związek z nabyciem mieć może mój gust osobisty? — wtrąciła.

— Zanim odpowiem na to pytanie, — odparł po chwili milczenia — muszę najpierw przeprosić panią za kilka słów, jakimi wczoraj w kopalni mimowolnie panią dotknąłem. Proszę mi wierzyć, że to było mimowolne — powtórzył, widząc wyraz niedowierzania na jej twarzy — zapomniałem, że pani jest Polką.

— Czyż wyglądam na co innego? — spytała.

Książę popatrzył na nią.

— Jakkolwiek formy, pod którymi piękno się objawia, są bardzo rozmaite, przecież istota jego w całym świecie jest jedna i ta sama — powiedział poważnie. — Piękność jest sama z siebie kosmopolityczną i chociaż wytwarza mnóstwo typów odrębnych, przecież tam, gdzie się zbliża do doskonałości, niema zwykle żadnych cech narodowych. Niech mnie to przed panią wytłumaczy. Pomyłkę moją może usprawiedliwić jeszcze i ta okoliczność, że mało znam Polek.

— W istocie — odrzekła, wstając — ze słów tych widzę, że nas książę nie zna i ocenia na miarę kobiet germań-

skich. Pojęcia niewiast naszych są takie: jeżeli mężczyzna ma dla kobiety szacunek, to jej w oczy nie chwali. Komplement uważa się u nas za obrazę. Pozwoli księżę zatem, że się oddalę...

Jego Wysokość osłupiał na te słowa.

— Ależ pani! — zawołał, zastępując jej drogę — przysięgam na honor, że nie chciałem pani obrazić. Księżę L...stein rzadko kiedy odwołuje się do swego honoru, ale gdy to czyni, trzeba mu wierzyć! Doktor L...ner powiada, że Polacy mają krew burzliwą — ja zaś widzę, że w żyłach Polek zamiast krwi ogień płynie! Jakkolwiek to, co od pani słyszę o pojęciach niewiast polskich, wydaje mi się przesadzonym, przecież przyrzekam uszanować je wobec pani, chociaż wyznaję, że mi to przyjdzie nie bez trudności. Nie trzeba brać za złe człowiekowi, gdy czegoś nie wie... Niech pani siada, bardzo proszę. Przecież chwilę, krótką chwilę rozmowy podarować mi pani może...

Pierwszy raz słyszała księcia mówiącego z taką żywością; słowa jego przytem i ton, jakim były wypowiedziane, miały cechę szczeroci. Usiadła i zaczęła bawić się liściem ricinusa trzymanym w ręku. Księżę podniósł z ziemi swój pled, który z niego opadł, i usiadł obok niej, ale zamiast okryć nim sobie nogi, jak to zawsze miał zwyczaj czynić, rzucił go na poręcz ławki. Zapomniał o reumatyzmie, patrząc na twarz dziewczęcia pociągającego swoim oryginalnym wdziękiem, w którego oczach obok dziecinnej niemal prostoty jaśniał majestat, mający w każdej chwili na swoje rozkazy pioruny i błyskawice. Ubiór wieśniaczy podnosił jeszcze jej piękność, a chustka czerwona nie przykrywała złotych włosów, splecionych w dwa warkocze i spadających swobodnie na plecy.

— O czym to mówiliśmy? — zaczął poprawiając okulary — aha, o zamku. Chciałaby go pani posiadać?

— Chciałabym, — odpowiedziała — ale dlaczego księżę mnie o to pyta? Poco mówić o tem, co jest niepodobne do spełnienia?

— Niepodobne — powtórzył, śledząc bacznie wyraz jej twarzy — niema nic niepodobnego na tym świecie... Spotkałem dziś w tym parku dobrą wróżkę, tę samą, co dała kopciuszкови szklany trzewiczek, który jej szczęście przyniósł — dodał z uśmiechem — musi pani znać tę historję? Otóż ona powiedziała mi, że gotowa jest ofiarować pani ten zamek pod dwoma warunkami.

Basia spojrzała mu bystro w oczy.

— Jakież są te warunki? — spytała obojętnie.

— Nie trudne wcale do spełnienia, jak się zaraz pani o tem przekona pierwszy, opuścić swój wiejski dworek w Polsce i w zamku zamieszkać — drugi, zaślubić jego przyszłego właściciela...

Nie można było widzieć, jakie wrażenie zrobiły te słowa na Basi; liść ricinusa zasłaniał jej twarz zupełnie. Księżę dostrzegł jednak, że liść ten drgnął. Poczem ręka trzymająca liść zaczęła wachlować twarz gwałtownie, co sprawiało taki wiatr, że Jego Wysokość aż myślał, czyby nie należało cofnąć się nieco w tył i gardło sobie szalem lepiej osłonić. Panowała przez chwilę cisza, przerywana tylko dochodzącym zdaleka szelestem wody, spadającej do basenu.

— A jeżeli serce moje jest tak daleko od serca pana zamku, jak biegun północny od południowego? — odezwała się nareszcie.

— O to mniejsza — rzekł, ośmielony temi słowy — serce powoli znajdzie się na właściwym miejscu; człowiekowi, który prosi o rękę pani, chodzi teraz tylko o to, abyś mu los swój powierzyła z ufnością i pozwoliła się kochać. Miłości teraz nie żąda; wie on, że to byłoby niepodobnem. Będzie czekał cierpliwie, aż serce samo skłoni się ku niemu.

Basia milczała.

— Wróżka — mówił coraz pewniejszy powodzenia —
gdym jej o przyszłość pani pytał, pokazała mi czarodziejskie
zwierciadło. I widziałem panią to przechadzającą się po ko-
mnatach zamkowych w bogatej powłóczystej szacie i nasy-
cającą oczy arcydziełami dłuta i pendzla, to wydającą rozkazy
służbie uprzedzającej każde pani skinienie, każdy najwyszu-
kańszy nawet kaprys—to spoczywającą w parku na ławce,
albo rzucającą chleb łabędziom... Potem, gdy kraj, którego
pan zamku był jedynym dziedzicem, utracił swego władcę,
widziałem panią siadającą z mężem do złocistej ośmiokonnej
karety i wjeżdżającą do bogatego miasta przy radosnych okrzy-
kach ludu. Słyszałem hymny w kościele przy blasku świateł
jarzących, a potem... potem widziałem panią w purpurowym
płaszczu i książęcej koronie, przyjmującą hołd swojego
dworu..

Liść ricinusa, zasłaniający ciągle twarz panienki, zaczy-
nał go niecierpliwie; wyciągnął rękę po dłoń, którą już uważał
za swoją, ale dłoń ta cofnęła się i liść opadł na kolana.

— Nie, rzekła stanowczo — nie dla mnie taka przy-
szłość! Nie umiałabym żyć w tych murach grubych na trzy
łokcie, do których światło dzienne nie dochodzi takim, jakim
je Pan Bóg stworzył, ale na różne kolory ufarbowane... Ach,
jak tam musi być ponuro, jak smutno! aż strach pomyśleć—
zdawałoby mi się, że jestem w więzieniu. O! u nas inaczej—
mówiła, zapalając się—ściany dworku białe jak śnieg, słońca
wszędzie pełno, słońca tyle, że aż się trzeba przed niem cho-
wać; przez mury tak grube jak te żaden odgłos z zewnątrz
nie dochodzi do środka, a w drewnianych ścianach na-
szego dworku słychać wszystko, co się dzieje na dworze, jak
ptaki śpiewają i jak liście szumią na drzewach. Człowiek,
czując wszystko dokoła siebie żyjące, czuje, że żyje, i jest mu
na sercu wesoło. Tutaj godziny byłoby zamało, ażeby obejść

wszystkie komnaty, tam dam dwa kroki naprzód, dwa w tył, i już jestem wszędzie, gdzie chcę być. W sukni ogoniastej nie umiałabym chodzić; co to z tem za kłopot być musi! A to jakby kto kulę sobie uwiązał u nogi: nie mogłabym swobodnie biegać po łąkach i lesie. Służba, uprzedzająca każde moje skinienie, doprowadzałaby mnie do rozpacz; wartoż byłoby żyć, gdyby nawet pogniewać się czasem i pogrymasić nie było o co? A etykieta dworska — miły Boże, a toż ona monarchów w niewolników zamienia! Coby na to cały dwór powiedział, gdyby mi jak dzisiaj przysła fantazja oknem wyjść do ogrodu!

— Pani dziś wyszła oknem?—zapytał księżę zdumiony.

— Mój Boże, cóż w tem tak dziwnego? lubię drogi krótkie i proste. Albo gdyby mi się tak jak dziś zachciało najeść kartofli pieczonych w popiele...

— Pani dziś jadła kartofle pieczone w popiele? — powtórzył zdumiony jeszcze bardziej.

— Tak jest. Wysłałam naczczu i zachciało mi się jeść; napotkałam śniadanie, które sobie przygotowali pasterze, i posiliłam się. Zdaje mi się, że to było bardzo naturalne. A jakie były wyśmienite! mam kilka w kieszeni, może księżę pozwoli?

Wyjęła parę i podała mu na dłoni; były jeszcze ciepłe.

— Dziękuję pani; mój osłabiony żołądek nie znosi takich rzeczy — odpowiedział z westchnieniem, jakie wy dobył mu z piersi widok tego zdrowia młodzieńczego zahartowanego na wszystko.—Ale mów pani dalej, mów, proszę.

Ręka z kartoflami schowała się na powrót do kieszeni.

— Wiedzieć, że każdy mój ruch, każdy krok jest wszystkim wiadomy — mówiła, ocierając posmolone palce o fartuszek—żyć z tą myślą i słyżeć od rana do wieczora, że „Jej Księżęca Mość dzisiaj dwa razy kichnąć, a raz ziewnąć *naczyła*”—to doprawdy możnaby zwarjować. Takie życie za-

biłoby mnie. Ja kocham swobodę i chcę być wolną jak ptak! Blask książęcej korony mnie nie olśniewa. U nas w Polsce, gdzie każdy szlachcic miał prawo do korony, królową mogła być każda szlachcianka... Co jabym robiła cały dzień na tronie? Zanudziłabym się na śmierć! Etykieta nie pozwoliłaby mi uczyć dzieci wiejskich w dzień powszedni, ani śpiewać w niedzielę na mszy z dziewczętami... Wołę ja moje własne królestwo. Książę się śmieje? Nie żartuję wcale; jestem królową w mojem państwie. Wieśniacy nie składają mi wprawdzie hołdów, ale mnie kochają — co się podobno rzadko zdarza monarchom... Mam też i komu rozkazywać: dzieci dałyby się za mnie pozabijać, a kury i gołębie zlatują się ze wszech stron, gdy się tylko ukażę. Daję też czasem posłuchania. Wróżka pokazała Waszej Książęcej Mości zwierciadło fałszywe: ja miałabym opuścić ściany, w których wzrosłam i wychowałam się, wioskę, w której mnie zna każdy krzak, każdy kamień? Nigdy!

— Więc pani tak bardzo kocha swoje ojczyste krzaki kamienie?

— Bardzo! — odpowiedziała gorąco, a w oczach jej lzy błysnęły. — Trzy tygodnie dopiero minęło od czasu, jak stamtąd wyjechałam, a serce moje rwie się do chwili, gdy stary Mateusz otworzy wrota na odgłos trąbki pocztowej, a domownicy wybiegną, wołając: panienka przyjechała! Poczciwi ludziska! gdyby ich książę znał, nie mógłby ich nie kochać. Psy przybiegną z radosnem szczekaniem, będą mi ręce lizać i na piersi skakać. Potem, gdy kościelny zadzwoni na Anioł Pański, a żaby w stawie zaczną odmawiać wieczorne pacierze, ludzie powrócą z pola. Dopieroż to będzie okrzyków, a dziwów, a pytań!

— Czy jednak nie wartoby opuścić tych starych znajomych choćby dlatego, aby móc czynić dobrze? Serca szlachetne zawsze są do poświęceń zdolne. Niech Pani pomyśli,

ile nędzy uśmierzyć, ile łez otrzeć, ile szczęścia stworzyć mogłaby, mając bogactwo i władzę!

Oczy Basi przy tych słowach zajaśniały blaskiem promienistym, ale w tejże chwili strzelił z nich piorun gniewu.

— Słowa Waszej Księżęcej Mości — rzekła, wstając, — przypomniły mi jeden ustęp z Pisma Świętego:

„I wyprowadził Go na górę wysoką bardzo i ukazał mu wszystkie królestwa świata i chwałę ich, i rzekł: To wszystko dam tobie, jeśli upadłszy uczynisz mi pokłon. A Chrystus...“

Zamilkła.

— Dokończ pani, dokończ.

„A Chrystus rozgniewawszy się rzekł: Odstąp precz ode mnie, szatanie!...“

— Ach, mój Boże, słońce już tak wysoko! Zagadałam się, a tu czas upływa. Ciekawam, gdzie się podziała moja nowa znajomość? Kureczki, kurki, cip cip, cip! Moje uszanowanie Waszej Księżęcej Mości...

Złożyła mu ukłon głęboki i odeszła wolnym majestatycznym krokiem, a za nią pociągnęła mała armja skrzydlata, prowadzona przez starą kurę, która wkrótce wysunęła się naprzód, gdakając poważnie niby herold, obwieszczający ludowi: Panowie, królowa!

Na twarz księcia wystąpiły plamy czerwone wzrok jego długo ścigał odchodzącą, której szlachetne czoło jaśniało taką dumą, jakby w samej rzeczy dźwigało koronę królewską,



ROZDZIAŁ XII

O PRZYPADKU, JAKI SIĘ PANIENCE ZDARZYŁ ZUPEŁNIE
NIESPODZIANIE I O TRZYDZIESTU SREBRNIKACH.



Majestatyczny pochód Basi trwał pōty, pōki drzewa nie zasłoniły jej zupełnie przed księciem Fryderykiem. Gdy nareszcie znalazła się sam na sam z sobą, majestat pierzchnął, a z nim i spokój olimpijski, który mu towarzyszył.

Nie bez tego, żeby fakt, iż przyszły dziedzic udzielnego księstwa złożył jej u stóp koronę, nie odurzył jej trochę, ale to miało miejsce podczas jego z nim rozmowy i trwało bardzo krótko. Jedyne uczuciem, jakie pozostało w duszy panienki, było oburzenie. Ten schorowany Niemiec chciał ją sobie kupić za cenę księżęcej korony; nie żądał nawet miłości, chciał ją tylko posiadać — i mniemał, że w zamian za możność panowania nad krajem, od którego większe obszary posiada niejeden magnat polski, będzie ją mógł wziąć jak swoją. A jak on do niej przemawiał! zupełnie jak do kopciuszka lub do dziecka: mówił jej o łabędziach, sukniach ogoniastych, wspa-

niałości komnat, i tam dalej. Dzieciom się takie rzeczy prawi, a nie ludziom dojrzałym, szesnastoletnim. Nieznośny Niemiec! Wolałaby zaślubić króla pruskiego, choć był starym już dziadem—bo, będąc królową pruską, nosiłaby w fałdach swojego płaszcza Marchję Brandeburską; Herman von Walden byłby jej poddanym... Coby to była za rozkosz widzieć schylone przed sobą to dumne czoło! I nie tylko czoło—przed królową zgina się kolana... O, wówczas dałaby mu uczuć swoją władzę, temu człowiekowi, co był świadkiem tylu jej upokorzeń...

Tak dumając, zrywając tu i owdzie po parę kwiatków i układając sobie z nich bukiet, wydostała się wkrótce z gąszczy i znalazła w ogrodzie warzywnym, który przebywszy, jak sądziła, skróci sobie o wiele powrót do Seidenberga—a wracać czas już był wielki. Z prawej strony stały budynki cieplarniane, z lewej rozciągały się inspekta; na niektórych okna były popodnoszone, a z wielu zupełnie pozdejmowane. Skrzydłata gromadka, która aż tutaj za Basią przywędrowała, ruszyła prosto na zagony, gdzie melony i arbuzy rozsiadły się szeroko, porozkładawszy jeszcze szerzej swoje liście z związkami owoców, i już szarpać młodziutkie listeczki, które zaledwie na świat się wychyliły, już kopać w tłustej ziemi i wyszukiwać robaków...

— Donnerweter! — zabrzmiał nagle głos grzmiący — jak mi Bóg miły, dziewczyno, tak ci łaźnię sprawię! Nie ujdiesz mi dzisiaj razem ze swemi kurami, chyba nie jestem Fiszer. Dla was będę pielęgnował melony i siał sałatę? Bodaj was jasne pioruny zatrzasy!

Słowom tym towarzyszył groźny gest.

Basia osłupiała na taki traktament; natychmiast jednak zrozumiała, że to ubiór jej wieśniaczy wprowadził w błąd ogrodnika i że niezawodnie słaby miał wzrok, czego dowodził zielony daszek nad oczami. Nie było jednak czasu na tłumaczenie się. Stary Fiszer, schwyciwszy pręt leżący na ziemi,

biegł ku niej, wywijając groźnie tem narzędziem sprawiedliwości. Niewiele myśląc, Basia uniosła nieco spódniczki, aby jej nie przeszkadzała w ucieczce, i rozpoczęła odwrót. Fiszer puścił się za nią w pogoń, klnąc i łając. Niestety! odwrót był zamknięty. Z przerażeniem spostrzegła, że pędzi prosto na parkan tak wysoki, iż przebyć go jednym susem ani podobna, a tu Fiszer tuż, tuż już ją dogania, już ją niemal chwyta; jeszcze chwila, a przyprze schwytaną do parkanu. Basia zrobiła tak jak robią nieraz zające, gdy hart tuż — zwróciła się nagle w bok i, nim Fiszer zdołał się zorientować, skoczyła na drzewo i w mgnieniu oka wdrapała się na sam wierzchołek. Tylko szelest gałęzi i kilka liści strąconych wskazywały, że tam jest winowajczyni.

Z kolei Fiszer osłupiał.

— A to szatan, nie dziewczyna! — zawołał — lazi po drzewach jak kot. Złaż mi natychmiast! — krzyknął — Czy słyszysz?

— Będziesz czekał do dnia sądnego, jeżeli myślisz, że ci się poddam, ty przebrzydły Niemcze — mówiła do siebie Basia.

— Słuchaj, mała — wołał stary, trzęsąc się z gniewu — nie przyprowadzaj mnie do ostateczności. Schodź, kiedy mówię, pókim dobry, a przyrzekam, że ci nic złego nie zrobię. Posiedzisz tylko w kuzie, póki twój ojciec nie zapłaci mi okrągłego talara. Złaż, czy słyszysz?

Basia milczała; przemyśliwała właśnie w jakichby słowach rozpocząć układy i stan rzeczy wyjaśnić. Ale zaledwie się odezwała, stary zawołał, przykładając rękę do ucha:

— Hę? co? Czemu nie gadasz głośniej, wiesz przecie, że nie dosłyszę.

— Oho — rzekła do siebie — zerwałabym wprzód sobie piersi, zanimbym się z nim dogadała. Mówię, — wrzasnęła z całej siły — żebyś tu po mnie przyszedł.

Ale wejść na drzewo, gdy się nosi siódmy krzyżyk na plecach, nie jest tak łatwo; gdyby miał choć o piętnaście lat mniej, dałby radę tej hardej dziewczynie, co się z niego naigrawała. Ta właśnie okoliczność, że jej nic zrobić nie mógł—i że gdy on jej tutaj pilnował, kury tam dalej gospodarowały w melonach, doprowadzała go do wściekłości. Biegał naokoło drzewa, i to przyskakując doń, to odskakując, groził pięścią i wstrząsał w powietrzu prętem, klnąc na czem świat stoi.

Niedoszła księżna L...stein wytrzymywała obłączenie z godnym podziwieniem męstwem i, siedząc w swoim więzieniu z zielonych gałęzi, dumiała nad zmiennością losów ludzkich.

Rozmyślania te przerwał odgłos stąpań na ścieżce. Serce Basi uderzyło niepokojem. Wyjrzała przez szczeliny swego więzienia i zobaczyła najprzód psa, a potem niebieską bluzę i czarne jak heban włosy, wymykające się z pod górniczej czapeczki. Tego tylko jeszcze brakowało, żeby on zobaczył ją w tem położeniu. Zeskoczyć z drzewa i zniknąć, było pierwszą myślą Basi — ale mogłaż uskutecznić ten zamiar, pilnowana przez Fiszera, uzbrojonego w groźne narzędzie? Co robić zatem? Postąpiła tak jak postępują ci wszyscy, którzy nic przeciwko przemagającej sile począć nie mogą. Uzbroiła się w rezygnację i czekała—czekając zaś, polecała się Bogu, szepcząc po cichu słowa psalmu:

„Będziesz bezpiecznie po źmijach zdradliwych
I po pałalcach deptał niecierpliwych;
Na lwa srogiego bez obrazy wsiedziesz
I na ogromnym smoku jeździć będziesz”.

— Czego tak upatrujecie, ojcze, na drzewie? — pytał Herman, którego widok w tej chwili był mniej pożądanym Basi, niżby mógł być widok „lwa srogiego” i „ogromnego smoka”.

— At — odrzekł z oburzeniem stary, który kazał sobie dwa razy powtórzyć pytanie, zanim je zrozumiał — dziew-

czyzna weszła mi z kurami w szkodę. a gdy mój skórę chciał dla nauki przetrzepać, uciekła przede mną na drzewo i stamtąd się jeszcze ze mnie natrzęsa. Ale nie podaruję jej tego, jakem Fiszer. Ach, chłopcze; jeżeli masz Boga w sercu, wypędź te kanalję z inspektów, bo mi na nic zmarnują moje melony! Ach, Jezus! tak się pięknie wiązać zaczęły...

— Dlaczegoż ich nie wypędzicie sami, ojcze Fiszer?

— A boby mi się ta szkodnica wymknęła; to ci zwinne jak kot, a chyże jak koza. Mówilem jej tyle razy w dobry sposób: Hane, Hane, zamykaj swoje kury, bo nic przed niemi utrzymać nie mogę, każde ziarnko wygrzebią... Nie. Poczekaj, dam ja ci pamiętnel!

Herman na dźwięk imienia córki górnika bystro spojrział w górę i, nic nie odpowiedziawszy staremu, pobiegł za kurami, a wypędziwszy je z trudem niemałym z inspektów, wrócił pod drzewo.

— Wiele szacujecie sobie, ojcze, szkodę?—zapytał, krzyżąc staremu w ucho jak mógł najgłośniej.

— Talarka, jak Boga kocham nie mogę mniej, jak talarka. Od czasu, jak je trzyma w kurniku zamkowym odźwierna, chrestna matka dziewczyny, która im jeść daje, zostawia często drzwi otwarte, i te kanalje wylażą i przychodzą tu do mnie gospodarować.

— A czemuż Hane nie trzyma kur u siebie w domu?

— A licho ją wiel! Powiada, że od stuku oskardów i kilofów nie mogą na jajach siedzieć. Dziewczyna narobiła mi już szkody niemało. Proszę patrzeć — dodał, pokazując kwiaty rozsypane pod drzewem — moje *werbeny*, moje *kolusy* i *althernantery*, moje *heljotropy*, *pelargonje* i *echeverje*; pozrywała co najrzadsze i uszkodziła najpiękniejszy *ricinus*. Czekał, psotnico! A nie możesz to przyjść do starego, pocałować w rękę i powiedzieć: Panie Fiszer, proszę o kwiatek do włosów. . człowiekby tam coś i dał, żeby się

pozbyć. To istna plaga te dziewczęta; na co to Pan Bóg stworzył?

— Ej, ej, ojciec Fiszer, nie myśleliście tak, kiedyście byli młodzi!

— Et, za moich czasów dziewczęta też były inne, ciche, potulne, a nie takie czupurne jak dzisiaj. Jak się to dostanie do ogrodu, to potem on wygląda istnie jak po napa-dzie Francuzów.

— A, czy puścicie ojciec dziewczynę, gdy wam szkoda zostanie zapłacona?

— A niech sobie idzie — ofuknął — niech jej moje oczy więcej nie oglądają! A ty co jesteś za jeden, że za nią płacisz? — zapytał zdziwiony, gdy mu Herman wsunął w rękę srebrny pieniądz.

— Jestem jej narzeczonym.

— Hm, hm — mrucał stary spoglądając podejrzliwie na jego gładką twarz i pańską postawę.—Johan nic mi nie mówił, że Hane ma iść za męż; ale co mi tam do tego, kiedy płacisz. Weź ją sobie, ale trzymaj krótko, bo to rogata dusza; takie trzeba uczyć rozumu. A przykaż jej—dodał, wracając się jeszcze—żeby mi kur nie puszczała do ogrodu, bo ją smarowanie nie minie.

Odszedł, pomrukując; Herman sam został pod drzewem. Spojrzał w górę — panowała tam cisza uroczysta; ani jeden liść się nie poruszył.

— No, Hane—odezwał się, poczekawszy chwilę — zejdź i pozbieraj swoje kwiaty.

Milczenie.

— Zejdź śmiało, moja mała, Fiszer ci już nic nie zrobi.

— Kto panu pozwolił mówić do mnie „ty”? — przemówił gniewny głos z wierzchołka drzewa.

— Ach, to pan! Ależ na Boga; nie mogę pojąć do



...nim zdołał się zorientować, skoczyła na drzewo. (str. 181)

Prawdy, jakim sposobem stała się pani ofiarą tak grubej po mylki!

— Tym samym, który panu pozwolił bezkarnie uchodzić za narzeczonego Hane.

— Prawda! zapomniałem o tem, że pani ma wieśniaczy ubiór na sobie..

— Aha...

— Cieszę się, że przybył w porę, i że ta przygoda dała mi sposobność powiedzenia pani „dzień dobry” wcześniej niż się spodziewałem.

— Ale ja się nie cieszę! — wybuchnęła Basia — sam anioł z nieba straciłby cierpliwość, gdyby ktoś ustawicznie występował wobec niego w roli wybawiciela... Od czasu, jak mam zaszczyt znać pana, niewolno mi ani spaść z osła, ani się rozbić o skałę, ani zabląkać się w drodze, ani zachorować. Pod jakąkolwiek postacią zbliża się do mnie niebezpieczeństwo, już pan von Walden zjawia się jak *Deus ex machina* i wybawia! Skąd taka troskliwość i opieka? Oświadczam panu, że ja się niebezpieczeństw nie lękam, że za nimi przepadam, że bez nich życia nie pojmuję. Walczyć z nimi przy muzyce wichrów i przy świetle błyskawic, to mi życie, to mi raj! Prawda, ta okoliczność, że weszła w szkodę i zmuszona była szukać ucieczki na tem drzewie, postawiła mnie w kłopotliwym położeniu — ale nie czułam się bynajmniej zrozpaczona i ani myślałam kapitulować. I kiedy sobie robię w najlepsze przegląd okolicy à vol d'oiseau, pan von Walden ukazuje się i wykupuje mnie z niewoli za trzydzieści srebrników! Wdzięczność dla pana już mi kością w gardle stanęła, a tu przybywa nowe dobrodziejstwo, za które trzeba dziękować. Ach, kiedy pana zobaczyła, przyszła mi ochota schować się przed panem gdzieś głęboko — choćby w nurty tej wody, co płynie tam daleko..

Herman zadrżał.

— I tambym panią znalazł — rzekł namiętnie i, przybierając ton poważny, dodał: — W charakterze dobroczyńcy pani występować nie mogę, to bowiem, co zrobiłem, zrobiłem dla Hane, nie dla pani.

— Więc gdyby pan był wiedział, że to ja siedzę na tem drzewie, nie byłby się pan wdawał w tę sprawę? — spytała, dotknięta do żywego.

— Nie. Wiem, że pani znalazłaby dość męstwa do obronienia się w tej twierdzy napowietrznej i dość siły do zmuszenia Fiszera, aby odstąpił od oblężenia. Rozum pani i takt polityczny nieraz już miałem sposobność podziwiać.

Basia skrzywiła się.

— Mocno żałuję, że zamiast Hane mnie pan znalazł tutaj; wyrzekła tonem lodowatym — taki zawód bywa zawsze przykry...

— O tak, ma pani słuszość — mówił, rwąc na drobne kawałki jeden z kwiatów podniesionych z ziemi; — przykrem jest zawsze, gdy człowiek znajduje co innego, niż się spodziewał, gdy liczył na dobre słowo i uśmiech, a znajduje niechęć. Taki zawód jest więcej niż smutny, jest bolesny... zwłaszcza gdy ten, co jest przyczyną zawodu, poi zawiedzianego żółcią i octem... Ale nie o tem chciałem mówić, — dodał, rzucając na ziemię poszarpane kwiaty — musi pani być dobrze tam, na wysokościach, skoro pani dotąd nie zesłała na ziemię, chociaż nic temu nie stoi na przeszkodzie?

— Bardzo dobrze — brzmiała odpowiedź.

Co tu obwijać w bawelnę: nie było Basi dobrze na gałęzi, ale miała powody nie śpieszyć się z powrotem. Powody te stanowiły grube skórzane trzewiki i kolorowe pończochy, co wszystko nadawało nogom powierzchwość wcale nie idealną. Uczynić je niewidzialnemi przy zejściu z drzewa nie było sposobu — pokazać zaś tak jak były, nie chciała. Ko-

biety rzadko kiedy zapominają o tem, jak się wydadzą. Basia była już kobietą.

— Co do mnie, — mówił dalej młodzieniec — nie powiem, aby mi było dobrze tu na ziemi samemu.. W duszy człowieka jest zawsze coś, co go pcha ku górze. Czy mogę pani złożyć wizytę w tym zielonym namiocie?

— Niema mnie w domu.

— Czy tak? a więc zaczekam na powrót.

Basi zabrakło cierpliwości.

— Dzięki panu nie jestem nigdy panią własnej woli, — rzekła ze złością. — Doprawdy, byłabym panu bardzo wdzięczną, gdyby pan do wszystkich wyświadczonych mi dobrodziejstw raczył dolożyć jeszcze jedno.

— Co takiego? Słucham.

— Zostawić mnie samą.

— Czy to nieodwoalnie?

— Nie mam zwyczaju mówić dwa razy — odparła z godnością.

Herman chciał odpowiedzieć, gdy wtem na jego głowę posypał się z góry grad kul i jednocześnie doleciał go z wierzchołka cichy jęk. Zdziwiony tym niespodzianym atakiem, podniósł z ziemi jedną z kul i zauważył, że jej powierzchnia szara, chropowata podobna jest bardzo do kartofla piezowego w popiele; nacisnął ją palcami i wyszedł ze środka żółty, woniejący miękisz.

— Co za błogosławione drzewo! — zawołał, skosztowawszy. — Pojmuje teraz, że można na niem długie oblężenie wytrzymać.

Schylił się i zaczął pilnie wyszukiwać w trawie te kartacze nowego pomysłu. Gdy był tem zajęty, liście na drzewie zaszumiały i Basia zeskoczyła na ziemię. Miała minę tak zgnębioną, że jej się Hermanowi aż żal zrobiło. O! gdyby był wiedział, jak zlorzeczyła w duchu sukni Hane i dziurawej kie-

szeni, swemu rannemu apetytowi i nieszczęśliwej myśli zrobienia sobie zapasu z owych kartofli.

— Czemuż pan ze mnie nie szyci? — przemówiła z ponurem rozdrażnieniem. — Stałam się śmieszna, i można się zabawić moim kosztem... Niech się pan cieszy; w tej chwili osiągnął pan nade mną triumf zupełny!.. No, i dlaczegoż pan z tego nie korzysta? Stoję przecież bezbronna, a niema tutaj nikogo, coby się za mną ujął.. Naigrawanie się z nieszczęścia będzie jednym więcej rysem niemieckiej szlachetności!..

Przy ostatnich wyrazach głos jej zadrżał i dwie duże łzy potoczyły się po twarzy.

— Szycić z pani? — powtórzył Herman, marszcząc brwi. — Niech mnie Bóg skarże, jeślibym nie roztraskał głowy pierwszemu, coby się na to ośmielił!.. Nie masz pani nikogo coby się ujął za tobą... O, panno Barbaro, blisko pani jest przyjaciel jeden serdeczny, gotów wszystko dla twego szczęścia poświęcić, choć go wrogiem swoim nazywasz i odpychasz tak szorstko!.. Czyż serce pani nic o tem nie wie?

Basia spuściła oczy. Jej sercel... serce jej czasem coś tam i przeczuwało; ale lękała się zastanawiać nad temi przeczuciami głębiej... W tej chwili jednak zapomniała swoich rozumowań. Porwana namiętnym tonem słów młodzieńca, wyciągnęła do niego obie ręce.

— Panie von Walden — rzekła z prostotą — Czuję, że to, co pan powiada, jest prawdą. Coś mi mówi, że mam panu ufać powinna. Niech pan zapomni o tem, com mówiła do pana tam na wysokościach... Jakie pan musi mieć o mnie złe wyobrażenie! Przedwczoraj rano oblałam pana wodą, dziś... Gdyby pan wiedział, jak się tego wstydzę...

Herman uśmiechnął się.

— Ale ja taka znów bardzo zła nie jestem, — mówiła, rumieniąc się. — Czuję, że we mnie są dwie sprzeczne istoty: jedna zła, druga dobra, i obie toczą z sobą ciągłą walkę; to

ta, to tamta zwycięża. Otóż, jeżeli panu powiem kiedy co przykrego, niech pan na to nie zważa, bo to sprawa tamtej, złej, z pod której wpływu chcę się wyswobodzić. Zapomni pan?

— Już zapomniałem — odrzekł i ścisnął jej rękę tak mocno, że o mało nie krzyknęła. Chciał jej jeszcze powiedzieć, że gdy tak mówi do niego, on zapomina o wszystkim, ale doświadczenie szepnęło mu, że zbytym pośpiechem można wszystko popsuć.

Gdy jednak w jej czarnych, wilgotnych jeszcze oczach wyczytał głęboką skruchę i szczery żal za winy, przestał być panem siebie i obie rączki, spoczywające z ufnością w jego dłoniach, namiętnie do ust przycisnął. Basia wyrwała mu je gwałtownie.

— Widzę, — rzekła, cofając się o kilka kroków — że przecucie, które mi mówiło, żem panu ufać powinna, było mylne. Wyrzuca mi pan, że pana uważam za wroga, a nadużywa pan pierwszego objawu moich lepszych dla pana chęci. Nie będzie nigdy przyjaźni między nami, i proszę pana bardzo o niewznawianie więcej tej kwestji w mojej obecności.

— Czy to już wszystko? — zapytał, gdy umilkła.

— Nie— odparła, dotknięta do żywego jego spokojem — nie wszystko jeszcze. Chcę panu powiedzieć, że do oberży stąd nie jedna droga prowadzi i że najlepiej będzie, jeżeli każde z nas inną sobie wybierze. Przecucie mi mówi, a czuję, że się nie myli tym razem, iż najłatwiej nam przyjdzie utrzymać zgodę, gdy będziemy od siebie zdaleka. Do widzenia.

Podniosła z ziemi liść ricinusa, który jej już był służył za parasolkę, i oddaliła się szybko. Gdy już sądziła, że drzewa zasłoniły ją przed oczyma Hermmana, usłyszała szybkie kroki za sobą, i obejrzała się. Był to on. Biegł z gołą głową, a w czapeczce niósł kwiaty, które w pośpiechu zostawiła pod drzewem.

— Czy nie dość wyraźnie powiedziałam panu, że chcę wracać sama? — spytała, marszcząc brwi.

— Bardzo wyraźnie, ale słowa te pochodziły od owej złej, mieszkającej w pani istoty, na której słowa kazała mi pani nie zważać.

Basia osłupiała na taki argument.

— Istota dobra — mówił dalej młodzieniec, korzystając ze sprawionego wrażenia — nie nazwałaby nadużyciem zaufania wybuchu uczucia, które objawiło się tylko w swojej prawdzie... bo prawda i dobro to jedno i to samo. Istota dobra nie mogłaby się oburzyć tem, co jest najwyższym objawem czci ludzkiej; czyż progów świątyni, którą uczcić chcemy, nie dotykamy pobożnie ustami?

— Nie znam się na filozofji niemieckiej, — powiedziała zimno Basia — ale z tego, co pan mówi, widzę, że jest niebezpieczna i zdradliwa i że dać się w jej systemat uwikłać, jest to napewne przygotować sobie miejsce w ogniu piekielnym, gdzie niezawodnie smarzą się Kant, Hegel, Fichte i im podobni. Nie czuję się godną tak dostojnego towarzystwa... przytem jestem dzieckiem północy i nie lubię zbytniego gorąca.

— Zbyt skromne ma pani o sobie mniemanie, — rzekł śmiejąc się Herman. — Zapewniam panią, że ci uczeni nie uważaliby towarzystwa pani za niedobrane dla siebie. Niejednokrotnie już dała pani dowody biegłości swojej w dyspacie.

— A to się panu nie podoba! Wiem o tem. Zdaniem pana, kobiety nie powinny nigdy ust otworzyć.

— Ależ, pani! — zaczął, chcąc protestować.

— Panle von Walden, — przerwała tonem, któremu usiłowała nadać charakter spokojnej wyższości — nie rozumiemy się i nie zrozumiemy się nigdy; nasze zasady, poglądy i charaktery nie mają z sobą nic wspólnego. Jesteśmy jak

dwa przeciwne sobie bieguny, które nigdy nie spotkają się z sobą!

— To, co pani mówi, dowodzi, że trzeba koniecznie, żeby między nami zaszło jakie gwałtowne wstrząśnienie, któreby, poruszywszy wszystkie tętna naszych serc i wywoławszy w nich burzę, bieguny sprzeczne zbliżyło ku sobie. Niech pani patrzy, jakie niebo jest jasne, jakie pogodne po wczorajszej burzy!

— A pocóż ma być pogoda między nami? Przyznam się panu, że potrzeby tego wcale nie widzę.

— O kobiety! kobiety! — rzekł Herman z goryczą — niema w was nic stałego. Jesteście jak ów wiatr w górach, co wieje z coraz innej strony... Dopiero ufna i żalująca, za chwilę znać nie chce i odpycha. Biada temu, coby szczęście swoje chciał na tak wiotkich podstawach budować!...

Słowa te drasnęły miłość własną Basi.

— Czy pan naprawdę sądzi, że we mnie niema nic stałego? — spytała, zapomniawszy o swoim gniewie.

— Doświadczenie dnia dzisiejszego wyrobiło we mnie to przekonanie.

Po twarzy jej przebiegł płomień.

— Prawda, — rzekła smutnie — mówiłam, że będę nad sobą panować... Ach, gdyby to było tak łatwo! Moja babka powiada, że mam charakter mego ojca i że powinnam koniecznie panować nad moją porywcznością, bo ona to często wielkich w życiu nieszczęść bywa powodem. Ale jak pan zbliadł nagle! Co panu jest?

Gdy to mówiła, stali przy mostku żelaznym, pod którym przepływał potok. Herman odwrócił się, oparł się o poręcz mostu i patrzył w strumień. Woda płynąca po kamieniach sprawiała lekki szelest — towarzyszyło mu brzęczenie much i koników wodnych, siadających na płaskich liściach wodorostów. O kilka kroków od brzegu siedział ukryty w tra-

wie młody oswojony zajęczek i spokojnie żerował, nie troszcząc się o nic i o nikogo.

Basia patrzyła na Hermana ze zdziwieniem. Co to jest? Co mu się stało? Tu przypomniała jej się nagle zmiana w jego twarzy, gdy wymieniła nazwisko swego ojca tam, na górze. Przypomniała sobie jego wzrok dziwny, przed którym wówczas zadrżała, szorstką odpowiedź, gdy chciała mu podać rękę, i ponure zamyślanie się przy wczorajszej wieczerzy. Wszystko to było bardzo dziwne — nie wiedziała, jak to sobie wytłumaczyć, ale czuła, że ją ogarnia niepojęta trwoga, jakby przecucie nieszczęścia wiszącego w powietrzu. Różne straszne sceny i wypadki, o jakich kiedykolwiek czytała lub słyszała, przeszły jej przez głowę w tej krótkiej chwili. Ten człowiek zapatrzony w strumień niepokoił ją. Wydało jej się, że mu grozi jakieś niebezpieczeństwo, choć nie wiedziała sama jakie.

— Panie von Walden, — odezwała się, dotykając nieśmiało jego ramienia — co panu jest? Czy pan chory?

Odwrócił głowę i patrzył na nią ponuro.

— O tak, musi pan być chory, — powtarzała wpatrując się w jego twarz bladą i zaciśnięte usta.— Ach, jak pan strasznie na mnie patrzy!... ja się pana boję..

Zmarszczył brwi i rzekł szorstko:

— Niech pani raczej zostawić mnie samego.

Łzy jej w oczach stanęły; odeszła oburzona, ale po chwili wróciła się. Jak go tu samego zostawić? Proste uczucie ludzkości na to nie pozwala. I Niemcy są przecież także ludźmi. . Obraził ją, to prawda, i nie podaruje mu tego — ale w tej chwili nie może, nie powinna go odstąpić. Jego twarz przerażała ją. A nuż mu się co stanie? Usiadła i czekała, nie spuszcza ąc go z oka i zachowując się jak najciszej. .

Ułynęła znowu długa chwila; woda szeleściła jak

wprzód po kamieniach, koniki wodne brzęczały, zajączek, najadłszy się do syta i napiwszy wody, zbliżył się w kilku skokach do mostku, a ujrawszy Basię, przysiadł i patrzył na nią jakby czekał, czy go nie zawoła. Ale spojrziała na niego ostro — więc stulił uszy i zniknął w trawie jak kamfora. Dybol siedział na środku mostu z wywieszonym ozorem i spoglądał raz po raz to na pana, to na panienkę. Cisza ta zaczynała mu się już nie podobać; przytem muchy chodziły mu po uszach, i to go niecierpliwiło.

— Spróbuję jeszcze raz — rzekła do siebie z mocą i, zbliżywszy się na palcach do Hermana, przemówiła głosem tak miękkim i łagodnym, jakiego nigdy jeszcze od niej nie słyszał:

— Nie trzeba tak uporczywie patrzeć w jedno miejsce to nie dobrze...

Popatrzył na nią jakby się zdziwił, że nie odeszła.

— Niech pan usiądzie tu niżej, na mostku, i zaczeka aż powrócę.

Zbiegła na dół, zaczerpnęła wody u strumienia w obie ręce i, wróciwszy śpiesznie na mostek, podała mu, mówiąc:

— Niech pan pije.

Herman nachylił usta do tej żywej czary, po której czasami przebiegało lekkie drżenie.

— Czy jeszcze? spytała, widząc, że pije z chciwością.

— Jeszcze — powtórzył, patrząc w oczy, w których obok troskliwego o niego niepokoju jaśniała dziecięca niewinność.

Pobiegła znowu do strumienia, i gdy Herman powtórnie podany sobie napój co do kropli wysączył, spytała:

— Czy lepiej panu teraz?

— Więć pani nie odeszła jednak, czekała na mnie.. — odezwał się, nie odpowiadając na zadane sobie pytanie.

— Nie chciałam pana samego zostawić; mogło się panu stać co złego. Czy lepiej panu?

— Lepiej. Czy żyje jeszcze ojciec pani?

— Umarł, gdym miała lat siedem — rzekła smutnie.

Rysy Hermana złagodniały.

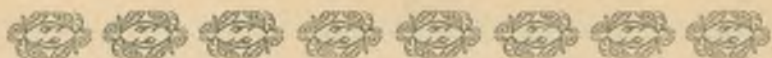
— Jesteśmy więc oboje sierotami... tylko, że ja nie znałem wcale mego ojca!...

— Jakże pana żałuję.. a matkę pan ma?

— I matki nie pamiętam, — rzekł posępnie — miałem dwa lata, gdy umarła.

Zamyślił się po tych słowach, potem wstał nagle jakby chciał się pozbyć przykrych myśli i rzekł do Basi:

— Wracajmy, pewnie nas szukają.



ROZDZIAŁ XIII

JAKO NIEMIEC POKAZAŁ PANIENCE CO UMIE I JAK SIĘ
TEMU PANIENKA DZIWOWAŁA.



Przygoda z melonami nie ukryła się pomimo dyskrecji Hermana: wróciwszy do oberży, Basia dowiedziała się, że pani obożeścina wiedziała już o tem od córki górnika. Przyszła ona po swoje i ojca swego rzeczy, a odniosła te, które młodzi awanturnicy wczoraj w chacie zostawili, wysuszone, a nawet o ile potrzeba było, pięknie uprane i odświeżone. Dziewczyna szła przez park dla zobaczenia się z Fiszerem, swoim chrzestnym ojcem — i gdy ją stary zapytał, co zrobiła z narzeczoną, wszystko się wyjaśniło. Żona oberżysty uważała za stosowne usprawiedliwić pomyłkę swego krewnego przed państwem Dawison — i tym sposobem wszystko wyszło na jaw.

Imć pan oberżysta od rana był ważnemi myślami zajęty. Ktoby go widział, jak ze spuszczoną głową, z wzrokiem utkwionym w ziemię, z rękami w kieszeniach przemierzał wzdłuż i wszerz ganek domu niespokojnym krokiem, toby

przypuścił, a raczej byłby pewny — że go spotkało jakieś zmartwienie, widoczna bowiem troska malowała się na jego twarzy okrągłej jak księżyc w pełni.

Nie spotkało go jednak nic złego: oto prosto kieszeń i sumienie wiodły z sobą walkę. Od samego rana układał w myśli cyfry, jakie gościom postawić wypadnie w rachunku ozdobionym jego nazwiskiem i piękną litografią oberży; byłby zupełnie zadowolony z okrągłej sumy, jaka się wskutek tych rozmyślań — w których, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, z właściwym plemieniu germańskiemu taktem pamiętał o możliwości i znaczeniu gościa — wytworzyła, gdyby nie jedna bardzo go kłopotująca pozycja. Jak tu żądać zapłaty od gościa, który wczoraj z taką gotowością wyratował jego konie!... Ale jak tu znów nie żądać, kiedy ta pozycja wynosi aż trzy talary, czternaście srebrników i pięć fenigów — nie licząc tego, co gość jeszcze do południa zjeść i wypić może!

Zacny oberżysta usiłował sobie wytłumaczyć, że ten ratunek nie był przecież z narażeniem życia — bo rzeczulka nie jest głęboka, chociaż rwąca miejscami; od dziesięciu lat, jak mieszkał w Seidenbergu, nie pamiętał, żeby się kto utopił, prócz jednej głupiej starej krowy, co się w strumieniu wywróciła i wstać nie mogła. Kto wie nawet, czy wczorajsza kąpiel nie wyszła młodemu człowiekowi na zdrowie, jeżeli nie pod względem higienicznym — choć i to być mogło, bo przecież do Gleichenbergu umyślnie jeżdżą oblewać się zimną wodą — to z pewnością pod moralnym... Móc sobie powiedzieć, że się dla drugich poświęca — czy to nie podnosi? A jak to młodą duszę hartuje! pi, pi!

Wypuścił bokiem ust kilka kólek dymu i przesunął szlafmycę z lewego ucha na prawe.

— Bądź co bądź, fakt jest, że konie mogły się były utopić, bo tam, gdzie młyn stał niegdyś, głęboko jest na-

prawdę, a żyją, i że nie wypada brać pieniędzy. Szkoda! sumka byłaby tak okrągła...

Westchnął.

— Czy jednak godzi się ubliżać tak szlachetnemu panu darowizną trzech talarów, czternastu srebrników i pięciu fenigów! zawołał, uderzając się w czoło, i twarz jego jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej rozpromieniła się. — Mniemać, że je przyjmie, byłoby to posądzać go o interesowność, albo, co gorzej, przypuszczać, że żąda za swój szlachetny czyn nagrody.. Gott behüte! Oberżysta z Seidenberga nie splami się takim podejrzeniem! nie okaże tak czarnej niewdzięczności swemu dobroczyńcy.

Powiedział sobie, że jest już co do tej kwestji spokojny, wyjął fajeczkę z ust, wytrząsnął z niej popiół, nałożył świeżym dreikenigiem, ale sumienie chodziło za nim niby żandarm i trzymało duszę w kleszczach. Więc aby je uspokoić, pan oberżysta powziął takie postanowienie: trzy talary pozostawić w rachunku nietknięte, ale za to wykreślić srebrniki i fenigi — a tak i wilk czyli sumienie będzie syty, i koza czyli kieszeń będzie cała.

Dzień był piękny, więc podróżni nasi nie bardzo się śpieszyli z powrotem do Landek — zwłaszcza że do babki, o którą bardzo chodziło Basi, znowu konnego posłańca wysłano z zawiadomieniem o przedłużeniu wycieczki. Spacero wano jeszcze po łące i lesie, obiadowano pod werandą, asystowano przy łowieniu pstrągów, i wyjazd nastąpił dopiero przed wieczorem.

Towarzystwo nie chciało się rozdzielać, więc księżę zajął miejsce w powozie Dawisona na przedzie obok Basi, a Herman podjął się powozić; ekwipażem księcia jechała służba. Basia nie bardzo była zadowolona ze swego sąsiedztwa; niepokoiła ją ta okoliczność, że księżę postępowania swego względem niej nie zmieniał, i był tak uprzejmy jakby od rana

nic między nimi nie zaszło. Wpadła na myśl, że Jego Wysokość nie życzy sobie, aby o tem, co zasło, świat wiedział—choćaż zdawało jej się, że państwo Dawisonowie nie są tej sprawy zupełnie nieświadomi, nie mogła tylko zgadnąć, kto im to powiedział.

Powóz toczył się z wolna z powodu nierówności drogi, wymagającej ciągłej baczności na konie, co dozwalało jadącym nasycać się dowolni malowniczością okolic przebywanych. Wioski, pojedyncze osady, tu i owdzie porozrzucane, wszystko mówiło o dobrobycie mieszkańców swoją schludnością i małemi, starannie uprawionemi ogródkami, u których żywe płoty po większej części z głogu różowo kwitnącego, rozsiewały na daleką przestrzeń swoją woń upajającą. Basia z goryczą myślała, że tam mieszkają pewnie sami koloniści niemieccy, którzy wyrugowali polskich wieśniaków...

Gdy wjechali w las prowadzący do Landek, zmrok już zapadał, a księżyc wyszedł z za chmur i rozkładał swe jasne smugi po ziemi—robaczki świętojańskie powychodziły ze swoich kryjówek i świeciły Bogu i ludziom jak umiały. W powozie ciągle prawie toczyła się rozmowa dość ożywiona, naraz jednak wszyscy mówić przestali i zaczęli się czemuś przysłuchiwać, ale nie można było nic rozróżnić z powodu głośnego tarcia wstrzymywanych hamulcem kół powozu. Gdy powóz zjechał z góry i łańcuch został przez służbę usunięty, usłyszeli wszyscy oddalone dźwięki muzyki, przygrywającej, jak się zdawało, do tańca. Gubiono się w domysłach, co to być może, a Herman wpadł na myśl, że to jest niezawodnie zabawa kwiatowa, „Blumenfest“, na dzień dzisiejszy od tygodnia zapowiedziana. Dawison zapragnął przypatrzeć się zabawie, więc Herman skierował konie w bok ku miejscu zwanemu Wald Tempel. Stał tam ozdobny budynek wystawiony na pamiątkę zjazdu trzech monarchów i służący czasami za miejsce zebrań i zabaw publicznych. W miarę posuwania się

powozów dźwięki muzyki stawały się coraz wyraźniejsze i wkrótce podróznym naszym odsonił się istnie czarodziejski obraz.

Była to polanka napelniona różnobarwnym tłumem i oświecona z góry tysiącami lamp kolorowych, błyszczących niby złociste owady na gałęziach. Środkowe miejsce polanki zajmował staw z pływającą na nim wysepką. Wysepka ta była kępą krzaków, z pomiędzy których wznosiła się kolumna z białego marmuru, zakończona wspaniałą urną; w urnie płonęła lampa czerwonego koloru i wyglądała niby kometa wśród światel, odbijających się w wodzie. Cały staw gorzał i iskrzył się — a gdy powierzchnia wody, wzruszona czasem lekkim powiewem wiatru, zadrżała, wtedy zdawało się, że gwiazdy spadają z nieba i toną.

Naokoło stawu krążyły pary, a wszyscy tańczący przybrani byli w kwiaty. Kobiety miały wieńce na głowach, mężczyźni bukiety przy piersi. W strojach zauważono wielką różnorodność i swobodę; nikt się tu niczem nie krępował — każdy używał zabawy, jak mu się podobało. Obok świetnych balowych toalet i fraków najświeższego kroju były skromne spacerowe suknie, długie surduty i mundury wojskowe; wykwinność i prostota, wdzięk i do karykatury niemal dochodząca oryginalność wszystko mieszało się razem i nie psuło ogólnej harmonji. Jakaś przysadzista dama w kapeluszu trącącym anachronizmem, walcząca z zapalem z jegomością ubranym w kurtkę myśliwską i buty palone, nie czuła się bynajmniej swoją tualetą zmieszana i nikogo nie rozśmieszała. Pod drzewami stały całe gromady stolików, a przy nich zebrane rodziny tańczących skracaly sobie a raczej uprzyjemniały czas butterschnittami i kuflami pieniącego się bawara, który ustawicznie wynoszono z budynku, mającego kształt świątyni i uwieńczonego gloriętą. Na niektórych stolikach była kawa, na innych wino — ale to ostatnie rzadko się widzieć dawało,

Biesiadnicy mieli z sobą zapasy w koszyczkach i torebkach, i sami się niemi częstowali, każdy się ię; jeżeli komu zabrakło kawy czy buttersznitów, wtedy zwracał się z prośbą o pożyczanie do sąsiada czy sąsiadki i na następnej zabawie sumiennie oddać przyrzekał. W niektórych rękach kobiecych widzieć się dawały druty i pończocha.

Po monotonnym walcu wiedeńskim orkiestra zagrała czardasza, tańczący usunęli się na stronę, a na widok wystąpił huzar węgierski ze wspaniałą kitą u czapki i rozpoczął taniec z okazałą, dobrze zbudowaną damą, ale obracającą się leniwie—to też leniwie szedł taniec i skończył się, a raczej ustał, bardzo prędko. Potem nastąpiła chwila przerwy, podczas której muzyka grała „Nad modrym pięknym Dunajem”, wreszcie odezwały się dziarskie tony mazura i pary zaczęły się szykować, a następnie sunęły jedna za drugą szeregiem.

Basia, przypatrująca się temu wszystkiemu z powozu, stanęła na siedzeniu, żeby lepiej widzieć, i po chwili parsknęła śmiechem.

— I to ma być mazur, ów szlachetny taniec, któremu w całym świecie niema równego?—zawołała z oburzeniem— a to istna parodja! Ach, czemuż niema tutaj polskiego tancerza, pokazałabym tym ślimakom, co to jest mazur!...

Herman zeskoczył z kozła i oddał służącemu lejce.

— Służę pani,—rzekł, stając przy drzwiczkach — znam ten taniec.

Basia zmierzyła go od stóp do głów.

— Pan? — zawołała ironicznie — Pan? Niemiec? Trzeba panu wiedzieć, że aby umieć tańczyć mazura, trzeba mieć w żyłach polską krew i polską dumę w piersi.

Herman uśmiechnął się.

— Niech pani raczy wysiąść—rzekł, otwierając drzwiczki.

Zanim Basia zdążyła odpowiedzieć odmownie, Dawison pochylił się ku niej i szepnął:

— Niech pokaże co umie. Proszę cię moje dziecię, zrób to dla mnie.

Życzenie Dawisona było dla Basi prawem; urok tego człowieka pomimo częstego z nim obcowania nic a nic dla niej nie osłabł — choć wielkość jego nie olśniewała jej już tak jak w pierwszym dniu spotkania. Wysiadła więc i poszła z Hermanem do namiotu, gdzie sprzedawano kwiaty, bo bez kwiatów nikt nie mógł należeć do zabawy.

Wmieszali się w tłum tańczących, i Basia zrozumiała wkrótce, że zanadto lekceważyła swego tancerza. Herman wysunął się z nią naprzód i odrazu tańcem zawładnął. Wnet we wszystkich instrumentach inne ozwało się życie, a w tańczących inna zbudziła się ochota; posłuszne głosowi młodzieńca pary zwijały się w koła, rozwijały w szeregi lub snuły jedna za drugą naokoło stawu. Figura krakowska wywołała powszechny zapał — a gdy pierwsza para tańczyła w kole mazura, stoliki pod drzewami opróżniły się zupełnie; biesiadnicy zamienili się w widzów. Herman wzbudzał podziw swoim wzrostem, zręcznością i męską prawdziwie urodą, Basia tańczyła, zaledwie dotykając ziemi; złote jej warkocze powiewały z wiatrem i zdawały się ją unosić.

— Jakżeż piękna! — szeptało. — Czy nikt nie wie, jak się nazywa?

— Es ist eine polnische Gräfin! — szepnął ktoś w tłumie, i słowa te obiegały dokoła zgromadzenie.

— A ten młodzieniec? — spytała jakaś dama z lornetką przy oczach.

— Polak niezawodnie — odpowiedziało kilka głosów — znać to z miny!

Basia spojrzała na swego towarzysza i uczuła się mimowolnie dumną; rękę z kapeluszem podniósł w górę i wyglądał tak dziarsko, jakby w żyłach jego polska, a nie germańska krew płynęła.

Nagle skrzypki spoczywające w rękach grajka, co z Krakowskiego pochodził, poddały nutę proszowskiej piosenki:

„Uciekła mi przepióreczka w proso,
A ja za nią nieboraczek boso.
Trzeba mi się pani matki spytać,
Czy pozwoli przepióreczkę schwytać!...”

A za nimi zawtórowała cała orkiestra.

Któż nie zna owej figury zwanej „przepiórką” — tak prostej a tak charakterystycznej i poezji pełnej? Koło rowija się w dwa szeregi: z jednej strony stają mężczyźni, z drugiej kobiety; para tańcząca mazura rozdziela się na odgłos piosenki, i następuje istna walka zręczności między dwojgiem: ona ucieka, on ją goni. Herman i Basia wykonali tę figurę po mistrzowsku: kilka razy już chwycił za skraj sukienki, ale zawsze wyślizgnęła mu się z rąk — a za każdym takim zwycięstwem tłum sypał grad oklasków i wołał: brawo! Zapal widzów rósł ciągle crescendo. Gdy nareszcie Herman pochwycił swoją tancerkę i figura się skończyła, zrobił się hałas nie do opisania. Dziewczyna zmieszana, odurzona własnym triumfem, prosiła młodzieńca, aby ją odprowadził do powozu. Nic to jednak nie pomogło; tłum popłynął za nimi. Deszcz kwiatów posypał się ze wszech stron i powóz odjechał przy okrzykach.

— Es lebe Mazur! hoch den Polen!

A Basia? Z Basią działy się dziwne rzeczy. W głowie jej był nieopisany chaos i zamęt, a w sercu wstawały jakieś domysły, podejrzenia, przeczucia i nadzieje. Radość i niepokój naprzemian rozpieły jej piersi. Winszowano jej i obsypywano pochwałami — nie słyszał! Dawison ścisnął jej rękę — nie czuła. Chwilami zdawało jej się, że cały świat kręci się naokoło niej, a chwilami, że płynie na obłoku do nieba.

Konie zatrzymały się nareszcie przed znanym małym

ogródkiem, i Herman pomógł wysiąść panience. Chciał ją od prowadzić aż do drzwi domu, ale podziękowała. Miała w tej chwili jedno tylko pragnienie — zostać sam na sam z sobą i to jaknajprędzej. Gdy ją żegnał, utkwiała w jego twarzy wzrok z uporczywem, niespokojnem pytaniem. Widziała, że się zawahał i stał niepewny, jakby z sobą toczył walkę. Potem dostrzegła w jego oczach wyraz głębokiej bolesti, który ją przejął niewytłumaczoną obawą i zwątpieniem w prawdziwość powziętych domysłów.

Oparła się o sztachety i patrzyła, jak Herman siadał na kozioł i brał lejce w rękę, słyszała, jak pani Konstancja prosiła go, żeby jeszcze chwilę zaczekał i poprawiała mężowi poduszki, a potem prosiła młodzieńca, żeby im co zaśpiewał na zakończenie dnia tak pięknego.

Konie ruszyły, i po lesie rozeszła się pieśń, której żaden Polak nie może słuchać bez wstrętu i oburzenia.

„Was ist des Deutschen Vaterland?
Ist's Preussenland? Ist's Swabenland?
Ist's wo am Rhein die Rebe blüht?
Ist's, wo am Belt die Möve zieht?
O nein, nein, nein!
Sein Vaterland muss grösser sein!*)“

Basia stała jak piorunem rażona; w oczach zrobiło jej się jakoś szaro — w piersiach uczuła dziwne gorąco, nog zaczęły pod nią drżeć. O kilkanaście kroków od sztachetów, pod rozłożystym jesionem stała ławeczka: doszła do niej i usiadła. W ogrodzie i domu całym była cis a — wszyscy mieszkańcy widocznie już spać się pokładli, tylko w oknie sy-

*) Co jest ojczyzną Niemca?
Sążto Prusy czy Szwabja?
Czy tam, gdzie nad Renem winorośl kwitnie?
Czy tam, gdzie nad Beltem mewa szybuje?
O nie, nie, nie!
Ojczyzna jego większa być musi...

pialnego pokoju babki błyszcząło jeszcze światełko. Księżyc rzucał na ścieżkę srebrne plamy i rysował sylwetki drzew. Basia pomyślała, że te sylwetki, drżące za każdym lżejszym powiewem wiatru, wyglądają jak cienie umarłych, o których legenda mówi, że przychodzą z tamtego świata szukać szczęścia zostawionego na ziemi. Przyszedł jej na myśl ubogi cmentarz w rodzinnej wiosce z pochylonemi w różne strony krzyżami — i pomyślała, że leżeć tam w taką noc cichą i księżycową musi być bardzo dobrze...

Z gęstwiny wyszedł duży cień fantastycznych kształtów i zbliżał się prosto ku niej. Był to pies gospodyni, z którym od czasu swego do Landek przybycia żyła w więkšej przyjaźni; stanął przed nią, pokręcił ogonem, i zaczął lizać jej rękę.

Spojrzała nań i odtrąciła go szorstko — a potem nagłym, gwałtownym ruchem przyciągnęła go do siebie, przytulila głowę do głowy psa i rozplakała się. Płacz ten jednakże trwał krótko. Basia zerwała się i, czyniąc sobie gorzkie wyrzuty, że zapomniała o babce, która zapewne nie spała dotąd, tylko powrotu wnuczki czekała niespokojna, śpiesznie pobiegła do domu. W chwilę potem siedziała już przy łóżku starszuszki i opowiadała jej swoje przygody. O jednej tylko rzeczy przemilczała — o tem, że zapomniawszy się, wyjawiała na szczycie Kreitzbergu swoje prawdziwe nazwisko. Nie dla uniknięcia nagany za nieroztropność uczyniła to — ale poprostu nie chciała martwić babki, która do niewyjawiania nazwiska podczas każdej podróży zagranicę miała swoje powody.

ROZDZIAŁ XIV

JESZCZE O SŁAWNYM CZŁOWIEKU I CO O NIM POWIEDZIAŁ DOKTÓR.



Życie w Wiktorja-hof upływało cicho i jednostajnie: z wyjątkiem s czupłego kółka osób, któreśmy poznali, drzwi były stale zamknięte dla wszystkich niemal. Zrana konieczny spacer po parku, popołudniu wycieczka powozem do bliższych miejscowości, zalecających się czy pięknnością natury, czy jakim ciekawym zabytkiem budownictwa z dawnych czasów. W wycieczkach tych często brali udział Herman i Basia, a czasami i księżę Fryderyk; tak zwiedzono wspólnie zamek starożytny Johannisberg, letnią rezydencję biskupów wrocławskich, zamki w Kunzendorf i Ulensdorf i wodospad Wölfelsfall. Zdawało się, że zdrowie chorego polepszyło się znacznie — on sam nawet nie znajdował dość słów na wyrażenie dobroczynnego wpływu pobytu w Landek, jaki czuł na sobie. Doktor L...ner jednak nie lubił o tem mówić i zbywał pytających ni tem, ni owem.

Już to publiczność ciągle się bardzo żywo zdrowiem Dawisona interesowała i zachowaniem swoim względem niego dawała dowody wielkiego dla artysty współczucia. Codziennie rano, gdy się ukazywał w parku, wsparty na ramieniu żony, zwracały się ku niemu twarze kobiet, odkrywały głowy mężczyzn i nierzadko kwiaty wpadały do kapelusza, który ustawicznie prawie zmuszony był zdejmować. Wówczas to usta jego i oczy uśmiechały się owym radosnym, naiwnym uśmiechem, mającym w sobie coś dziecinnego i bezsilnego zarazem. Mało kto przeszedł koło Wiktorja-hofu bez spojrzenia w okna pierwszego piętra, zwłaszcza w godzinach popołudniowych, które Dawison miał zwyczaj spędzać z książką na balkonie. Czy jednak czytał, można było o tem wątpić, widząc jego oczy błędzące wiecznie po szczytach gór i obłokach.

Stosunki z domem pani N., cz były coraz serdeczniejsze; Dawison nie mógł się obejść bez Basi i jeżeli którego dnia nie przyszła, posyłano po nią. Człowiek ten, umiejący przybierać na siebie tysiączne postacie i wcielać się w tysiączne charaktery, zachwycał się urokiem prostoty, od której wszelka sztuka była tak daleką jak niebo od ziemi. Zachwycała go ta twarzyczka, na której każde wrażenie odbijało się jak w zwierciadle, i lubił wywoływać te wrażenia czy to drażniąc ją, czy też w jej sprzeczkach z Hermanem stając po jego stronie i dolewając oliwy do ognia. Nigdy się lepiej nie bawił jak wówczas, gdy jej wielkie czarne oczy zapalały się ogniem gniewu lub oburzenia, a drobna wiotka postać przybierała powagę i godność matrony. Oryginalne jej zdania rozweselały go. Nazywał ją też często Ofelją, do której podobieństwo upatrywał w niej z powodu jej jasnych włosów. Doktor L...ner, spotykając się z panią, groził jej zwykle palcem.

— Cóżżeś to pani zrobiła z moim pacjentem?—mawiał—zawojowałaś mi go zupełnie. Powiada, że z pani lepszy jest doktor niż ja i zaczyna mnie sobie lekceważyć. Tylko —

dodawał poważnie — nie trzeba mówić z nim wiele o Warszawie i tych tam piaskach nadwiślańskich... Proszę pamiętać o tem, że go nie można drażnić i że każde wzruszenie życie mu skraca.

Ale nie tak to łatwo było nie mówić z Dawisonem o piaskach nadwiślańskich; on sam wszczynał te rozmowy, a słowa jego tchnęły zawsze gorącą miłością tej ziemi, której obywatelstwa wyrzekł się dobrowolnie. Jakby broniąc się przeciw zarzutom, których nikt mu nie stawiał, często powtarzał, że tylko niskie intrygi we Lwowie i niezbędna konieczność zmusiły go do porzucenia teatru hrabiego Skarbka i poświęcenia się scenie niemieckiej — i niezmordowany był w wyszukiwaniu argumentów na poparcie tego twierdzenia. Poeta sercem—czego dowodem pisywane niegdyś przez niego udane wiersze niemieckie — improwizował nieraz rzeczy piękne na temat swego patriotyzmu, w który wierzył i o którego prawdzie pragnął wszystkich przekonać. Przeszłość kraju, jego teraźniejszość, przyszłość żywo go interesowały — a podniecona zawsze wyobraźnia poddawała mu nieraz słowa jakby prorocze, myśli wielkie. Myśli te, wypowiedane z dramatycznym nastrojem, który go rzadko kiedy opuszczał, rozgrzewały mówiącego, unosily, wzruszały aż do łez—tak jak niegdyś wzruszały go wielkie bohaterskie role. I tu, i tam w grze jego była prawda: poezja i rzeczywistość, sztuka i natura zlewały się zawsze u niego w całość tak jednolitą, że zacierala się linja, dzieląca jedną od drugiej. Był artystą do szpiku kości — i często sam plodów swej wyobraźni od rzeczywistości odróżnić nie potrafił.

Basia, pamiętając o przestrodze doktora, unikała jak mogła w rozmowie wspomnień o kraju, zwłaszcza od czasu, gdy Dawison, uprosiwszy ją raz o zaśpiewanie kilku krakowiaków, dostał przytem spazmatycznego płaczu. Raz także uparł się deklamować po polsku „Alpuharę“ Mickiewicza — a gdy mu

doktór tego stanowczo wzbronił, wpadł w taki gniew, że o mało go nie wybił; żona ledwie go zdołała ulagodzić. Basia nie śmiała nawet mówić z nim po polsku, żeby nie poruszać niektórych strun jego duszy chorobliwie czasem wrażliwej. Często obecność Hermana i księcia, wreszcie względy delikatności dla gospodyni domu wszystko składało się na to, że prawie zawsze mówiono po niemiecku.

Dawison lubił towarzystwo, choć nie zawsze brał chętny udział w rozmowie. Bywało, że mówił wiele i z zapałem, zwłaszcza gdy zaczepiano o teatr — najczęściej jednak siedział posepny i milczący, czasami tylko rzucając jakieś słowo szyderskie i tak ostre, że sam jego ton mroził słuchaczy — albo tryskające szalonym humorem.

Humor Dawisona... tego pod żadną rubrykę podciągnąć ani określić nie było można; krytycy niemieccy próżno się na to silili. Jak chwilowy błysk słonecznego promienia przeciska się przez ciemne chmury, z których wkrótce wypaść mają pioruny i burze, tak przebłyskiwał ów humor Dawisona przez posepne tło jego myśli. Bywały i takie dni, że czoło jego nie rozjaśniało się ani na chwilę, i takie, że wśród rozmowy, w której brał żywy udział, robiło mu się nagle słabo... Wówczas żona wyprowadzała go i nakłaniała do spoczynku, a pozostała gromadka osób rozchodziła się zasmucona. Lubił też mówić o swojej sławie i rozwodzić się szeroko nad swemi bogactwami i skrzyniami jakoby pełnemi złota. Mało kto posiadał willę piękniejszą od jego Małego Czechwitu pod Dreznem; mało kto miał ogród urządzony z większym przepychem i smakiem — z jego zaś galerją obrazów galerja Luwru zaledwie mierzyć się była w stanie. Wszystkich do niej zapraszał.

Pewnego wieczora całe towarzystwo oprócz księcia zebrało się w ogródku przy wodospadzie. Dawison dnia tego zdawał się być silniejszym i zdrowszym niż zwykle; Basia

przyniosła mu bukiet z białych róż, a kwiaty te wielką sprawiły mu radość i wprawiły go w dobry humor. Bawiąc się niemi, mówił z dziwną jasnością o Szekspirze i studjach Gerwinusa nad nim — a chociaż odmawiał krytykowi temu głębokości, powtarzał jednak z upodobaniem jego zdania porównywające Szekspira do Homera. Rozbierał pojedyncze kreacje wielkiego poety, mówił z zapałem o swoich ulubionych rolach i bliskim wystąpieniu na scenie — o czym nikomu powątpiewać nie było wolno — a w wyrazistych jego oczach błyskał dawny ogień. Potem nagłym zwrotem — w rozmowie jego bywały zawsze nagle, niespodziane zwroty — przerzucił się do swoich młodzieńczych wspomnień: mówił o swoim pobycie w szkole dramatycznej, której nauczycielem był Kudlicz, o mistrzowskiej grze Ledóchowskiej i Halpertowej, o Zdanowiczu, Werowskim i Piaseckim — i przyznawał, że ci ludzie potężnego talentu byli mu zawsze wzorem i przykładem

— Były to olbrzymie drogowskazy, które ciągle ukazywały się oczom mojej duszy; mówiłem też Niemcom nieraz: podziwiacie mój talent, ale ja wam powiadam, że takich aktorów jak ja, a może lepszych, jest zawsze kilku na scenie warszawskiej.

Takie wyrazy Niemcy rzeczywiście od Dawisona słyszeli — czy jednak był szczerym, gdy je wypowiadał, można powątpiewać. Mógłże mniemać naprawdę, że są od niego aktorowie lepsi — on, który nikogo za równego sobie nie uważał? On z którego ust wyrwały się nieraz słowa będące dowodem niesłychanej dumy?

Pobyt jego w roku 1865 w Warszawie, gdzie występował na korzyść pogorzalców w dramacie Grillparzera „Matka rodu” i w scenie piątego aktu tragedji Schillera „Zbójcy” — dostarczył mu obfitego materiału do opowiadania o tem mie-

ście, o zmianach, jakie w nim znalazł po długiej nieobecności i o entuzjastycznym przyjęciu go przez publiczność.

— Co to był za zapal! — mówił z ożywieniem — co za natłok publiczności! Wszystko, co było najznakomitszego, znajdowało się w teatrze. Chciano mnie wówczas przedstawić do orderu, ale podziękowałem. Jestem — dodał, prostując się — przepraszam państwa, że sam tak mówię o sobie — jestem zbyt wielkim artystą, abym dbał o te dekoracje... mam zresztą orderów dosyć! Było to po śmierci mego ojca, któremu postawiłem na cmentarzu przepyszny pomnik. Staruszek to był już bardzo zgrzybiały, miał lat... Dziwna rzecz — mówił, pocierając ręką czoło — nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć, ile miał lat mój ojciec. Obsypano mu głowę i twarz ziemią z Jerozolimy, według obyczaju izraelskiego.. O! jakżebym chciał, żeby mi, gdy umrę, posypano głowę ziemią nadwiślańską!.. Zdaje mi się, że miałbym spokojniejszy spoczynek.

Westchnął.

Mówił potem o swojej rodzinie, mieszkającej w Warszawie, o swoich dziecinnych wspomnieniach, o żyjącej jeszcze matce staruszce — i opowiadał z głębokim wzruszeniem ów głośny w swoim czasie wypadek, gdy matka, pragnąc lepiej zobaczyć występującego na scenie warszawskiej syna, przechyliła się zanadto przez poręcz paradyżu, spadła i nogi połamala.

Zamyślił się i, przysłuchując się jednostajnemu szmerowi wodospadu, mówił zwolna:

„Płyną wody za wodami
I z gałązek liść oblata,
Sieroteńka za górami
Przewędrował kraje świata!..“

Urwał i, patrząc po obecnych, odezwał się głosem proszącym:

— Kto mi powie dalszy ciąg tej piosenki?

Na wezwanie to pośpieszyła odpowiedzieć Basia:

„I choć nic mu nie potrzeba
Nad wodami, nad cudzemi,
Ale chciałby krzynkę nieba
I wietrzyka z swojej ziemi *.”

-- Tak, tak — powtórzył, przerywając jej — „chciałby krzynkę nieba i wietrzyka z swojej ziemi“... „Płyną wody za wodami“... ileż to upłynęło ich do morza od czasu, gdym opuszczał Warszawę, wyjeżdżając do Lwowa! Lubię Drezno, bo mi ono Warszawę przypomina, zwłaszcza patrząc od strony mostu; takie same wody mętne i żółtawe ma Elba, i takie same piaszczyste brzegi; zamek królewski tak samo przegląda się w wodzie. Kochana Wisła! ileż to razy biegałem i bawiłem się na jej brzegach.. Chciałbym tam być teraz. Jaki to dzień dziś mamy? Ach, prawda, niedziela. Słońce zachodzi, pod mostem płynie statek parowy i wiezie pracowity ludek na Saską Kępe; muzyka gra, tłum przypatruje się temu z mostu i z brzegu, zegar zamkowy bije godzinę poważnie i uroczyście, a dźwięk jego idzie po falach daleko, niby poseł ostrzegający ustawicznie ludy żyjące na brzegach: Czuwajcie, bo nie wiecie dnia, ani godziny!...

Umilkł i; jakby przerzucając myśl znowu do innego przedmiotu, zaczął cytować wyjątki z biblij Starego Testamentu.

„Komu cię przyrównam, albo komu cię przypodobam, o Jeruzalem? z kim cię przyrównam i pocieszę

cię, panno Sion? bo wielkie jest jako morze skruszenie
twoje, któż cię zleczy? *

Jako siedzi samo miasto pełne ludu: stała się
jako wdowa pani narodów: księżna powiatów stała się
hołdowną **.

Klaskali nad tobą rękoma wszyscy mijający drogę,
świstali i chwiali głową nad córką jerozolimską,
mówiąc: I onoż to jest miasto doskonałej piękności,
wesele wszytkiej ziemi? ***.

Patrzyłem na ziemię, a oto czcza była i nikczemna;
na niebo, a nie było na niem światłości.

Patrzyłem na góry, a oto się chwiały, i wszystkie
pagórki zatrwożone są.

Patrzyłem, a nie było człowieka, i wszystko pta-
ctwo niebieskie odleciało ****.

Jeżeli cię zapomnę Jeruzalem, niech zapomnianą
będzie prawica moja.

Niechaj przyschnie język do podniebienia mego,
jeżelibym na cię nie wspomniał, jeślibym nie pokładał
Jeruzalem na początku wesela mego” *****.

Głos jego smętny podobny był do wiatru przebiegają-
cego po wzgórzach Libanu i wstrząsającego gałęziami sta-
rych, zgrzybiałych cedrów. Przy ostatnich wyrazach głos ten
zadrżał niby pęknięta kolumna, która czuje, że już walących
się sklepień świątyni nie podtrzyma, bo sama wkrótce runąć
musi — i tkanie gwałtowne wyrwało mu się z piersi. Żonę,
która go chciała uspakajać, odsunął szorstko, zakrył twarz
rękami i siedział tak długo nieruchomy, szepcząc jakieś nie-
wyrażne słowa o Rzymianach i o Tytusie.

* Treń Jeremiasza, Rozdział II Mem. 18.

**

I Aleph.

I Sameh

||||X

Proroctwa

VI wiersz 23, 24 i 25.

Psaln Dawidowy 138, u Żydów 137, wiersz. 5 i 6.

W ogródku uroczyste panowało milczenie; nikt nie śmiał się odezwać — słychać było tylko brzęczenie muszek nad kwiatami i szum wodospadu, wylewającego w przepaść swoje wody z głuchym loskotem.

Gdy odjął ręce od twarzy, nie było już na niej łez. Wstał, przeszedł się po ogrodzie, podniósł grudkę ziemi, rozgniół ją w palcach i rzucił w powietrze.

— Oto jest życie człowieka! — rzekł i roześmiał się na całe gardło, potem przesunął ręką po czole i zaczął deklamować słynny monolog Hamleta:

„Być albo nie być — oto jest pytanie:
Co z dwojga jest wznioślejszem, czy wytrzymać
Zawistnych losów ciosy lub zniewagi,
Czy przeciw morzu cierpień się uzbroić
I siłą je pokonać? Umrzeć — zasnąć —
To jedno; gdybyśmy w tym śnie zrzucili
Męczarnie serca, lzy, tysiączne troski,
Przyrodni dział ludzkości — taki koniec
Byłby dla nas najlepszym.

Umrzeć; zasnąć;
Zasnawszy może śnić; — tu myśl przepada,
Bo gdyśmy zdarli te śmiertelne więzy,
Uśpionych w trumnie jakie sny zwiedzają?
Kto wie! kto zgłębi!“ *

— Basiu, — szepnęła Konstancja, chwytając dziewczę za rękę — trzeba go za jakąkolwiek cenę wyrwać z tego stanu, który go zbija. Ja dziś nic zrobić nie mogę. Przemów ty do niego! przemów do niego po polsku...

Dawison odwrócił głowę i spojrzał bystro na obie kobiety.

— „Ktoś mię słucha” — rzekł — „Ofelja piękna”.

— To ja, panie, — odezwała się po polsku głosem drżącym — ja, Basia.

— Basia — powtórzył machinalnie.

— Tak, przyszedłam pana odwiedzić, zapytać się o zdrowie.

— „O nie źle, nie źle, co tam słyhać w niebie?”

Dziewczyna zadrżała.

— „Idź do klasztoru” — szepnęła.

Postąpił kilka kroków i potracił nogą bukiet, który był poprzednio upuścił na ziemię. Schylił się, podniósł go i zważył jak jakiś przedmiot ciężki...

„Biedny Yoryk — dzieckiem go lubilem!
Wybornie zmyślał, sprytu co niemiara —
Po tysiąc razy nosił mię na karku;
A dziś jak postać jego mię odraża,
Aż gardło ścisnął“

Zamilkł na chwilę i, wpatrując się w kwiaty, mówił dalej:

Gdzie są twoje wargi?
Gdzie twoje pocałunki? Gdzie powiastki?
Przycinki, śpiewki, figle a koziołki,
Przy których cały dwór się trząsł od śmiechu?
Dziś już nie szydzisz, choć wyszczerzasz zęby.
Skotniałe lica!...*

Zaczął machinalnie obrywać kwiaty jeden po drugim, aż zostały mu w rękach same łodygi, a i te wkrótce wypadły na ziemię.

— „Ofeljo! gdzie ona, gdzie Ofelja?”

— „Jestem, miłościwy książę” — odezwała się smutnie.

— Zaśpiewaj.

Basia zawahała się.

* Hamlet, ękt V.

— Śpiewaj, — szepnęła Konstancja, której twarz coraz była bledsza — niech się to prędzej skończy.

Basia umiała piosenkę Ofelji od czasu, jak będąc z babką w Krakowie, widziała w tej roli panią Modrzejewską; zaczęła więc śpiewać głosem drżącym:

„Któż mi powie,
Cni drużbowie,
Gdzie kochanek mój?
Kij, sandały z konch na głowie —
Ach, to dziwny strój.
W życia wiosnie, Nielitośnie,
Już opuścił nas;
Tam nad czołem trawa rośnie,
U stóp zimny gładz”.

Żrenice Dawisona rozszerzyły się dziwnie, a twarz strasznie pobladła.

„Śnieżne włosy wieńczą wrzosa,
Głóg i zwiędły bez;
Płaczcie nad nim wonne rosy,
Bo już nie mam łez”*.

— „Do klasztoru!” — krzyknął strasznym, przeraźliwym głosem, zachwiał się i padł na ziemię zemdlony.

— Doktora! na Boga, doktora! — wołała Konstancja, klękając przy zemdlonym i podnosząc ostrożnie jego głowę.

Herman wybiegł na ulicę i po chwili przyprowadził L. nera, którego spotkał wychodzącego z domu.

Doktór pochylił się nad leżącym, popatrzył nań, i około ust jego zarysował się dziwny, nieodgadniony, jakby szyderski wyraz.

— „Eine polnische Furie” — szepnął zcicha.

* Hamlet, akt IV.





Jeździec osadził konia u samej furtki. (str. 219)



ROZDZIAŁ XV

O RÓŻNYCH DZIWNYCH RZECZACH, JAKIE SIĘ W DOMU
DZIAŁY, I JAK PANIENKA ZASMUCIŁA SIĘ TEM, Z CZEGO
SIĘ POWINNA BYŁA CIESZYĆ.



Szlachetna Alojza, księżniczka dziedziczna West-
minsteru, a wnuczka po kądzieli króla Ed-
warda — czytała Basia — rozmiłowana w ry-
cerskim młodzianie, Ottonie Zygmuncie Stra-
kowicu, hrabi na Ratiborze, nie wahała się
opuścić świetnego dworu Plantagenetów, na

którym tak urodą jako i przymiotami rozumu pierwsze
dzierżyła miejsce, wyrwała się z koła ukochanej rodziny
i za wybranym serca pośpieszyła w kraj nieznany, i za
dziki wówczas jeszcze poczytywany...“*.

Ustęp ten zastanowił Basię. Położyła książkę na ławce
i jęła rozmyślać, jaka to musiała być istota słaba, ta Alojza,
kiedy miłość dla cudzoziemca przeniosła nad miłość kraju
i rodziny — i o tem niebezpiecznem uczuciu, co to szlachetne

* Legendy śląskie.

kobiety zamienia w dobrowolne wygnanki i niewolnice, a jest tak potężne, że przy szczęściu, które daje, wszystko, co się wprzód zdawało być szczęściem, bliżej, znika i idzie w zapomnienie — jarzmo zaś, jakie wkłada, zamiast upokarzać, napęla ujarzmionych radością i dumą. Dziwy! dziwy! Starzy ludzie wprawdzie mówią, że bywają rzeczy, o których się nie śniło filozofom, a coś dopiero takiej jak ona, za piecem wychowanej dziewczyni!.. Chociaż miłość to podobno nie żadna filozofja! Ma to być jasne jak słońce i wcale do zrozumienia nie trudne. Mówią, że uczyć się tego nie trzeba—dosyć mieć serce, reszta sama się zrobi.. hm, to coś tak, jak z niebem; nie trzeba pytać o drogę do niego, dosyć mieć wiarę, aby trafić. Sens moralny z tego wszystkiego zatem taki, że miłość tutaj na ziemi niebo daje. Być w niebie za życia—ach! jak to musi być dobrze! — Czy chciałabyś? — spytał jakiś głos wewnętrzny. — Chciałabym — odpowiedziała — ale czyż ja mam serce?

O! że serce miała, wiedziała o tem dobrze; ale sposób, jakim jej dawało znać o sobie, nie mógł mieć z niebem nic wspólnego — z piekłem chyba. Były to jakieś trwogi niepojęte, szamotania się gwałtowne, jakieś wichry i burze — a Bóg miłości jest przecież Bogiem pokoju.. Czy to ma znać, że szatan w jej sercu założył sobie królestwo?

Tętent konia wyrwał ją z zamyślenia; spojrzała na drogę wiodącą do Seidenbergu i dojrzała czarny punkt, a za nim tuman kurzu. Wpatrzyła się w ten punkt. Jakiś dzielny jeździec na dzielnym koniu siedzi jak przykuty; koń wyciągnął szyję i pędzi, nie dotykając ziemi — snąc koniowi i jeźdźcowi pilno, bo obaj z wiatrem idą na wyścigi. To on! nikt inny tu w tym kraju niema takiej dumnej postawy... Serce Basi bije jak szalone, piersi chce rozerwać—ach, jakże ona musi nienawidzieć tego człowieka! Przyciskając serce obiema rękami, powtarza sobie, że nienawiść jest grzechem

śmiertelnym — ale któż to, jeżeli nie on, winien jest temu, że dusza jej pograżyła się w grzechu! Póki go nie знаła, była cicha, łagodna, grzeczna, miała serce pełne miłości dla wszystkich i gotowe dla wszystkich się poświęcać. Bóg widzi, że nie znała, co to gniew; żadne ostrzejsze słowo nie wyszło nigdy z jej ust, a o złości zaledwie słabe miała wyobrażenie. Żeby zaś źle żyć miała komu — niech Bóg broni!

Nieraz był kłopot prawdziwy, co księdzu powiedzieć na spowiedzi — teraz strach ją bierze na samą myśl o konfesjonale, tyle czarnych grzechów ciąży na jej duszy.. Nie było tego dnia, żeby się nie uniosła gniewem lub nie życzyła źle bliźniemu — nie było tej godziny, żeby nie pragnęła jego upokorzenia... Wpadła w grzech nienawiści. Wielki Boże, co się z nią stało! Ale jakże nienawidzieć tego człowieka, kiedy to on stanął na przeszkodzie zbawieniu jej duszy; a „kto sieje zgorzenie, — mówi Pismo — ten zasługuje, aby mu kamień młyński przywiązano do szyi...”

Jeździec był coraz bliżej; serce w piersiach Basi szamotało się jak ów młody żołnierz, co na widok nieprzyjaciela zrywa się do bronii, a wyznać się wstydzi przed sobą, że go się lęka. Zbudziła się w niej gwałtowna chęć ucieczki, ale duma trzymała ją na miejscu; to pierwsze jednak przeważało „Strzeżonego pan Bóg strzeże” mówi stare polskie przysłowie — co znaczy także, że nie grzeszy, kto unika powodu do grzechu. Nie lepiejże ukryć się między krzewami, z duszą chociaż nie zupełnie już białą, ale nie tak znowu bardzo czarną, żeby tej reszty, która czystą jeszcze pozostała, nie warto było strzec od pokusy do grzechu!

Tak sobie rozumowała, siędząc w krzakach i rozsuwając drobniejsze gałązki, z których sama niewidziana wszystko widzieć mogła. Jeździec osadził konia u samej furtki i, uniósłszy się nieco na siodle, bystry wzrok zapuścił w zieloną gęstwinę. W ogródku była cisza niemal uroczysta, żaden ptak jej nie

przerywał swoim śpiewem; słońce właśnie chowało się za góry i, to wznosząc, to opuszczając swoją czerwono złocistą tarczę, zdawało się ostatnimi promieniami przesyłać dobranoc spokojnej dolinie. Próżno jeździec chwycił uchem najdrobniejsze szelesty, próżno wzrok wyteżał — nikt się nie ukazywał na ścieżce. Targnął konia za uzdę, uderzył go w bok ostrogami i popędził dalej. Gdy odjechał, jasna główka wychyliła się z pomiędzy liści i patrzyła za nim długo... a gdy zniknął na pochyłości góry, z piersi panienki wydobyło się ciche westchnienie. Zabrała z ławki książkę, którą czytała, i wolnym krokiem weszła do domu.

Gdy otworzyła drzwi do pokoju, uderzył ją niezwykle widok. Babka, siedząca w swoim wielkim krześle przy oknie wychodzącym na ogród, blada była jak płótno i trzęsła się jak w febrze.

— Babciu! co babci jest? — krzyknęła przelękniona dziewczyna, klękając przy krześle i cisnąc do ust wiszącą bezwładnie rękę staruszki. — Ach, Boże, jak babcia wygląda! Katarzyno, wody! wody!

Staruszka chwyciła wnuczkę gwałtownie za rękę i utopiła w niej wzrok przenikliwy.

— Basiu! — przemówiła surowo — czy znasz tego człowieka? I wskazała jej postać jeźdźca, wspinającego się na górę.

— Znam, — odrzekła — widuję go co dzień; jest to Herman von Walden. Katarzyno! Katarzyno!

— Nic mi nie jest, nic moje dziecko — szepnęła, opuszczając jej rękę — bądź spokojna. To moje nagłe osłabienie, które... ale już przeszło. Więc on się Walden nazywa, ten młody człowiek?

— Tak, babciu. Może poprawić poduszkę pod plecami?

— Nie, dobrze mi tak jest. A jak mu na imię?

— Herman.

— Herman — powtórzyła staruszka machinalnie.

— To ten Niemiec, o którym babci tyle opowiadałam. Może nogi koldrą okryć?

— Nie trzeba. Więc to on cię tyle razy ratował?

— Tak.

— Niemiec. . czy on wcale nie rozumie po polsku?

— Ani słowa. Czy lepiej już babci?

Staruszka odetchnęła.

— Jest mi już zupełnie dobrze; możesz odejść.

— Rozbiorę babcię i położę w łóżko.

— Nie, moje dziecko, zostaw mnie samą... muszę odmówić pacierze...

Basia odeszła zamyślona i zaczęła rozplatać warkocze, staruszka zaś między wychudłymi palcami przesuwiała paciorki różańca. Nagle głos wzruszony zawołał:

— Basiu!

— Jestem, babciu.

— Chodź tu, moje dziecko.

Rozgarnęła włosy na czole dziewczęcia drżącą ręką, wpatrywała się długo w napół dziecinną jeszcze twarz wnuczki i przycisnęła jej główkę do piersi namiętnie.

— Idź spać, — rzekła cichym głosem.

Basia odeszła odurzona i wzruszona głęboko. Rozbierając się, powiedziała sobie nie raz, ale dziesięć razy, że to, co się stało tego wieczora, było bardzo dziwne.

To jednakże, co się działo nazajutrz i przez kilka dni następnych, było jeszcze dziwniejsze. Babka, słuchająca dotąd zawsze z dobrotliwym uśmiechem opowiadań Basi o jej tragicznych przygodach i niechęci do Niemca, który wbrew jej woli występował względem niej ciągle w roli wybawiciela— teraz kazała sobie opowiadać o nim szczegółowo i każde jego słowo powtarzać. Nie mogła też Basia pojąć czemu przy tych opowiadaniach, których treść dawniej babkę rozśmieszała, teraz czoło jej zasępiło się dziwnie... Często także spotykała

wzrok babki badawczo w siebie wlepiony i to w chwilach, kiedy się tego najmniej spodziewała.

Prócz tego zaczęły się odbywać częste narady w pokoju babki ze starym Jędrzejem, który jej ojca znał od dziecka, i wtedy drzwi zamykano — a gdy się parę razy zdarzyło, że w ową chwilę weszła do pokoju, następowało nagle milczenie; Jędrzej wyciągał zaraz Jużą kolorową chustkę z kieszeni, rozwijał ją z pewną uroczystością i zabierał się do wycierania nosa — a babka zaczynała o pogodzie i skarżyła się na reumatyzm. Nieraz też i podczas narad dawało się słyszeć przez drzwi zamknięte wycieranie nosa, ale cieńsze, delikatniejsze niż Jędrzeja, którego nos potężny same basowe wydawał tony — wówczas serce Basi uczuwało niewytłumaczony niepokój, bo potem zawsze babka miała oczy czerwone.

Co to być mogło? O czym radzili i dlaczego zamykali drzwi? — Basia zachodziła w głowę. Raz tylko doszedł ją półgłosem wymówiony wyraz „podobieństwo“ — ale wyraz ten oderwany niczego jej nie nauczył.

Była w tem wszystkim widocznie tajemnica, którą przed nią ukrywano, i kochające serce dziewczyny czuło się tem dotknięte.

Nie ona sama jednak cierpiała nad tem; więcej, stokroć więcej od niej czuła się dotknięta Katarzyna w swych najdelikatniejszych uczuciach. Ona, co wypiastowała „dziecko“ i uważała się za należącą niemal do rodziny, siedziała w kącie jak jaka baba obca, podczas gdy Jędrzej poufałe ze starszą panią odprawiał konferencje.

— Tak, tak, — mówiła do siebie — z Katarzyną nie warto gadać, bo głupia. Siedź cicho, Katarzyno, i nie odzywaj się, rozumiesz? Ciebie się nikt nie pyta o nic. Jędrzej co innego; on jest mądry jak Salomon. Dobrze, dobrze; niech się dzieje co chce, niech się dom przewraca do góry nogami, pary z gęby nie puszcze! Kiedym głupia, to głupia. Cobyś ty, Katarzyno, wiedziała? A bo ty masz rozum? Gdzie zaś!

Dostało się też Jędrzejowi niemało różnych przymówek o „pochlebnikach“, o „wilkach w baraniej skórze“, o „faryzejskich ludziach, co się wślizgują w łaskę pańską jako węże“, i tym podobnych apostrof bogatych w przenośnię, w których wynajdywaniu Katarzyna była bardzo pomysłową i nie pomyślała żadnej sposobności do ich przystosowania. Po tych apostrofach nastąpiły orzeczenia: że „Jędrzej nie jest jeden tylko na świecie“, i „że dla takiej jak ona kobiety z honorem zawsze się porządny człowiek znajdzie“. Jędrzej, podług swego zwyczaju, zachowywał się tak jakby tego nie słyszał, i to właśnie doprowadzało Katarzynę do rozpacz. Gdyby się z nią wyklócił, rozpuściłaby przynajmniej swobodnie swój język i wylała z serca na Jędrzeja wszystką żółć, jaką było wypełnione — ale tak!... Kobieta, czy to stara, czy młoda, rozumna czy ograniczona, najniezwyklejszą jest wtedy, kiedy się wygadać nie może. Katarzyna była bardzo nieszczęśliwą!

Odtąd Jędrzej był już wolny od przymówek, ale zato słyszał bezustannie głębokie westchnienia, i spotykał łzawe spojrzenia pełne bolesnego wyrzutu. Katarzyna chodziła jak męczennica, jak ofiara tyraństwa i przemocy. Ton, jakim go wzywała do jedzenia, był iście grobowy — a niejedna łza spływała po tłustych, rumianych policzkach, gdy z bolesną rezygnacją przelykała kluskę! Wkońcu, widząc, że i ta milcząca polityka nie robi na nim wrażenia — powiedziała mu melancholijnie, że „i Chrystus cierpiał“, oraz że „jest przecież Bóg nad sierotą“.

Do własnych strapień przybyło jeszcze Katarzynie strapienie o „najmilszego robaczka“ — jak nazywała Basię. Żyła się na starszą panią, która pod różnemi pozorami zatrzymywała wnuczkę przy sobie, każąc jej po dawnemu czytać sobie modlitwy i gazety — i mruzczała pod nosem, że pani chce ususzyć panienkę.

— Toć pani chyba nie widzi, że „dziecku“ liczka zbladły — mówiła rozżalona — i zamyśla się często tak mocno jak człowiek, co ma ciężkie strapienie na sercu Miły Boże! dawniej to aż miło było patrzeć, jak panienka siadła do stołu, a teraz ani nawet pochwali jedzenia, ani się roześmieje do człowieka; spróbuje zaledwie i zaraz kładzie łyżkę. Rozchoruje się jeszcze mój najmilszy robaczek! Czy złe oczy spojrzwały na ten dom, czy co?

Katarzyna miała słusność; złe oczy spojrzwały na Basię. Wąż, co ją ukąsił w Seidenbergu, jad pozostawił w ranie...

Dnia jednego Jędrzej wrócił do domu z twarzą bardzo zmienioną i prosto poszedł do babki. Zamknęło drzwi i naradzano się długo — a gdy nareszcie Jędrzej wyszedł z pokoju, staruszka była bardzo blada i drżącym głosem oznajmiła wnuczce, że nazajutrz wyjadą.

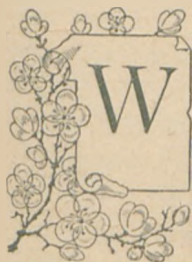
Wyjechać!.... słowo to dziwne zrobiło na Basi wrażenie; było ono podobne do uderzenia gromu, które przeraża i ogłusza. Prędzej byłaby się spodziewała śmierci, niż wyjazdu przed oznaczonym oddawna terminem; spadło to na nią zupełnie niespodzianie. Co się stało? Co mogło skłonić babkę do zmienienia zamiaru? — gubiła się w domysłach. Sto razy miała na ustach pytanie, i sto razy, gdy już chciała otworzyć usta, powstrzymywało ją uczucie obawy, z której zdać sobie sprawy nie umiała. Wyjechać znaczyło to wracać w rodzinne strony, tak dla niej ukochane — a jednak na samą tę myśl serce kurczyło się jakoś boleśnie. Miała opuścić miejsca, które były świadkami jej upokorzeń i udręczeń... jednak czuła, że w nich część jej duszy zostanie...

Cały dzień chodziła jak senna i patrzyła obojętnie na pozór, jak Katarzyna pakowała rzeczy — a im puściej robiło się w pokojach, tem ciężiej było jej oddychać. Babka śledziła ją niespokojnym wzrokiem, ale milczała.



ROZDZIAŁ XVI

O NAPISACH, JAKIE BYŁY W KOŚCIELE I CO PANIENKA
Z NICH WYCZYTAŁA.



kościółku na Georgenbergu zadzwoniono na mszę. Głos sygnaturki rozległ się czysto i donośnie po całej dolinie, zaczynającej dopiero budzić się ze snu. Po drogach było pusto, czasami tylko ukazywał się na nich pojedynczy przechodzień — jakiś wieśniak z koszem na plecach albo drwal, wiozący jednokonnym wózkiem drzewo z lasu. Różowe brzaski zorzy dawno już ustąpiły miejsca słońcu, w którym kąpała się cała dolina; promienie jego łamały się na skalistych ścianach gór i odbijały się od nich tysiącem blasków tęczyowych. Ośnionym oczom patrzącego zdawało się, że jest w zaczarowanej krainie z tysiąca i jednej nocy, gdzie góry były diamentowe, a w strumieniach płynął szafir roztopiony ze srebrem. Wszystko kąpało od złota!

Drogą prowadzącą do kościółka szła Basia z książką do nabożeństwa w rękę; była tak zamysłona, że nawet na

piękność krajobrazu oblanego słońcem porannem nie zwróciła wcale uwagi i wbrew swemu zwyczajowi wolnym krokiem wstępowała na górę, na której szczycie stał kościół..

W kościele było jeszcze zupełnie pusto; od szyb kolorowych i tuj, otaczających go dokoła, panował tam jeszcze lekki zmrok. Jedno z górnych okien było otwarte; przez nie wciskał się wąski promień słońca i padał prosto w ołtarz, z którego wyglądało blade oblicze Bogarodzicy — rysy to były ściągłe i miały smętny wyraz, jak zwykle obrazy starej szkoły bizantyjskiej. Zapach rozmarynu właściwy tujom wchodził przez okno, przez drzwi otwarte i napełniał powietrze. Cisza była uroczysta — syczała tylko lampka, dopalająca się na ołtarzu.

Basia usiadła w ławeczce, umieszczonej w zagłębieniu framugi, i machinalnie wpatrzyła się w czarny punkt, znajdujący się naprzeciw niej. Oczy jej powoli oswoiły się z pomroką i dostrzegły, że ten czarny punkt jest to krzyż wmurowany w przeciwną framugę; rozróżniała dokładnie głowę uwieńczoną cierniem i rozkrzyżowane ramiona, a nawet i gwoździe, któremi ręce do krzyża przybito. Widok ten nasunął jej myśl, że Chrystus dał się ukrzyżować za wszystkie narody i jest ojcem wszystkich — oraz że ci, co powinni być sobie braćmi, przelewają wzajemnie krew swoją — a czyniąc to, wzywają każdy dla siebie imienia jednego i tego samego Boga. Za tą myślą przyszła druga: że owe wielkie, pełne chwały zwycięstwa narodów, są to wielkie zbrodnie — i że jeżeli imię Boga służy im wszystkim za sztandar, gdzież tedy jest prawda i sprawiedliwość? Za tą myślą przyszła trzecia; dlaczego Bóg, bez którego woli włos człowiekowi z głowy spaść nie może, pozwala ludziom mordować się wzajemnie i umierać w grzechu bratobójstwa — a jeżeli tak być musi, czy nie lepiej byłoby, gdyby ich wcale nie stwarzał? Dziwiła się, że jej to dotąd nie przyszło do głowy. Chciała odepchnąć

od siebie tę myśl jako grzeszną, ale myśl wracała do niej uporczywie.

W duszy zrobiło jej się jakoś mroczno i wpadła w odrętwienie; jak długo ono trwało, nie umiałaby powiedzieć. Z odrętwienia zbudziło ją skrzypnięcie drzwi od zakrystji — to kościelny przyszedł zapalać świece. Patrzyła machinalnie, jak stoczkim przywiązany do długiego kija sięgał coraz wyżej i wyżej, aż cały ołtarz jarzącem światłem zajaśniał. W tej chwili głos wewnętrzny szepnął jej, że jeżeli każdy naród ma inną prawdę dla siebie, to jedyna nieomylna jest chyba w sercu, bo ono na całym świecie jednakowo cierpi i czuje.

Serce!... Basi od wczoraj zdawało się, że jakiś ciężki kamień nosi w piersiach zamiast serca.. wszystko, co ją kiedykolwiek obchodziło, co było drogiem, wydawało jej się dzisiaj obojętne.

Zaczęła się przyglądać wnętrzu kościoła, chociaż widziała je już niejednokrotnie; ze ścian gdzie niegdzie tynk poopadał, a wydeptana kamienna podłoga mówiła, że kilka wieków pamięta. W boczną ścianę wmurowane były dwa poczerńiałe od starości pomniki. Na jednym rycerz w zbroi leżał wsparty na mieczu — drugi był prostą tablicą marmurową, nad którą wisiał portret malowany na blasze, przedstawiający mężczyznę w hełmie, o rysach twarzy surowych i poważnych. Basia zaczęła czytać napis:

D. O. M.

Hic iacet N. N.

In gloriosa rempublicam defendens periit arena.

*Anno Domini**

Basia nie umiała po łacinie, ale rozumiała ten napis; podobne były na tablicach kościoła w jej rodzinnej wiosce — ksiądz proboszcz tłumaczył je jej niejednokrotnie,

* Tu leży N. N., który padł zaszczytnie w obronie Rzeczypospolitej, roku pańskiego...

babka zaś opowiadała dzieje ludzi, dla których były położone. Umiała je nawet na pamięć. Westchnęła i zaczęła czytać drugi napis:

*Patriae defensor in gloriosa cecidit arena. . . **

Popatrzyła w pełne grozy oblicze wojownika i uczuła, że ją wobec tej twarzy marsowej egarnia uczucie. wstydu... Jednocześnie w jej piersi, w tem miejscu, gdzie czuła, że zamiast serca leżał ciężki kamień, coś drgnęło...

— Nie, nie, — rzekła do siebie — prawda jest wypisana na tych grobowcach, a na imię jej obowiązek... Serce to zdrajca, co bez wiedzy człowieka przejść może do obozu nieprzyjaciela!

Drzwi od zakrystji skrzypnęły znowu i zagrzemiał dzwonek, a na stopnie ołtarza w towarzystwie dwóch księży w komżach wszedł starzec w ornacie, z pod którego wyglądała szata fioletowa. Był to biskup Johanisbergu. czerstwy starzec z białymi włosami i dużemi rozumnymi oczami, w których palił się ogień młodości; Jego Eminencja codziennie o godzinie szóstej rano mszę odprawiał w pustych najczęściej ścianach kościołka. Woń kadzidła rozplynęła się w powietrzu i zmieszala się z napelniającą je wonią rozmarynu; zabrzmiały organy, i na śpiew starca odpowiedział z chóru głos, na którego dźwięk Basia zadrżała. Chiała uciekać z kościoła, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa i ogarnęła ją niewymowna trwoga. Wydało jej się, że zostając i słuchając tego głosu dłużej, popełnia występki przeciwko prawdzie wyczytanej na grobowcach, a jednocześnie czuła, że niebezpieczeństwo nie jest w tym głosie, co się z chóru odzywa, ale w niej samej— i że choćby najdalej uciekła, zabierze ją z sobą. Postawiła sobie pytanie, coby zrobić trzeba, żeby uciec od siebie samej— i przed oczyma jej stanął bystry nurt rzeczki płynącej tam, na dole, i jedno miejsce, którego unikali rybacy, ale

* Obrońca ojczyzny, padł na polu chwały.

gdzie tworzyły się ciągle większe i mniejsze kółka. Zaczęła drzeć całym ciałem i zimny pot wystąpił jej na czoło, a usta powtórzyły machinalnie słyszane kilka dni temu z ust Dawisona słowa:

„Być albo nie być — oto jest pytanie:
Co z dwojga jest wznioślejszem, czy wytrzymać
Zawistnych losów ciosy lub zniewagi;
Czy przeciw morza cierpień się uzbroić,
I siłą je pokonać?“

Tony organów nieco przycichły, i zabrzmiał hymn „Ave Maria“ Kückena. Jak potok płynął śpiew z chóru w dolną nawę kościoła — nie jak ten potok, co z sobą kamienie i drzewa porywa, ale jak ten, co niesie brzegom żywność i ochłodę. Płynął szeroko i spokojnie, a zdawało się jej, iż w tym głosie była taka siła, że drżały od niej ściany kościoła.

Basi z oczu puszczily się łzy obfite; zakryła twarz rękami i pozwoliła im płynąć swobodnie. W ostatnich czasach płakała nieraz z gniewu i ze złości, ale takich łez jak dzisiejsze nie miała nigdy jeszcze.. Były to jakieś łzy dobre; czuła, jak razem z niemi miękł powoli ów kamień, który nosiła w piersi zamiast serca — a serce odzyskiwało władzę i czucie. Było jej tak, jakby się żegnała na wieki ze szczęściem, którego nigdy nie zaznała — ale nic się w niej przeciwko tej stracie nie buntowało. Spokój brzącały w piersi ogarniał powoli zmysły jej i uczucia. Nie pytała się już, gdzie jest prawda — a serce jej zmartwychwstałe ogarniało na nowo miłością nie tylko tych, których kochała, ale i tych, których nienawidziła. Modliła się o szczęście człowieka, którego dotąd uważała za wroga, i o przyszłe braterstwo ludów..

Msza się skończyła, organy umilkły, światła na ołtarzu pogasły, a Basia płakała jeszcze. Gdy nareszcie otarła oczy i wstała, czuła się zupełnie inną, niż gdy wchodziła w te progi. Mogła była jeszcze zostać, bo kościelny nie zabierał

się do zamknięcia drzwi wchodowych, ale teraz już nie lękała się żadnego spotkania. Czuła w sobie jakąś rzeźwość i siłę, jakiej dawniej nie miewała.

Słońce było już wysoko, ale między drzewami otaczającymi kościółek cień był i chłód; wszystkie mgły ranne już się były rozproszyły, a dolina jaśniała przepychem czystości i światła. Basia popatrzyła na obraz rozłożony u stóp góry, na której stał kościółek i westchnęła.

— Jaki jednakże piękny jest ten świat, — szepnęła — jak ludzie mogliby być szczęśliwi!...

Posłyszała za sobą znane kroki i obejrzała się; był to Herman. Szedł śpiesznie, jakby się obawiał, żeby nie uciekła — ale Basia nie myślała uciekać; czekała na niego spokojnie.

— Pani Dawisonowa powiedziała mi, że pani dzisiaj odjeżdża, — zaczął bez żadnych wstępów — czy to prawda?

— Prawda — odpowiedziała patrząc w inną stronę.

— Jak pani to mówi obojętnie.. i nicze mi pani nie ma do powiedzenia na pożegnanie?

— Owszem... byliśmy jak wrogowie, rozstańmy się jak przyjaciele. Wyrządziłam panu przykrości niemało, wiem o tem; żałuję tego dzisiaj i proszę pana o przebaczenie. Niech mi pan poda rękę na znak zgody i przyjmie życzenie szczęścia...

Herman słuchał zdziwiony i wzruszony; nigdy jeszcze nie widział jej tak łagodnej — nigdy jeszcze głos jej nie brzmiał tak słodko i smętnie. Popatrzył uważnie w oczy dziewczęcia i zobaczył, że były czerwone, a rączka, którą trzymał w swej dłoni, zimna jak lód.

— Życzy mi pani szczęścia, a odjeżdża... — rzekł smutnie.

— Alboż ja szczęście pana zabieram z sobą? — spytała porywczo. — Każdy z nas szczęście swoje w sobie nosi i jest jego panem. Ja mego idę szukać między swemi...

— Moje zaś szczęście poszło do moich wrogów— rzekł młodzieniec z goryczą — i nigdy go już między swemi nie odnajdę. Panno Barbaro, zostań pani, albo zabierz mnie z sobą!

— Panie von Walden — rzekła, usiłując oswobodzić swoje ręce z jego dłoni — nie rozumiem pana, nie wiem, co pan chce przez to powiedzieć, ale to wiem, że pan dłużej słuchać nie powinna...

— Musi mnie pani wysłuchać, — zawołał namiętnie — dość długo milczałem. Musisz się raz dowiedzieć, czem dla mnie jesteś!

Basia wyrwała swoje ręce z jego dłoni i cofnęła się o krok.

— Ja nie chcę pana słuchać, — rzekła z mocą — nie chcę się nic dowiadywać... Odejdź pan, proszę, albo pozwól mnie odejść!

— Pozwolić pani odejść, — rzekł gwałtownie — nigdy! zbyt długo czekałem na tę chwilę, abym się miał jej wyrzec teraz, gdy nadeszła. Nie, na Boga! choćby świat się walił, a skała ta razem z nami runąć miała w przepaść, musisz mnie wysłuchać!

— Wielki Boże! — szepnęła, przerażona tą gwałtownością, a na zbladłej jej twarzy odmalowała się rozpacz — ja stąd ucieknę...

— Gdzie pani ucieknie? Z jednej strony ja stoję na straży, z drugiej przepaść... jeżeli się choć o krok dalej posuniesz, krawędź, na której stoimy, oberwać się może. Biedne dziecię, — rzekł, patrząc na nią z czułością — jak ona drży! Nie lękaj się pani. To, co ci mam powiedzieć, nie jest tak straszne. Czyżes już oddawna tego przecuciem twego serca nie odgadła, że mi droższa jesteś nad wszystko? Tak jest, — powtórzył namiętnie — nad wszystko! nawet nad pamięć mego ojca, który... Ale nie mówmy o tem.

Pokochałem panią gorąco, bo pod szorstkimi pozorami odkryłem naturę prawą i szlachetną i gorące serce. Przyśiągłem sobie, że musisz należeć do mnie i że ja będę jedynym kierownikiem twego burzliwego charakteru! Oddaj mi obie ręce jak swemu opiekunowi i przyjacielowi!... Wsparta na mojem ramieniu, dojdiesz do portu życia śmiało i bezpiecznie...

— Nigdy! — wyrzekła uroczyście Basia — nigdy nie oddam przyszłości mojej w ręce cudzoziemca. . Iść za panem, byłoby to zaprzeczyć się wszystkiego, com od dzieciństwa przywykła czcić i kochać — byłoby to porzucić miejsca, w których wzrosłam i gdzie się czułam dotąd tak szczęśliwą. I pan ma przecież ojczyznę, panie Walden, i musisz zrozumieć, że można się przywiązać do ziemi, a nawet do ścian. I jabym miała tę ziemię, którą mnie od dzieciństwa uczono kochać nad wszystko w świecie, porzucić dla obcego człowieka? Nie byłaby to zdrada i niewdzięczność? Coby na to powiedzieli rycerze, spoczywający w podziemiach naszego wiejskiego kościoła? Jedni z nich krew, inni mienie oddawali krajowi — a żaden z nich dobrej sprawy nigdy nie odstąpił... Oni, o których można powiedzieć, że:

„...Kiedy okręt płynął siedzieli na maszcie,

A gdy tonął, oni szli z okrętem pod wodę“*.

mieliby prawo wyprzeć się mnie za to, że dla cudzego ogniska swemu własnemu pozwoliła zagasnąć. Pan mi pewnie powie, że bez jednego żołnierza wojna się obędzie — nasz ksiądz proboszcz, starzec zacny i rozumny, powiada, że przyczyna niejednego złego jest w tem, że jednostki lekceważą swoje stanowisko w stosunku do ogółu, i że gdyby każdy pamiętał o tem, że jest obywatelem kraju i spełniał swój obowiązek, tak jak mu każe jego sumienie, byłoby u nas inaczej. Łańcuch się zrywa, gdy zeń odpada jedno

* Słowacki, Testament.

ogniwo — a okręty nie potrzebują rozbijać się o skały, a żeby zatonać; jedna mała szczelina na dnie wystarcza, aby je woda powoli zalała... O! nie tak łatwo jest wyrzec się swoich. W żyłach Dawisona płynie krew innego plemienia niż w moich, a jednak człowiek ten czuje wyrzuty sumienia... słyszał go pan przecież. A moja babka, która ma we mnie jedyną pociechę, czy pan zapomniał o niej?

— Czy ksiądz proboszcz nie mówił pani, że nienawiści międzynarodowych nie wymyślił Bóg, tylko ludzie, i że najwznioślejsze cele, najszczytniejsze ofiary nie są miłe Bogu, gdy się idzie do nich po sercach ludzkich? Czy nic pani nie mówił, że Pismo Święte powiada: „Opuścisz ojca, matkę, a pójdziesz za mężem twoim“?

— Panie Walden, — rzekła głosem drżącym Basia — jestem prosta dziewczyna i nie potrafię rozumować tak, jakbym chciała, ale wiem, że występek nieraz przybiera pozory prawdy i cnoty na siebie, żeby zgubić duszę człowieka...

— Dziecko! — zawołał Herman namiętnie — nie nazywaj czystego uczucia występkiem! Czyż Bóg, który wszystkim rządzi i bez którego woli nic się nie dzieje, poto kładzie miłość w serce człowieka, aby kochał? Czyż deptać ten najcenniejszy dar Boży, nie jest to popełniać zbrodni przeciwko samemu Bogu, który powiedział: „Jam jest miłością” i który mówi: „we mnie prawda i żywot“!

— Pan jesteś moim złym duchem — zawołała, a burzliwa jej natura zaczęła znowu brać górę nad spokojem i umiarkowaniem, z jakim przemawiała dotąd — złorzeczę chwili, w której pana ujrzałam po raz pierwszy! Byłam swobodna jak ptak — pan zakłócił mój spokój; byłam łagodna i cicha — pan nauczył mnie gniewać się i nienawidzić; byłam wesoła i szczęśliwa — pan nagromadził chmury w mojem sercu i wywołał burzę! Szatan nie jest tak niebezpieczny jak pan, bo go można odegnąć znakiem krzyża świętego i modlitwą —

pana zaś obraz ślaniał się ciągle przed memi oczyma we dnie i w nocy... i, patrząc weń, zapominałam pacierza, a w głowie budziły mi się szalone myśli i pragnienia... Po dzisiejszej modlitwie w kościele wstąpiły do mego serca spokój i ukojenie — a teraz znowu dusza moja błąka się jak łódź rzucona bez żagla na morze burzliwe!

— O, ty mnie kochasz! — zawołał, chwytając jej ręce i przyciskając je do piersi namiętnie.

Basia wyrwała mu je z gniewem.

— Kto powiada, że ja pana Kocham? Czyż nie powiedziałam, że złorzeczę chwili, w której pana poznałam? Ja się pana boję, ja pana nienawidzę! Odejdź pan, odejdź, i niech pana więcej nie oglądają moje oczy!... Moje sumienie mówi mi, że prawda jest tam, gdzie jest obowiązek...

Przy tych słowach łzy puściły jej się z oczu.

— Ale czy sumienie może pani powiedzieć, że obowiązek jest tam, gdzie jest prawda? Ile głów ludzkich, ile rozumów i sumień, tyle prawd różnych; każdy ma swoją dla siebie i podług niej się kieruje. Wprawdzie są prawdy ogólne, ale i te ulegają wpływom czasu, miejsca i okoliczności; każdy wiek znaczy na nich zmiany, każdy naród przetwarza je na swój sposób — i te, które niegdyś były prawem, dziś ustępują miejsca innym jako bezużyteczne... Tylko serce ludzkie jest wiecznie żywe i czuje tak samo dziś jak przed wiekami, tak samo na północy jak na południu. Narody powstają i przechodzą, człowiek zawsze zostaje. Ale precz z tem rozumowaniem! serce nie rozumuje; kocha, a więc ma prawo do tego. Nie pytaj, gdzie jest prawda, ale mi się oddaj i zaufaj — a gdy swą główkę złożysz na mojem sercu, przysięgam, że twoja zbląkana duszyczka odnajdzie spokój i siłę. O, pójdź! pójdź rozjaśnij swoim uśmiechem puste ściany mojego domu, gdzie mnie nikt prócz starego sługi nie czeka! Ja nie mam babki...

— O, przez litość! nie mów pan tak do mnie! — prosiła gorąco Basia. — Widzi pan, jestem tylko słabą dziewczyną i mogłabym ulec... ale pan jesteś szlachetny, ja wiem, i nie będziesz korzystał z mojej słabości! Mówił pan kiedyś o męstwie niewiast polskich; siła ich była właśnie w tem, że je zawsze obowiązek wiódł po drodze życia, a serce albo milczało, albo szło za nim posłuszne. Jedna z naszych królowych, Jadwiga, kochała Wilhelma Rakuskiego, ale umiała go się wyrzec dla szczęścia narodu — a Wanda woląa rzucić się w Wisłę, niż Niemca uznać za swojego małżonka i pana!... Odejdź pan, odejdź, panie von Walden — mówiła, składając ręce — błagam pana w imię twego ojca, którego pamięć jest panu tak drogą. Widzi pan, ja Polka, zniżam się do prośby... Nie pytam już, gdzie jest prawda, ale jakiś głos, co jest we mnie, mówi mi, że to, czego pan ode mnie chce, to jest zdrada! Ach, odejdź pan, na Boga! bo jak pana tak słyszę mówiącego, to czuję, że mogłabym...

Młodzieniec nie mógł wytrzymać już dłużej; uczucie, przepelniające jego serce, rozdarło tajemnicę, jaką się dotąd przed nią osłaniał. Porwał ją w objęcia i, tuląc do piersi namiętnie, zawołał po polsku:

— O tyś moja! należysz do mnie, i nikomu już sobie wydrzeć cię nie pozwolę!

Basia słuchała go osłupiała, błędna, oczy jej zaczęły zachodzić mgłą, zdawało się, że straciła wszelką nad sobą władzę, bo nawet nie próbowała mu się opierać. Nagle przypomnienie, że on raz obiecywał nauczyć się po polsku, uderzyło jej umysł i przywróciło mu przytomność. Z oczu jej strzelił piorun gniewu.

— Ach! — zawołała — szatanem pan jesteś, szatanem, nie człowiekiem! Przemówiłeś do mnie moim rodzinnym językiem, żeby mnie wziąć podstępem.. Precz, precz ode mnie!

Wyrwała mu się i odepchnęła go od siebie z siłą rozpaczłą. Czyniąc to, zapomniała, że stali na samej krawędzi urwiska. Herman, pchnięty w tył, zachwiał się i stracił równowagę; chwycił za krzak, ale krzak został mu w ręku i sto-
czył się z nim szybko w przepaść.

Straszny krzyk wydarł się z piersi Basi, i padła na ziemię bez zmysłów,



ROZDZIAŁ XVII

W KTÓRYM AUTOR KOŃCZY OPOWIADANIE,
A CZYTELNIK SZUKA SENSU MORALNEGO.



Gdy Basia otworzyła oczy, ujrzała nad sobą niebo w całym blasku pogody i słońca; białe fantastyczne chmurki sunęły po niebie zwolna i poważnie, jakby się zbierały na walną do Pana niebios naradę. Jakieś orzeźwiające powiewy chłodziły jej czoło, igrały z jej włosami i roznosiły mocny zapach rozmarynu. Leżała tak chwilę, patrząc w niebo, nie mogąc sobie wytłumaczyć, co się z nią stało, nie mogąc zrozumieć, gdzie się znajduje — i przyszło jej na myśl, że drzewa, wydające ten silny, orzeźwiający zapach, rosną tylko przy kościele na Georgenbergu. Zaczęła sobie przypominać, poco tutaj przyszła: przypomniała sobie swoje rozmyślenia w kościele, napisy na grobowcach, dźwięk organów i hymn „Ave Maria” — i tak po nitce do kłębka przypomniała sobie wszystko...

Dreszcz wstrząsnął jej ciałem, zerwała się na równe nogi, ale nogi ugięły się pod nią. Usiadła i zaczęła ocierać

drżącemi rękami pot z czoła, a sumienie szeptało jej, że tu, u stóp domu Bożego w imię obowiązku i miłości ojczyzny spełniona została wielka zbrodnia — człowiek został zabity!

— Boże! Boże! — zawołała z rozpaczą — jeżeli spełnienie obowiązku prowadzi do zbrodni, gdzież tedy jest prawda nieomylna?

Podniosła się i, stanąwszy na samym brzegu urwiska, wyjrzała na drogę, gdzie leżeć musiały jego zwłoki, ale nie zobaczyła nic. Jakiś wieśniak szedł przy wózku naładowanym jarzynami i popędzał osła, stąpającego leniwie — pusto zresztą było i cicho. Z nad rzeki odzywała się wesola piosenka pasterza, wygrywającego leniwie na ligawce i naśladowującego górskie echa, mieszając się z dźwiękami muzyki, płynącej z parku i rozlewającej się u stóp kościółka.

Basia przetarła oczy i powiedziała sobie, że to musiał być sen przykry — bo gdyby było inaczej, czyż niebo byłoby takie jasne i pogodne, czyż słońce świeciłoby tak samo, a ludzie byli tacy spokojni i weseli! Powtarzała sobie, że czuła się tego dnia trochę niezdrową i pewnie zasnęła w cieniu drzew, sama o tem nie wiedząc.

Kłękła, chcąc dziękować Bogu za to, że się już przebudziła i że to, co jej się śniło, śniło się tylko — ale słowa pacierza nie chciały się związku trzymać, a w sercu był taki niepokój i taka rozpacz, jaka nie bywa nigdy po śnie najprzykrzejszym nawet... Chciała sobie przypomnieć, co to za dzień jest dzisiaj, ale nie mogła. Zaczynała kilka razy i zawsze jej się zmyliła; nareszcie po długim rachowaniu, przy którym czuła ból w głowie, doszła, że to wtorek i że to dzisiaj właśnie miała wyjechać z babką z Landek. Powiedziała sobie, że czas wracać do domu, bo babka musi być o nią niespokojna, i gniewała się na siebie, że jest taka na sny wrażliwa. Chciała nawet zaśpiewać swoją ulubioną pieśń

poranną, ale opanował ją dziwny strach, i zaczęła biec a raczej uciekać z góry.

Po kilku minutach jednak spostrzegła, że zamiast ku domowi idzie ku miastu. Utwierdził ją w tem widok Katarzyny, wracającej stamtąd z koszykiem napelnionym wiktuałami. Katarzyna jednak nie szła z zadartą głową, jak to było jej zwyczajem, ani kołysała się wdzięcznie na prawo i na lewo, jak to także było jej zwyczajem, ale szła jak pospolita kobieta, ocierając oczy fartuchem. Basia na ten widok stanęła jak skamieniała. Chciała zapytać o przyczynę tego płaczu, ale słowa w gardle jej uwięzły.

— Ach, panienko! — zawołała zdaleka Katarzyna, ujrzawszy Basię — co za nieszczęście! Taki dobry pan! wie panienka, ten, co to panienkę od śmierci uratował.. Widziałam jak go nieśli. Ludzie mówili, że jeszcze żyje, ale mu tam chudzinie pewnie niedługo już tego życia, bo pono głowę sobie rozbił. O, mój Jezusie! co to za szkoda takiego ślicznego chłopca!... Święty Józefie, ale jak panienka wygląda! Panienko! panienkol... Poleciała, i to bez kapelusza! Co starsza pani na to powie?

Basia nie słyszała tych słów, nie mogła ich nawet słyszeć, bo już była daleko. Nie szła, ale biegła. Gdzie? Gdyby ją kto zapytał, nie wiedziałaby sama. Pchała ją jakaś siła, mocniejsza od niej. Biegła, nie zatrzymując się, ani oglądając, najkrótszą drogą przez ogrody. Jakiś chłopiec, niosący dzbanek z wodą, ujrzawszy ją przystanął i przeprowadził wzrokiem kawałek drogi — a jej się wydało, że on wołał: Patrzcie, idzie zbrodniarka!

Przyśpieszała biegu i nie widziała już, jak ludzie oglądali się za nią i usuwali jej się z drogi — i nie słyszała, jak dzieci, uciekając przed nią, wołały: — Warjatka! warjatka!

Nareszcie zatrzymała się przed niewielkim szwajcarskim domkiem, którego dach wystający i otoczony dokoła koronką

misternie z drzewa wyrzynaną, rzucał przed okna pewien cień nawet podczas największego słońca. Zaczerpnęła powietrza i wpadła do sieni. W sieni potknęła się o jakiś przedmiot — były to nosze z gałęzi naprędce zrobione, powiązane sznurami. Drzwi do pokoju były lekko uchylone; pchnęła je i weszła.

Na łóżku, umyślnie odwróconem od światła, leżał Herman. Twarz jego bledsza była od poduszek, na których spoczywał a bujne czarne włosy, rozrzucone w nieładzie, odsłaniały szeroką ranę na głowie. Wyraz bóleści nie szpecił tych rysów szlachetnych, które śmierć zdawała się już dotykać swoją dłonią — przeciwnie, miały one wyraz zupełnego spokoju, a oczy przymknięte podnosiły jeszcze ich nieruchomość. Koszula, otwarta na piersiach, odsłaniała posągowe kształty szyi i ramion młodzieńca, pozwalając śledzić oddech szybki i nierówny. W głowach łóżka stali: doktor L...ner, państwo Dawisonowie i ksiązę Fryderyk; wszyscy razem, wracając z parku, spotkali smutny orszak i zajęli się biednym młodzieńcem. Dybol, oparłszy łeb na krawędzi łóżka, nie spuszczał oczu ze swego pana — a przy drzwiach z zasmuconemi twarzami stali wieśniacy, co go znaleźli na drodze bez przytomności i przynieśli do domu.

Basia nie widziała nikogo. Stała przy łóżku i wpatrywała się w tę twarz, niedawno tak pełną życia, a teraz tak nieruchomą, i niewiadomo jakie uczucia grały w jej piersi — miłość czy nienawiść... Nagle upadła na kolana; przyłożyła usta do zwieszanej bezwładnie ręki chorego i łkanie gwałtowne wyrwało się z jej piersi..

Herman drgnął, podniósł ociężałe powieki, popatrzył; usta jego poruszyły się i wymówiły imię Basi, a jednocześnie druga ręka, leżąca na kółdrze, podniosła się i spoczęła na jej głowie. Uplynęła tak długa chwila, podczas której słychać było tylko łkania, wstrząsające ciałem dziewczę-



Chwycił za krzak, ale krzak został mu w ręku.
(str. 236)

cia. Wszyscy obecni mieli lzy w oczach, nawet doktor L. .ner nieznoszący łez kobiecych, nawet księżę Fryderyk, który wszelkich wzruszeń wystrzegał się ze względów higienicznych.

Zaturkotało przed domem; w sieni dały się słyszeć stąpania dwóch osób i ktoś wszedł do pokoju, ale Basia nic nie słyszała. Ktoś położył rękę na jej ramieniu. Podniosła głowę i obejrzała się. Za nią, podtrzymywana przez starego Jędrzeja, stała jej babka z twarzą strasznie zmienioną.

— Babcia tutaj? To dobrze! — wybuchnęła — lepiej, że się to już raz skończy. Ja kocham tego człowieka .. i jeżeli tylko on mnie nie odepchnie, pójdę za nim, choćby przekleństwo spaść miało na moją głowę. Ja to straciłam go ze skały w chwili, gdy mnie chciał przygarnąć do swej szlachetnej piersi! Jeżeli Bóg mu da zdrowie, całem mojem życiem postaram się wynagrodzić zło, które mu wyrządziłam... a jeżeli on umrze, ja żyć nie chcę! Ale nie, on żyć będzie, on żyć musi! — mówiła dalej ze wzrastającą gwałtownością — Bóg nie będzie przecież tak okrutnym, żeby mi go miał odebrać!..

— Nieszczęsne dziecię! — przemówiła staruszka głosem wyrażającym zgrozę i głębokie cierpienie — takiż cię szłał już ogarnął, że nie umiesz odróżnić prawdy od obludy, miłości od zdrady? że u samego Boga szukasz poparcia twego oblędu? Bóg właśnie nie dozwolił, aby twoje niewinne serce oszukane zostało, abyś nie została zgubioną bez ratunku... Czyż nie widzisz jeszcze, że chciano podstępem zdobyć twoją młodą, niedoświadczoną duszę? Człowiek ten nie był nigdy Niemcem: to jest Mieczysław J...ski, najzaciętszy wróg naszego domu! ten sam, którego ojca twój ojciec zabił w uniesieniu...

— Ach! — jęknęła Basia, zakrywając twarz rękami — więc to mój ojciec... był tym... który...

— Nie był Niemcem, — mówiła babka dalej — a jednak odziewał się wobec ciebie płaszczem obcej narodowości. I dlaczego to czynił? Oto żeby lepiej ukryć swoje niecne zamiary względem córki tego, którego pamięci on i cała jego rodzina złorzeczy za czyn pełen żałoby dla nich i dla nas, choć był spełniony nie ze zbrodniczą rozważą, ale w przystępie namiętnego uniesienia — za czyn, który osądzić i ukarać tylko Bogu jednemu przystoi. Niezbadane są Jego wyroki — mówiła, wznosząc do góry rękę w religijnem uniesieniu; — On to dał dłoni twojej dziecinnej siłę wystarczającą na strącenie w przepaść tego, który w uwiedzeniu ciebie podłej swej zemście chciał zadość uczynić. I oto znów krew popłynęła, i może uleci życie syna tak jak uleciało życie ojca jego... O Panie, czyżeśmy sami lub oni, czy nasi lub ich przodkowie tak przed Tobą zawinili, żeś sam kazał z pokolenia w pokolenie być katami bratniego niegdyś rodu, a potem karał nas całym życiem we łzach i smutku!.. Ale niech się dzieje święta wola Twoja!... Chodź, biedne dziecko, chodź, uciekajmy stąd, ukryjmy się przed światem, a posypawszy głowy nasze popiołem, odbądźmy pokutę za cudze winy... Chodź!

I wyciągnęła do wnuczki drżącą rękę. Ale Basia, łkająca wciąż jeszcze, podniósłszy nieco głowę i zalaną łzami twarz zwracając ku babce, wysunęła także rękę ku niej z gestem oporu.

— Niech wprzód odpokutuję bezpośrednią moją winę, — wyjąknęła przerywanym głosem — moje miejsce u nóg tego, któremu może życie wydarłam.

I rzuciła się ku ziemi w nieopisanej rozpacz, tarzając w prochu swoje dziecinne jeszcze, niepokalane czoło. Jęki jej odezwały się w sercu babki. Załamała ręce i, zapominając o niebezpiecznym stanie chorego, w którego oczach jakby prze-

błyskiwało pojęcie tego, co się wobec niego działo, rzekła z gorzką boleścią:

— Pomściłeś się! ojciec twój spokojnie teraz może spać w swym grobie i wy wszyscy możecie się radować—i, wskazując na konwulsyjnie szlochającą wnuczkę, dodała: — Złamałeś młode życie w samym jego zaczątku i gasisz ostatnie światło moich wyplakanych oczu... Cóż mi z tego, co jej z tego przyjdzie, jeśli i twoje życie wyrzuty sumienia nurtować będą za to, zaś poszukiwał zemsty na słabem dziecku, a przez nie i na zniedołężniałej, starej niewieście? Snać tak być musiało, bo i czegoż spodziewać się można było po synu cudzoziemki, który i sam stał się cudzoziemcem, skoro z taką łatwością i swobodą pozory jego na siebie przywdziewać umie! Ale i ci, w których skórę tak chętnie i tak zręcznie się obłóczycie, pogardzą wami, nie uznają was za swoich, choć radzi wam nadskakują dla zysku. I oto, gdy moi położyli życie dla dobra swej ziemi, wy prześladowacie resztki krwi mojej! Co was obchodzi los ziomków, co głośnie skargi i ciche westchnienia strapionych współbraci, was... cudzoziemców!.. Jesteście jak owo drzewo uschłe i nierodzące owoców, o którym Pismo Święte mówi, że „lepiej je wyciąć jako niepożyteczne“... Zamiast orać ziemię, co was na świat wydała, szukacie pomsty krzywd osobistych jedni na drugich. O! biada narodowi, którego synowie marnotrawią czas drogi i siły młodzięcze na waśniach wzajemnych!..

Chory, który nie spuszczał z mówiącej oczu mętnych, przygasłych, jakby nadludzką siłą dźwignięty podniósł się i usiadł na łóżku.

— Pani — przemówił słabym, przerywanym głosem — jesteś w błędzie... niech ci Bóg przebaczy. . Udawałem cudzoziemca, bom chciał być kochanym pomimo wszystko, kochanym dla siebie samego. Długom nie wiedział, kto jest wnuczka pani, jak i ona nie wiedziała, kto ja jestem... Do-

wiedziałem się o jej nazwisku w chwili, gdym chciał położyć koniec żartowi... Odkrycie, acz zrazu bolesne... umocniło tylko we mnie pragnienie zdobycia jej serca mimo przeszkód... i to była właśnie moja zemsta... O innej nie myślałem... Niech Bóg przebaczy synowi pani jego winę tak jak ja mu przebaczam... Nie knułem zdrady... alem pokochał serdecznie... i jeśli żyć mi przyjdzie, chciałbym to życie jej poświęcić... właśnie w miłości zatopić. Ani krwią, ani obyczajem cudzoziemcem nie jestem, choć na czyn dowodzący mej dla kraju miłości... zdobyć się jeszcze... nie zdołałem. Przy niej — dodał wskazując na Basię — i przy twojem pani błogosławieństwie...

Umilkł wyczerpany i opadł na poduszki; twarz ożywiona na chwilę wróciła do poprzedniej bladości, a oczy przymknęły się.

Staruszka słuchała go wzruszona i przejęta do głębi; przed oczyma jej duszy obok promiennych postaci trzech synów, straconych wśród burzy, stanęła w tej chwili postać czwartego, biednego tułacza, oczyszczona teraz przebaczeniem potomka jego ofiary. Oczy jej zaszyły łzami.

— Niech ci Bóg błogosławi, szlachetny młodzieńcze — wyszeptała.

Z reszty osób obecnych dwóch tylko ludzi rozumiało, o co idzie: stojący obok swej pani stary sługa jej domu, milczący i nieruchomy jak posąg — i Bogumił Dawison, na którego twarzy i w którego ruchach widać było myśli i zamiary, zmieniające się jak błyskawice. Nareszcie, korzystając z chwilowej ciszy, zbliżył się do babki i przemówił gorąco:

— Umierający nie kłamią, a ja żyjący świadczę za Mieczysławem, bo go znam oddawna: zacny młodzieniec i gorąca dusza. Temu, co się stało, i my oboje z moją żoną winni trochę jesteśmy, bośmy się dali wciągnąć do uczestnictwa w igraszce, jak się nam zdawało niewinnej, która do

czego innego miała doprowadzić i powinna, jeżeli chory wróci do zdrowia, jak obecny tu doktor ma nadzieję. Jeżeli tu między nami jest „cudzoziemiec”, to ja... — dodał ciszej, a wyraziste jego rysy zmieniły się w jednej chwili wyrazem przygnębienia, graniczącego niemal z upokorzeniem. — Ślady mej pracy na zagonie rodzinnym czas zatarł, tak były nieznaczące; a jeżeli jakie ziarno padło z mej ręki na posiew dla przyszłości, to na obcej ziemi ono wykiełkuje. Mam syna, ale ten, choć z matki Polki zrodzony, nie rozumie nawet po polsku... Źle się stało; czuję to, choć jestem Żydem. Każdy człowiek, bez różnicy pochodzenia i wyznania, ma obowiązki dla ziemi, na której się urodził — i jeżeli ich nie spełni, prędzej czy później znajdzie w sobie samym za to karę. Gdybym był młodszym, próbowałbym jeszcze niejedno naprawić... dziś jednak już jest zapóźno...

— Nigdy zapóźno! — odpowiedziała staruszka, wyciągając rękę do człowieka, który, wypowiadając w tej chwili jedną z najświętszych prawd społecznych, pierwszy raz w życiu zapomniał o sztuce oraz o swojej wielkości i sławie — na dobry siew zawsze jest czas, nawet w ostatniej godzinie życia.

Mieczysław nie umarł: rana na głowie, choć szeroka, nie była niebezpieczną. Obawiano się skutków gorączki, ale gorączka niedługo trwała, i chory szybko przychodził do siebie. W tydzień po wypadku chodził już z Basią po ogrodzie, a w dwa tygodnie wszyscy troje opuścili Landek. Pożegnanie z mieszkańcami Wiktorja-hofu nie obyło się bez łez. Dawison przyrzekł być na ślubie i podpisać się na akcie jako świadek — Mieczysław ze swej strony obiecał przywieść żonę do Drezna.

W dwa miesiące po opisanych wypadkach podwójna uroczystość odbywała się w małej kujawskiej wiosce. Basia

dzień dożynek wybrała na dzień swego ślubu — cała więc ludność wiejska przybrana świątecznie była świadkiem obrzędu. Ale nie jedna tylko para przysięgała sobie tego dnia miłość dozgonną: za panienką w pięknym czerwonym szali i wspaniałym czepku, ozdobionym liśćmi geranji i kwiatem pomarańczowym, postępowała z godnością Katarzyna, ciągnąc za sobą Jędrzeja, którego nareszcie udało jej się do małżeństwa nakłonić. Poczciewicz tłumaczył się każdemu, kto go o to zagadnął, że czyni to tylko dla świętej spokojności — bo mu ta baba tak się już swoim językiem dała we znaki, że postanowił się z nią ożenić, żeby jej zamknąć gębę

Rodzina J...skich, oburzona związkiem Mieczysława z domem nienawistnym sobie, a co ważniejsza z panną niebogatą, jaśniała swoją nieobecnością na ślubie. nieporozumienia te jednak niedługo trwały. Basia potrafiła powoli wszystkich przejednać, bo umiała podbijać serca ludzi, gdy tylko chciała — i gdy w rok potem obchodzono znowu uroczyste chrzciny prawnuka staruszki, J...scy zjechali się wszyscy i bez niechęci już podawali rękę H...ckim.

Gdy nad brzegami Warty odbywało się to wielkie święto pojednania, nad Elbą król sceny niemieckiej umierał*.

Ostatnie lata jego życia były ustawicznym zrywaniem się do dawnej działalności i szamotaniem się z ogarniającą go coraz bardziej niemocą. Widywano nieraz Dawisona przejeżdżającego się po ulicach Drezna w towarzystwie żony i syna; twarz jego jaśniała często pozorami zdrowia, ale umysł był zawsze chory. Krótkie chwile przytomności stawały się coraz rzadszemi. Donośnym i czystym głosem wypowiadał pierwsze wyrazy, ale wkrótce zaczynał się plątać i mowa stawała się coraz niewyraźniejszą. Wówczas spoglądał smutnie

*) Dnia 1-go lutego 1872 r.

na żonę i milkł nagle, aby powtórzyć z trudnością to, co mu ona poddawała zcicha.

Nadzieja powrócenia na scenę ożywczo na niego działała, i otaczający usiłovali podtrzymać tę nadzieję troskliwie. Od czasu do czasu przygotowywano i odświeżano kostjumy — redagowano umyślnie, przez delikatne dla niego względy, dziennikarskie doniesienia, zapowiadające jego występ to w tej, to w owej roli. Gdy je czytał, błyskał znów dawny ogień w jego wyrazistych oczach, mówił gorąco i płynnie o swoich ulubionych rolach, dopóki potok wyrazów się nie urwał... Próbowano wszelkich środków, ale naderemnie.

Umarł. Ziemią nadwiślańską nie posypano mu głowy; mogiła jego leży między obcymi, nad mętnemi wodami Elby. Czasem, gdy wiatr się zrywa i szamoce gałęziami drzew smutnego protestanckiego cmentarza, zdaje się, że nad grobami w powietrzu drży owo wielkie pytanie Hamleta:

„Być albo nie być?“



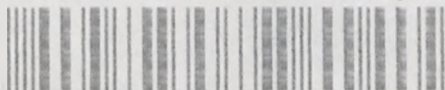
SPIS ROZDZIAŁÓW.

	str.
Rozdział I. O miłującym sztukę księciu, o sławnym człowieku i o jednej panience	1
Rozdział II. W którym pokazuje się nowa osoba . . .	19
Rozdział III. Jako panienka była wielu rzeczy ciekawa i co jej babka powiedziała	35
Rozdział IV. O potulnym osiołku i o kłopocie, jakiego panience narobił	55
Rozdział V. W którym panienka medytuje, jakie ma przywdziać szaty i odziewa się w fiolety . . .	71
Rozdział VI. O kwiatkach, które panienka podlewała i nieco o wiśniach	91
Rozdział VII. O tem, co się panience przydarzyło w ko- palni marmurów i co z tego wynikło	103
Rozdział VIII. Jako młodzieniec znalazł na górze to, czego nie szukał	121
Rozdział IX. Jako niektórym ludziom przypominają się różne rzeczy	138
Rozdział X. Z którego się pokazuje, że nie wszystko jest niebezpieczeństwem, co się niem być zdaje .	151
Rozdział XI. W którym niemałą rolę gra jeden wiersz z Pisma świętego	161
Rozdział XII. O przypadku, jaki się panience zdarzył zupełnie niespodzianie i o trzydziestu srebrnikach	179

Rozdział XIII. Jako Niemiec pokazał panience co umie i jak się temu panienka dziwowała	195
Rozdział XIV. Jeszcze o sławnym człowieku i co o nim powiedział doktor	205
Rozdział XV. O różnych dziwnych rzeczach, jakie się w domu działy, i jak panienka zasmuciła się tem, z czego się powinna była cieszyć	217
Rozdział XVI. O napisach, jakie były w kościele i co panienka z nich wyczytała	225
Rozdział XVII. W którym autor kończy opowiadanie, a czytelnik szuka sensu moralnego	237

Biblioteka Publiczna
Miasta i Powiatu Konin

Podr - BG 82A.162.1-11-9



001-089737-00-0

